

BIULETYN IPN

nr 9 (30)/2014

pamięć **ol**

Gdańsk w przededniu wojny

Jak ratowano polskie złoto

Jesień Ludów 1989
– efekt domina

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.

Dodatek specjalny:
broшуra

Testament Polski Walczącej,
płyta z filmem *Sowiecka okupacja*
w relacjach świadków
oraz znaczek *Polski Walczącej*



Całość floty rzymskiej dzielona na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sferowane. Oprócz okrętów stricte bojowych flota rozporządzała także znaczną liczbą mniejszych jednostek zwodowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobiierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę dumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterech quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowało stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całość floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonym eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązkowi szypca, czyli dowodzącego jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnią nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypców, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tonie wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczką wiosłarską), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wyłomania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie kosów wypełnionych jadowitymi węzłami bądź skorpiami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz przynajmniej do niegdyś pierzyskiego, posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (ma wzdłuż „pancerza atleży”) i przytoczone do niego pierzysce, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu boeckiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napoliczkanymi wianami pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym paszku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy clasarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekli dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowic, choć byli w przynajmniej z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytonie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym unblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wiodonastawowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wleńnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczy do nich należyłuczniczków, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łuczniczy sryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarczelnik, lub refleksyjny, którego cieżew napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili i zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kretesyjski. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugał. Jako procarze służyli też zwykłe Brytonie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szuku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucono kamieniami bądź oliwanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosł kadłubem (dieklus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czolowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrażenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wypłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze spora szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas te jednostki tworzyły okrag, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, zaopatrzyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starcu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jednakże metrowe wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, można było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie
mamy więcej
miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”

Popularyzujemy historię od 56 lat!

W numerze:

- Wawel i Kreml: państwa, struktury społeczne, kultury
- Cele polityczne zmagających się stron
- Jak w Polsce, na Litwie i w Moskwie wojowano
- Krwawy bój pod Orszą
- Orsza malowana
- Wielka batalia w propagandzie
- Biografie królów: Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta Starego
- Scypion ruski. Opowieść o kniaziu Konstantym Ostrogskim

Ponadto w miesięczniku: wycieczka do holenderskiego Arnhem śladami operacji „Market Garden”, aktualności historyczne, zaproszenia na wystawy, recenzje gier i książek. Po wakacyjnej przerwie powraca dodatek edukacyjny „Mówią wieki” (w nim m.in. scenariusze lekcji poświęconych Powstaniu Warszawskiemu).

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl
oraz www.facebook.com/mowiawieki



NUMER WRZEŚNIOWY „ORSZA 1514. POLSKA i LITWA KONTRA MOSKWA
W XVI WIEKU” przygotowany z okazji 500. rocznicy batalii orszańskiej



- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, **Urodzony w Związku Radzieckim**

STOP-KLATKA

- 10** Andrzej Brzozowski, **Wymiana okupantów**
- 12** Ryszard Sodeł, **W sojuszu z Hitlerem**

Z ARCHIWUM IPN

- 16** Grzegorz Wołk, **Niebezpieczne potańcówki**

WYWIAD

- 18** **Nie ma winy dziedzicznej**
– rozmowa z Jennifer Teege
- 23** Karolina Wichowska, **Cmentarz pod cmentarzem**
- 24** **Kilkuset, może nawet tysiąc**
– rozmowa z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 26** Jan Daniluk, **Zasieki na plaży**
- 31** Krzysztof Kopeć, **Uratować złoto**
- 34** Szymon Nowak, **Sprovokowany (?) desant**



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. TVP/PAP/Zygmunt Januszewski



Fot. PAP/ITAR-TASS



Fot. Mobilna Narodowa



Fot. ze zbiorów MWP



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

- 38** Bartłomiej Kluska, **„Sonda”: nie uczyć, fascynować**

- 42** Patryk Pleskot, **Efekt domina**

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

- 46** Dariusz Węgrzyn, **Trzeci Szereg**

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

- 50** Jerzy Eisler, **Sąsiedzi**

Z BRONIĄ W RĘKĘ

- 53** Michał Mackiewicz,
Karabin samopowtarzalny wz. 38M

ORZEŁ BIAŁY

- 56** Tomasz Zawistowski,
Orły Legionów Polskich, cz. 2

59 ĆWIERĆ WIEKU BEZ CENZURY

WYSTAWY IPN

- 61** Tomasz Ginter, **Więcej niż walka zbrojna**

EDUKACJA HISTORYCZNA

- 64** Olga Tumińska, **Oddajmy hołd bohaterom**
- 65** Olga Tumińska, **Historia, która wciąga**
- 66** Andrzej Lipson, **Siedem dni bohaterstwa**

MIEJSCA Z HISTORIĄ

- 68** Katarzyna Dzierzbicka,
Gdzie zginął „Antek Rozpylacz”

72 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

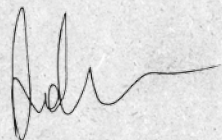
22 sierpnia tego roku weszła w życie ustawa, dzięki której znak Polski Walczącej stał się prawnie chronionym dobrem ogólnonarodowym. Od tej pory za jego znieważenie grożą sankcje karne, nie ma natomiast ograniczeń odnośnie do jego wykorzystywania – nadal każdy, bez jakichś specjalnych zezwoleń, może nosić go np. na koszulce i manifestować przywiązanie do wartości takich jak wolność i patriotyzm. W 1942 roku Biuro Informacji i Propagandy AK ogłosiło konkurs (wygrany przez Annę Smoleńską) na znak, który miałby zachęcać Polaków do oporu przeciw Niemcom, z właśnie taką chyba intencją: aby był to symbol wzniosły, inspirujący, a jednocześnie powszechny. I tak też się stało: choć za jego namalowanie można było stracić życie, to do końca wojny „kotwice” co rusz pojawiały się na murach i na trwałe wpisały się do kanonu symboli narodowych. Przypinkę Polski Walczącej dołączamy jako prezent dla naszych Czytelników. Znak ten stał się emblematem walczących także z okupantem ze wschodu. 75 lat temu Polska po raz kolejny w historii stała się przedmiotem rozbioru. Nad tajnym protokołem do paktu o nieagresji uściśniły sobie dłonie dwa totalitaryzmy. 1 września wojska III Rzeszy wkroczyły z jawną agresją, a 17 dni później Armia Czerwona – z rzekomą pomocą dla „braci Białorusinów i Ukraińców”. Tradycja bratniej pomocy w tej części Europy jest co najmniej tak długa, jak historia imperialnych ambicji dzieci rewolucji bolszewickiej. Ostatnie wydarzenia za wschodnią granicą pokazują, że – co jakiś czas odświeżana (w 1956, 1968 czy w 1979 roku) – ciągle trzyma się dobrze, a schemat działania wciąż się sprawdza. Zdjęcie dokumentujące sojusz agresorów prezentujemy w dziale Stop-klatka.

Jednym z punktów zapalnych w przededniu II wojny światowej było Wolne Miasto Gdańsk. Stało się ono zarówno symbolem początku tego konfliktu, jak i złowieszczym memento – ci, którzy we wrześniu „nie chcieli umierać za Gdańsk” wkrótce przekonali się, czym grozi polityka zaniechania i zaspokajania kolejnych roszczeń ogarniętych żądzą władzy i podbojów szaleńców – latami terroru i zniszczenia. Memento ciągle zresztą chyba aktualnym. O Gdańsku tuż przed wybuchem wojny pisze Jan Daniluk, z kolei Krzysztof Kopeć przybliża losy polskiego złota wywiezionego z Polski w 1939 roku. Artykuł Szymona Nowaka przypomina o pozorowanej (a może nawet perfidnie sprowokowanej?) pomocy Stalina dla powstańczej Warszawy – tym razem bynajmniej nie bratniej, choć realizowanej rękami żołnierzy gen. Berlinga.

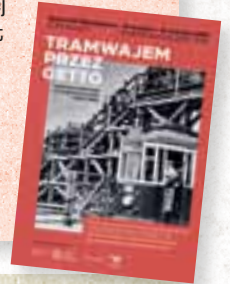
Pamiętamy też o czasach bliższych współczesności: Dariusz Węgrzyn pisze o brawurowych działaniach tzw. trzeciego szeregu Solidarności w stanie wojennym, Bartłomiej Kluska opowiada o fenomenie programu telewizyjnego „Sonda” – w rocznicę tragicznej śmierci jego twórców, Patryk Pleskot zaś opisuje przebieg Jesieni Ludów w Europie Środkowo-Wschodniej w 1989 roku.

Oprócz znaku Polski Walczącej dołączyliśmy do numeru broszurę *Testament Polski Walczącej* i płytę z relacjami świadków sowieckiej okupacji w 1939 roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



■ Do 12 września na Rynku Manufaktury w Łodzi czynna jest plenerowa **wystawa „Tramwajem przez getto. Dzielnica zamknięta w okupowanej Łodzi (1940–1944)”**. Ekspozycja, przygotowana przez łódzki Oddział IPN i Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne Łódź, przybliży historię drugiego co do wielkości getta założonego przez Niemców w okupowanej Europie. Z dziejami żydowskiego getta w Litzmannstadt – bo taką nazwę nosiło miasto w czasie II wojny światowej – nierozzerwalnie związana jest historia łódzkich tramwajów. Służyły one m.in. do transportu towarów. Przez getto przejeżdżały też linie tranzytowe, przeznaczone wyłącznie dla Niemców i Polaków.



10 września o 19.00 w Galerii Awangarda (BWA) **we Wrocławiu** (ul. Wita Stwosza 32) odbędzie się wernisaż **wystawy „Kobiety na zakręcie. W cieniu historii”**. Ekspozycja składa się z obrazów wykonanych techniką szablonową przez artystkę Ewę Ciepielewską i biogramów opracowanych przez dr Joannę Hytrek-Hryciuk z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu. Są to portrety dwunastu kobiet, które znacząco zapisały się w historii Polski od lat dwudziestych do dziewięćdziesiątych XX wie-



ku: Grażyny Bacewicz, Zofii Chądzyńskiej, Ruty Czaplińskiej, Anny Gosławskiej-Lipińskiej, Krystyny Gryczelowskiej, Janiny Karasiówny, Cywii Lubetkin, Haliny Mikołajskiej, Marii Ossowskiej, Miłeny Rudnyckiej, Wandy Rutkiewicz i Jadwigi Witkiewicz. Ich działalność była unikatowa i prekursorska, ale często niedoceniana, a dziś rzadko się o niej pamięta. W Galerii Awangarda wystawę można oglądać do końca września. W grudniu ekspozycja zagości w Arsenale przy ul. Cieszyńskiego 9.

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr hab. Robert Klementowski,
dr Krzysztof Kaczmarek, dr Maciej
Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyzewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski,
Jan Olaszek, dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczyk,
Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.

ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych
tekstach.

■ Delegatura IPN w Bydgoszczy przygotowała **wystawę „Zapomniani kaci Hitlera. »Samoobrona« Niemiec-ka na Pomorzu Gdańskim (Selbstschutz Westpreussen) w 1939 r.”**. Na dwudziestu planszach przedstawiono m.in. genezę Selbstschutzu w Polsce i na Pomorzu Gdańskim, topografię i skalę terroru niemieckiego, krótki opis największych zbrodni Selbstschutzu i współczesne formy ich upamiętnienia. Wystawa będzie prezentowana 20 września **w Łopatkach** koło Wąbrzeźna – w lesie obok pomnika, który upamiętnia Polaków zamordowanych przez Selbstschutz w 1939 roku. 26 listopada ekspozycja zagości w Domu Polskim przy ul. Grodzkiej 1 **w Bydgoszczy**, a z czasem także w innych miastach.

■ Od 15 września do 15 października na pl. Żołnierza Polskiego („aleja kwiatowa”) **w Szczecinie** można będzie oglądać **wystawę „Niech polska ziemia utuli ich do spokojnego snu. Ekshumacje i identyfikacje ofiar terroru komunistycznego”**.

Od przeszło dwudziestu lat trwa powolny proces przywracania pamięci o ofiarach komunistycznego reżimu w Polsce – ludziach w większości chowanych potajemnie, w nieoznaczonych, często zbiorowych, mogiłach. Ekspozycja prezentuje wyniki prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Instytut Pamięci Narodowej w ramach ogólnopolskiego projektu badawczego „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956” oraz wcześniejszego „Śladami zbrodni”. Na planszach zostały ukazane m.in. sylwetki 28 osób, których szczątki udało się odnaleźć w 2012 i 2013 roku w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach, a następnie zidentyfikować dzięki badaniom DNA.



■ Instytut Pamięci Narodowej po raz drugi organizuje **konkurs fotograficzny „Pamięć w obiektywie”**. Adresatami są wszyscy, którzy pasjonują się fotografią i podczas wakacji lubią odwiedzać miejsca związane z przeszłością. Wystarczy zrobić zdjęcie miejsca pamięci związanego z walką o niepodległość Polski do 1989 roku, zalogować (lub zarejestrować) się na portalu Facebook.com, wejść do aplikacji konkursowej, która znajduje się na fanpage’u Strefy Edukacyjnej IPN, i dodać tam fotografię wraz z krótkim opisem (do 2 tys. znaków): co zdjęcie przedstawia, jakiego wydarzenia dotyczy, kogo lub co upamiętnia oraz kiedy i gdzie zostało wykonane. Fotografie należy zgłaszać



■ IPN oraz Instytut Historii PAN już po raz ósmy ogłosiły **konkurs im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku**. Uprawnieni do udziału są autorzy niepublikowanych prac magisterskich i doktorskich poświęconych historii Polski i Polaków w XX wieku, obronionych między 1 października 2013 a 31 października 2014 roku. Prace oceni Komisja Konkursowa w składzie: prof. dr hab. Tomasz Szarota, prof. dr hab. Andrzej Paczkowski, prof. dr hab. Andrzej Chojnowski, dr hab. Marek Kornat, dr hab. Krzysztof Kosiński, prof. dr hab. Antoni Dudek i dr Władysław Bułhak (sekretarz). Wyniki zostaną ogłoszone do 1 kwietnia 2015 roku. Laureaci I nagrody w obu kategoriach otrzymają okolicznościowy dyplom oraz honorarium: 10 tys. zł w przypadku najlepszej pracy magisterskiej i 25 tys. zł w przypadku najlepszej pracy doktorskiej. Nagrodzone prace zostaną wydane w formie książkowej przez IPN i IH PAN.

Prace konkursowe należy nadsyłać w postaci wydruku obronionej pracy (bez żadnych zmian dokonanych później) **do 30 listopada** na adres: Instytut Pamięci Narodowej, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs na Najlepszy Debiut Historyczny Roku”. Szczegółowy regulamin znajduje się na stronie www.pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy. Dodatkowych informacji udziela Piotr Gajewski (tel. 22 581 85 98, e-mail: piotr.gajewski@ipn.gov.pl).



■ Do połowy listopada w gmachu Muzeum Archeologicznego przy ul. Senackiej 3 **w Krakowie** czynna jest **wystawa „Dla Ciebie Polsko. W stulecie czynu legionowego”**, przygotowana przez tamtejszy Oddział IPN. Ekspozycja przybliży trudne i skomplikowane losy polskich legionistów w latach I wojny światowej – od wymarszu z krakowskich Oleandrów w sierpniu 1914 roku do chwili odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości. W układzie chronologicznym zostały przedstawione najważniejsze działania wojenne, a także sylwetki dowódców i żołnierzy legionowych. Atrakcyjność przekazu zwiększają liczne elementy multimedialne, m.in. unikatowy film archiwalny z wkroczenia legionistów do Warszawy. Wystawa opowiada jednak nie tylko o wymiarze militarnym działań Legionów, lecz także o zawiłych okolicznościach politycznych, w których przyszło szukać drogi do niepodległości.



do 15 października w formacie JPG – wyłącznie za pośrednictwem aplikacji konkursowej. Nagrody zostaną przyznane przez komisję konkursową oraz osobno przez społeczność facebookową. Wyniki poznamy najpóźniej 17 listopada. Szczegółowy regulamin konkursu znajduje się na fanpage’u Strefy Edukacyjnej IPN.

POSTAĆ MIESIĄCA

10 września 1939: Zmarł kpt. Władysław Raginis, dowódca wojsk polskich w bitwie pod Wizną.

Raginis pochodził z polskiej rodziny ziemiańskiej mieszkającej na terenie dzisiejszej Łotwy. Ukończył gimnazjum w Wilnie, Szkołę Podchorążych Piechoty w Komorowie i Oficerską Szkołę Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Służył m.in. w 76. Lidzkim Pułku Piechoty w Grodnie. W 1939 roku otrzymał początkowo przydział do pułku „Sarny” Korpusu Ochrony Pogranicza. Po niemieckiej napaści na Polskę dowodził obroną dziewięciokilometrowego odcinka „Wizna” na wschód od Łomży, w widłach rzek Biebrzy i Narwi. Ciągnęła się tu nieukończona linia fortyfikacji strzegących drogi na Białystok. Raginis złożył przysięgę, że nie odda żywy bronionych pozycji. Oddziały niemieckie podeszły pod Wiznę 7 września, jednak najcięższe walki rozpoczęły się dwa dni później. Kilku set żołnierzy pod dowództwem kpt. Raginisa miało naprze-



► Władysław Raginis (1908–1939)

ciw siebie 42-tysięczny XIX Korpus Armijny gen. Heinza Guderiana. Co prawda większość niemieckich wojsk dopiero czekała na przeprawę przez Nawę, ale i tak dysproporcja sił była ogromna – dlatego Wizna bywa nazywana polskimi Termopilami. Żołnierze Raginisa stawiali opór do wyczerpania amunicji, dając czas Wojsku Polskiemu m.in. na lepsze przygotowanie obrony Warszawy. Ostatnim bastionem pod Wizną był schron na Górze Strękowej. W beznadziejnej sytuacji kpt. Raginis nakazał żołnierzom oddać się do niewoli. Sam – ciężko ranny – pozostał w schronie i popełnił samobójstwo, rozrywając się granatem. Trzy lata temu szczątki oficera zostały odnalezione i zidentyfikowane dzięki badaniom DNA.

Władysław Raginis został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari (1970) i Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (2009). Przed dwoma laty został pośmiertnie awansowany do stopnia majora.

1 września 1979: Utworzono Konfederację Polski Niepodległej.

Była to pierwsza – od czasu rozbitcia w latach czterdziestych Polskiego Stronnictwa Ludowego – niezależna partia polityczna w kraju zdominowanym przez komunistów. Pod dokumentem założycielskim – Aktem Konfederacji Polski Niepodległej – podpisało się kilkadziesiąt osób. Większość – w tym lider KPN Leszek Moczulski – wywodziła się z opozycyjnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Konfederacja działała jawnie, dążąc do odsunięcia komunistów od władzy i odzyskania przez Polskę niepodległości. Wydawała niezależne czasopisma – m.in. „Drogę”, „Gazetę Polską” i „Opinię” – dbała też o upamiętnianie rocznic historycznych. W okresie tzw. karnawału Solidarności (1980–1981) działacze KPN byli najbardziej represjonowanym środowiskiem opozycyjnym w PRL. Prześladowania nasiliły się jeszcze po wprowadzeniu stanu wojennego. Moczulski dwukrotnie otrzymywał kilkuletnie wyroki i wychodził na wolność na mocy amnestii. Do aresztów i więzień trafiali też inni konfederaci. KPN z rezerwą podchodziła do idei kompromisu opozycji z władzami PRL i obrad Okrągłego Stołu. Zdecydowała się jednak na wystawienie własnych kandydatów w kontraktowych wyborach parlamentarnych w czerwcu 1989 roku. Trudności finansowe, brak dostępu do mediów i destrukcyjne działania Służby Bezpieczeństwa złożyły się na wyborczą porażkę konfederatów. Mimo to w kolejnych miesiącach KPN zyskiwała na znaczeniu, organizując spektakularne akcje przeciwko kandydaturze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta, a także na rzecz odebrania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej majątku i wycofania z kraju wojsk sowieckich. W 1991 i 1993 roku Konfederacja Polski Niepodległej uzyskała reprezentację w parlamencie.

12 września 1989: Sejm udzielił wotum zaufania rządowi Tadeusza Mazowieckiego.

Generał Wojciech Jaruzelski, wybrany w lipcu 1989 roku na prezydenta PRL, początkowo powierzył misję tworzenia rządu gen. Czesławowi Kiszczakowi – swojemu wieloletniemu bliskiemu współpracownikowi. Ten jednak nie zdołał sformować gabinetu. W tej sytuacji powrócił pomysł powołania premiera z kręgów opozycyjnych – zgodnie z rzuconym przez Adama Michnika hasłem „wasz prezydent, nasz premier”. Liderzy Solidarności, która triumfowała w czerwcowych wyborach parlamentarnych, zdołali przekonać do wspólnego utworzenia rządu dotychczasowych sojuszników komunistów – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. By ułatwić ekipie Jaruzelskiego zaakceptowanie takiej koalicji, kilka resortów – w tym spraw wewnętrznych i obrony narodowej – pozostawiono przedstawicielom PZPR. Odwołano ich z zajmowanych funkcji dopiero w lipcu 1990 roku.

Mazowiecki był pierwszym po wojnie niekomunistycznym premierem Polski. W czasie jego rządów sejm znowelizował konstytucję PRL, zmieniając nazwę państwa na Rzeczpospolita Polska, a także wykreślając fragmenty o „przyjaźni i współpracy” ze Związkiem Radzieckim i o PZPR jako „przewodniej sile politycznej społeczeństwa”. Na okres sprawowania władzy przez Tadeusza Mazowieckiego przypada również przyjęcie tzw. planu Balcerowicza – pakietu ustaw, które stały się podstawą transformacji gospodarki z centralnie sterowanej do rynkowej. Krytycy wytykali gabinetowi wysoki koszt społeczny reform i niechęć do rozliczenia rządów komunistycznych. Jesienią 1990 roku Mazowiecki bezskutecznie kandydował na urząd prezydenta, przegrywając nie tylko z Lechem Wałęsą, lecz także z nieznanym wcześniej Stanisławem Tymińskim. Po tej prestiżowej porażce ustąpił ze stanowiska premiera.



Fot. AIPN

► Tadeusz Mazowiecki

14 września 1949: Ksiądz Władysław Gurgacz, kapelan antykomunistycznego podziemia, został stracony w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie.

Gurgacz pochodził z rodziny chłopskiej z Podkarpacia. Święcenia kapłańskie przyjął w 1942 roku. Był jezuitą, pełniącym posługę duszpasterską m.in. w Gorlicach i Krynicy. Stał się znany za sprawą patriotycznych kazań, krytycznych wobec władzy komunistycznej.

Dwukrotnie próbowali go zabić milicjanci. W 1948 roku ks. Gurgacz przyłączył się do „Żandarmerii” – leśnego oddziału antykomunistycznej Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców. Przyjął pseudonim „Sem”, ale częściej nazywano go Ojcem. Starał się pomóc partyzantom w powrocie do cywilnego życia. Nie zdążył, gdyż w lipcu 1949 roku został aresztowany. Podczas procesu przyjął bezkompromisową postawę, broniąc współtowarzyszy. Państwowa propaganda starała się pokazać go jako bandytę,

który w jednej ręce nosił różaniec, a w drugiej pistolet. Nie miało znaczenia to, że ks. Gurgacz nigdy nie użył broni. 13 sierpnia Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie – w składzie: Władysław Stasic, Ludwik Kiełtyka, Mieczysław Motyczko – w trybie doraźnym skazał duchownego i dwóch jego towarzyszy na śmierć. Wszystkich trzech zabito strzałami w tył głowy. W 1992 roku Sąd Wojewódzki w Krakowie unieważnił wyrok wobec kapłana. Piętnaście lat później ks. Władysław Gurgacz został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Fot. AIPN



► Ksiądz Władysław Gurgacz (1914–1949)

27 września 1939: Powstała Służba Zwycięstwu Polski – pierwsza organizacja konspiracyjna w czasie II wojny światowej.

Mijał czwarty tydzień walk z Niemcami. Kapitulacja polskiej stolicy była kwestią godzin. W tej sytuacji gen. Juliusz Rómmel, dowódca Armii „Warszawa”, przekazał gen. Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu otrzymane od marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza pełnomocnictwo dowodzenia w wojnie na obszarze całego kraju. Na mocy rozkazu Rómmla Karaszewicz powołał Służbę Zwycięstwu Polski, której celem stała się walka o wyzwolenie ojczyzny – okupowanej przez Niemcy i Związek Radziecki – w przedwojennych granicach. „Twórca SZP okazał się osobą energiczną, a wielką rolę w tworzeniu struktury wojskowej odegrał płk Stefan Rowecki, mianowany szefem sztabu i I Zastępcą Głównego Dowódcy”

– pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Z nieufnością na działalność Służby Zwycięstwu Polski patrzyły jednak władze RP na uchodźstwie. General Karaszewicz-Tokarzewski – choć uzyskał poparcie różnych stronnictw politycznych – uchodził bowiem za pilsudczyka, a gen. Władysław Sikorski, nowy premier i Naczelnny Wódz, przez wiele lat był w opozycji do tego obozu. Emigracyjny rząd przygotował więc własną koncepcję ruchu oporu i już w listopadzie w miejsce SZP powołano Związek Walki Zbrojnej. Pierwszym Komendantem Głównym nowej organizacji został gen. Kazimierz Sosnkowski, przebywający wówczas we Francji. W lutym 1942 roku ZWZ został przemianowany na Armię Krajową.



Fot. AIPN

► General Michał Karaszewicz-Tokarzewski

28 września 1954: Józef Światło, zbiegły z PRL wysoki oficer bezpieczeństwa, po raz pierwszy wystąpił na antenie Radia Wolna Europa.

Światło, rocznik 1915, urodził się jako Izaak Fleischfarb. Ukończył siedem klas szkoły powszechnej i miał się rozmaitych prac. Za działalność komunistyczną spędził przed wojną dziewięć miesięcy w więzieniu. Szybką karierę rozpoczął w 1943 roku, gdy zgłosił się do powstającej u boku Armii Czerwonej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W okresie stalinizmu związał się z aparatem bezpieczeństwa. Brał udział m.in. w aresztowaniu szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, a później także prymasa Stefana Wyszyńskiego. Dosłużył się stopnia podpułkownika i stanowiska wicedyrektora Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – pionu odpowiadającego m.in. za czystki w partii komunistycznej. W grudniu 1953 roku, w czasie podróży służbowej do NRD, Światło zbiegł do Berlina Zachodniego. Swoją wiedzę o mechanizmach działania władzy komunistycznej przekazał najpierw tajnym służbom amerykańskim – uzyskując w zamian azyl w USA – a później słuchaczom Radia Wolna Europa, nadającego z Monachium i docierającego do Polski. „Były oficer MBP mówił o agenturalności polskich komunistów, ich pełnej zależności od Moskwy, wewnętrznych rozgrywkach partyjnych, a także opisywał metody śledcze i sposoby fingowania procesów” – wylicza w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Filip Musiał. Audycje *Za kulisami partii i bezpieki* oraz opracowana na ich podstawie broszura – przetrzucana do kraju balonami – wywołały w Polsce wstrząs i wymusiły reorganizację aparatu bezpieczeństwa. Przyspieszyły również odwilż polityczną w PRL.



Fot. AIPN

► Józef Światło

Urodzony w Związku Radzieckim

Krzysztof Gottesman

Różnie ich nazywaliśmy. W szkole, w domu, na podwórku, na uczelni, w pracy, oficjalnie i prywatnie. Ruskie, Kacapy, Sowiety, Moskale. Jak sięgam w głąb pamięci, nie pamiętam określenia z niewielką choć dozą sympatii. Najcieplejsze było zimne „Rosjanie”. Ale też nie wyobrażaliśmy sobie życia bez Bułhakowa i Dostojewskiego, później Solżenicyna i Grossmana – byli częścią naszej edukacji, kształtowali wyobrażenia o wielkim narodzie i wielkim kraju. I potwierdzali nasze przekonania, jaki jest straszny i inny.

Bylem niezmiernie zdziwiony, gdy jako bardzo mały chłopiec zobaczyłem dowód osobisty swojego ojca. Wiedziałem, że urodził się we Lwowie, pięknym mieście Jana Kazimierza. Opowiadał o własnych doświadczeniach w trudnej historii miasta, pełnej walk i konfliktów z Ukraińcami, o żydowskich pogromach. Wspominał też o endekach i polskich kółkach socjalistycznych, Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i kilku starszych kolegach, którzy wstąpili do nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. I o ucieczce na Zachód, gdy w 1939 roku wkroczyli tam Sowietci i zaczęli zaprowadzać swoje porządki. A w dowodzie ojca przeczytałem, że urodził się w Związku Radzieckim. We wrześniu roku 1918! Z czasem dowiedziałem się, że wszyscy, którzy urodzili się na ziemiach polskich, które po II wojnie światowej Wielka Trójka przydzieliła Związkowi Radzieckiemu, mieli taki wpis w dowodzie. Kiedyś z ciekawości poszukałem odpowiedzi, jakie miejsce urodzenia ma wpisane w dowodzie urodzony w latach trzydziestych mieszkaniec Wrocławia, który po wojnie pozostał w tym mieście. Breslau, Niemcy, III Rzeszę? Może NRD? Nie. Oczywiście Wrocław.

*Afawit my uże znajem,
Uże piszem i czytajem,
I wsie bukwy po pariadku,
Bez aszybki nazywajem.*

Tego wierszyka – po blisko pół wieku wciąż go pamiętam, choć dziś potrafię napisać tylko w polskiej transkrypcji i być może z błędami – uczyłem się w szkole podstawowej. Jak wszyscy wówczas lekcje rosyjskiego zaczynałem w piątej klasie i do matury miałem w każdym tygodniu co najmniej jedną godzinę. Co z tego zostało? U większości z nas w głowach nic, mało kto z mojego pokolenia potrafi po latach po rosyjsku powiedzieć bardziej skomplikowane zdanie. Mam oczywiście kolegów, którzy wybrali rusycystykę, kochają język, kulturę i zazwyczaj także Rosjan. Ale jest ich naprawdę bardzo niewiele. I jeszcze jedna prawidłowość, być może krzywdząca, i która mnie akurat tak mocno nie dotknęła, ale w opowieściach i wspomnieniach moich kolegów jest silniej obecna. Bywało, że rosyjskiego uczyli nauczyciele szczególnie antypatyczni, często lepiej mówiący po rosyjsku niż po polsku i zaangażowani politycznie po czerwonej stronie. Nie lubiliśmy tych lekcji, nie przykładaliśmy się do nauki. Pewnie to głupio brzmi,

ale w tym oporze był jakiś polityczny i patriotyczny podtekst.

Jeszcze bardziej był on widoczny na lekcjach historii i wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Druga połowa lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza lata siedemdziesiąte, to nie był już czas – zwłaszcza w centrum stolicy – gdy za wzmiankę o 17 września groziły wyrzucenie ze szkoły, wizyty smutnych panów i kłopoty rodziców w pracy. Oczywiście, gdy takie pytania stawały się regułą i wyglądały na zorganizowaną akcję, zaczynały się problemy. Ale proste pytanie, co się wydarzyło 17 września 1939 roku, uchodziło raczej bezkarnie. Przypominam sobie dwa typy nauczycielskiej reakcji na takie pytania. Pierwszy prezentował nauczyciel – jak nam się wydawało – starszy, bo pewnie miał z czterdzieści kilka lat. Surowy, w garniturze z kamizelką, nie dopuszczał do jakiegokolwiek dyskusji. Związek Radziecki wkroczył na polskie ziemie wschodnie, by ochronić bratnie narody białoruski i ukraiński. Żadnego tajnego protokołu nie było. Kapitulowaliśmy szybko, tym bardziej że za karę zawsze mogliśmy zostać spytani o mniej atrakcyjny temat. Drugi nauczyciel był znacznie młodszy, tuż po studiach. Mówiono, że był uczestnikiem studenckiego Marca i miał z tego powodu kłopoty. Typ równiachy.

– O co wy pytacie, przecież sami wiecie, jak było, ja też wiem – odpowiadał na nasze pytania. I też nie dopuszczał do dyskusji, tyle że nie sprzedawał, jak tamten, kitu i nie żądał kłamliwych odpowiedzi.

Obraz Rosji, Rosjan i Związku Radzieckiego kształtowała nie tylko szkoła. Oprócz domu i rodzinnych – najczęściej tragicznych – doświadczeń, wielki – jeśli nie decydujący – wpływ miały książki. Również te ze szkolnych lektur, z *Ludźmi bezdomnymi* na czele. Dostojewskiego, Bułhakowa, Gogoła, *Listy z Rosji* de Custine’a, Babla, Okudżawę, Bunina, Pasternaka, Gorkiego, Tolstoja, Grossmana, Solżenicyna, a także Koestlera, Herlinga-Grudzińskiego i wielu innych poznawaliśmy już samodzielnie, bardzo często z książek wydawanych na emigracji lub – już później – z naszego drugiego obiegu.

Straszny obraz z tych lektur się nam wyłaniał. Tępa, despotyczna siła, bez względu na wyznawaną ideologię i czas. Biedny, upodlony naród, mimo tego upodlenia dumny z siły swych władców, bezwolnie poddający się satrapom rządzącym z Kremla. Carowie, Lenin, Stalin, Breżniew. Lista wciąż niemająca ostatniej pozycji, ciągle otwarta. Zawsze gotowi, nie bacząc na nic, łamiąc wszystkie zasady i prawo międzynarodowe, dokonać agresji, wymyślając kłamliwe uzasadnienia, jak 17 września, jak w Czechosłowacji w 1968 roku czy teraz na Ukrainie.

W pięknych dziełach rosyjskich pisarzy, poetów, malarzy i muzyków przebrały nas losy ich autorów. Zsyłki, egzekucje, łagry. Wszelchobecny strach. Współczuliśmy Rosjanom i się ich bałiśmy.

Antoni Słonimski, w *Mojej podróży do Rosji* drukowanej w „Wiadomościach Literackich” na początku lat trzydziestych, opisał moskiewskie sklepy. Chciał je porównać z tymi sprzed rewolucji. „W magazynach i sklepach po prostu mieszczą się urzędy. Za wielkimi szybami siedzą urzędnicy i przykładają stempelki do spiętrzonych stosów papierów. Przepisują kawałki, wkładają w teczki, rejestrują, kopiuje, spinają spinaczami. Zamiast wędlin, butów, zegarków, kapeluszy męskich i wystaw konfekcji widzi się twarze wysuszone jak wędliny, plecy zgarbione nad aktami, całe tłumy urzędników, bo i tu jest wieczne przeludnienie” – pisał Słonimski, człowiek wcale do sowieckiej Rosji nieuprzedzony. Taką ją widział. I taki obraz z dziesiątek innych lektur tkwi w mojej głowie, a może jeszcze bardziej w sercu. Wielki kraj, inny od wszystkich, i w swej inności straszny. ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Wymiana okupantów

Andrzej Brzozowski

„Na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew–Wisła–San. Kwestia, czy i w interesie obu uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa polskiego, zostanie definitywnie zdecydowana dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia”.

Tak brzmiał jeden z punktów umowy podpisanej w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku przez Joachima von Ribbentropa i Władysława Mołotowa. Ministrowie spraw zagranicznych III Rzeszy i ZSRR oficjalnie sygnowali tego dnia dokument nazywany paktem o nieagresji. Przytoczonego powyżej fragmentu próżno jednak tam szukać. Pochodzi bowiem z tajnego protokołu, który nie został podany do publicznej wiadomości, a który miał o wiele większe znaczenie, zarówno w wymiarze politycznym oraz militarnym, jak i symbolicznym. Oba państwa podzieliły się Europą Środkowo-Wschodnią, dokonując przy tej okazji podziału Polski i formalizując sojusz wojskowy.

Niemal dokładnie miesiąc później wykonano prezentowane obok zdjęcie.

22 dni po wkroczeniu wojsk niemieckich i pięć dni po agresji radzieckiej doszło do spotkania w Białymstoku. Delegacje III Rzeszy i ZSRR spotkały się w Pałacu Branickich, aby wynegocjować szczegóły wycofania wojsk za

linię demarkacyjną, którą nakreślono już w Moskwie, a następnie – 21 września – doprecyzowano podczas „pierwszego kontaktu” oddziałów w Brześciu. Rozmowy nie były przesadnie długie – w końcu odbywały się „na drodze przyjacielskiego porozumienia”. Ustalono, że wojska niemieckie cofną się nieco z zajętych obszarów, przekazując Sowietaom m.in. zajęty kilka dni wcześniej Białystok.

Przekazanie władzy odbyło się z pompą. Przed Pałacem Branickich miała miejsce ceremonia opuszczania flagi ze swastyką i wciągnięcia na jej miejsce sztandaru z sierpem i młotem. Odegrano *Deutschland, Deutschland über alles* i *Sojuz nieruszymyj neruшимий*. Salut, uścisk dłoni, zadowolenie z wypełnionego zadania. Następnie delegacje udały się na wystawny obiad do hotelu Ritz.

Na zdjęciu wykonanym w Białymstoku tego dnia, 22 września 1939 roku, zapewne już po rozmowach, widać dwa samochody mijające się w pobliżu ratusza (widoczna wieża zegarowa), przy Rynku Kościuszki. Ciężarówka z lewej wiezie żołnierzy radzieckich oraz zapewne działaczy komunistycznych lub agitatorów po cywilnemu (stoją na podeście



z prawej strony kabiny). Samochód po prawej wiezie żołnierzy Wehrmachtu (na tablicy rejestracyjnej widać litery WH) w charakterystycznych hełmach. Pojazdy jadą w przeciwnych kierunkach, co ilustruje zmieniającą się właśnie sytuację polityczno-militarną: jeden okupant wyjeżdża, robiąc miejsce kolejnemu.

Z sytuacją wymiany okupantów wyraźnie nie współgra atmosfera na zdjęciu. U zgromadzonych przechodniów nie widać strachu, niektórzy przyprowadzili dzieci, ktoś macha czapką, ktoś – choć trudno mieć tu stuprocentową pewność z uwagi na jakość zdjęcia – trzyma w górze aparat fotograficzny, robiąc zdjęcia nad głowami gapiów. Ewidentnie przygnała ich na rynek ciekawość. Mieszkańcy Białegostoku, którzy licznie zjawili się na jednej z głównych arterii miasta, przynajmniej w części wydają się zadowoleni z takiego obrotu spraw. Kobieta w lewym dolnym rogu macha ręką, a może wręcz składa ręce do oklasków – z radością wita krasnoarmiejców i nowy, komunistyczny ład; bez żalu żegna Niemców czy może dziękuje im za kilkudniowe rządy? Raczej to pierwsze, bo zwrócona jest twarzą ku Rosjanom. Nie ma to zresztą chyba większego znaczenia (oba państwa łączą teraz wszak przyjaźń i dobrosąsiedzkie stosunki), skoro najwyraźniej upadek Rzeczypospolitej ją cieszy.

Radzieccy specjaliści od propagandy we wrześniu 1939 roku duży nacisk kładli na eksponowanie nie tylko przychylnego, lecz wręcz entuzjastycznego nastawienia miejscowej ludności, która

jakoby z wdzięcznością witała przedstawicieli ojczyzny proletariatu. Na licznych fotografiach z tego okresu można dostrzec powitalne bramy, transparenty, kwiaty, chleb i sól. Roześmiane twarze miejscowych i dobrotliwe uśmiechy sowieckich żołdatów, mających świadomość swego dziejowego posłannictwa. W większości to ustawione przed obiektyw „makiety” opinii publicznej, żywa dekoracja zaaranżowana przez znających swe rzemiosło politruków. Gotowych szablonów dostarczała socrealistyczna myśl plastyczna, której bodaj najsłynniejszą ikoną jest plakat Wiktora Koreckiego przedstawiający siarczysty pocałunek żołdaka i chłopca. Z relacji, dokumentów i czerpiących z nich opracowań naukowych wyłania się wyraźny obraz „witających”: w większości są to przedstawiciele mniejszości narodowych, Żydzi i Białorusini. We wrześniu 1939 roku Pantelejmon Ponomarienko, I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii (bolszewików) Białorusi (notabene po wojnie ambasador ZSRR w Polsce), raportował Stalinowi: „Za Białymstokiem ludność wita nasze wojska bardziej wstrzemięźliwie, gorzej zna język rosyjski, częściej rozlegają się strzały za węgla, z lasu do czerwonoarmistów, do dowódców [...] sytuacja staje się bardziej złożona niż w miejscowościach, gdzie są Białorusini”. Oczywiście do nastrojów panujących wśród mniejszości we wrześniu 1939 roku walenie przyczyniła się polityka władz II RP w okresie międzywojennym,

a na postawę ludności żydowskiej miały też wpływ wieści o losach Żydów w III Rzeszy. Nic więc dziwnego, że z ulgą żegnali Niemców. Powody, by witać żołnierzy Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej, zawsze mogły się znaleźć. Nawet pośród Polaków oglupionych komunistyczną propagandą. Kto zatem machał do niemieckich i radzieckich żołnierzy? Białorusini, Polacy i Żydzi, mieszkańcy Białegostoku i przyjezdni agitatorzy, zastraszeni represjami i omamieni sloganami, nieświadomi sowieckich realiów, ciekawscy i przypadkowi przechodnie.

Zdjęcie mogłoby trafić do podręczników propagandy jako modelowy przykład kadrowania: Sowietci są przodem do widza, to oni są pozdrawiani przez tłum, jest ich też więcej niż Niemców, a ich wyładowany samochód robi lepsze wrażenie niż ponury pojazd niemiecki, z którego wystają bezosobowe, złowrogie kształ-

ty niemieckich stahlhelmów, na dodatek widziane od tyłu. To czerwonoarmiści obejmują miasto we władanie, co podkreśla też widoczna w tle wieża ratusza – siedziby władz miejskich (co ciekawe, niespełna rok później białostocki magistrat został rozebrany, aby zrobić miejsce na pomnik Stalina).

Zdjęcie to nie jest jednak produktem radzieckiej propagandy. Zostało zrobione przez jednego z niemieckich oficerów, jadącego w pojeździe za autem widocznym na zdjęciu: w prawym dolnym rogu widać fragment maski samochodu. Cel zrobienia tej fotografii zapewne nie był propagandowy. Podczas II wojny światowej Niemcy z upodobaniem fotografowali się w podbitych krajach, często w makabrycznych okolicznościach, zupełnie jakby byli na wycieczce turystycznej. Zdjęcie z Białegostoku miało być zapewne taką właśnie pamiątką z blitzkriegu.

Korzystałem m.in. z książki Wojciecha Śleszyńskiego *Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie w latach 1939–1941. Propaganda i indoktrynacja* (Białystok 2001).



W sojuszu z Hitlerem

Ryszard Sodeł

Do pacyfikacji polskich wsi Niemcy wykorzystywali Kałmucki Korpus Kawalerii. Zasłynął on z wyjątkowego okrucieństwa wobec partyzantów i ludności cywilnej.

Daleko nad Morzem Kaspijskim osiedlił się w XVII wieku mongolski lud Kałmuków. W XVIII stuleciu tereny te podporządkowała sobie Rosja. Później, w Związku Radzieckim, Kałmucy otrzymali autonomię. Znani z koczowniczego trybu życia, nie czuli się jednak dobrze w tworzonych przymusowo kolchozach.

W sierpniu 1942 roku na teren Kałmuckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej wkroczył Wehrmacht. Władze niemieckie, chcąc pozyskać miejscową ludność, rozparcelowały majątki rozwiązanych kolchozów, przywróciły kałmuckie urzędy, szkoły i prasę oraz zezwoliły na utworzenie policji i jednostek wojskowych. Z tych ostatnich największe znaczenie zyskał kałmucki oddział Abwehrtruppe 103, formalnie podlegający niemieckiej 6. Armii. Jego dowódca, Sonderführer Othmar Werba (inna pisownia: Wrba),



► Kałmucki żołnierz w radzieckim płaszczu wojskowym i niemieckim helmie

Fot. AIPN

znany też jako Dr. Otto Doll, powołując się na swoje kontakty ze starszyzną kałmucką, przystąpił do organizowania szwadronów kawalerii kałmuckiej. Do ich zadań należały ochrona linii komunikacyjnych, służba wartownicza i zwalczanie radzieckich desantów spadochronowych na zapleczu frontu. Równocześnie przy 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej powstały dwa szwadrony kałmuckie, które pełniły identyczną funkcję. W wyniku połączenia szwadronów z Abwehrtruppe 103 z dwoma szwadronami podległymi 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej powstał Kałmucki Korpus Kawalerii (niem. Kalmücken-Kavalleriekorps, czyli KKK), nazywany również Kalmücken-Legion Dr. Doll lub Kalmücken-Verband Dr. Doll. Korpus miał status jednostki sprzymierzonej z III Rzeszą, co dawało mu dużą autonomię organizacyjną. Dowódcą KKK zawsze był oficer niemiecki. Funkcje oficerów i podoficerów w poszczególnych dywizjach i szwadronach pełnili zaś Kałmucy. Sposób rekrutacji był oparty na zasadzie plemiennej i terytorialnej, ustalonej zgodnie z prawem zwyczajowym. Korpus był podzielony na cztery dywizjony, z których każdy składał się z pięciu szwadronów.

Szlak bojowy korpusu wiódł przez Kałmucję, gdzie toczył on zacięte walki z Armią Czerwoną, a następnie Ukrainę, gdzie walczył nie tylko z partyzantką radziecką, lecz także z oddziałami Ukraińskiej Powstańczej Armii. Równocześnie pełnił służbę wartowniczą, ochraniając magazyny oraz drogi i mosty na zapleczu frontu.

Latem 1944 roku oddziały kałmuckie wzięły udział w operacjach

przeciwpartyzanckich na terenie Lubelszczyzny pod kryptonimem „Sturmwind I”, „Sturmwind II” i „Wirbelsturm”. Realizując z reguły zadania pomocnicze, korpus pacyfikował wówczas wsie w Lasach Janowskich i Puszczy Solskiej. Zasłynął z wyjątkowego okrucieństwa wobec partyzantów i ludności cywilnej. Przy-



Fot. AIPN

kładem może być tragiczny los **Lucyny Furmańczyk (ur. 1923)**. Według relacji jej ojca Bronisława, jesienią 1939 roku współpracowała ona z Oddziałem Wydzielonym Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, prawdopodobnie jako łączniczka. Później wstąpiła do Armii Krajowej, gdzie również pełniła funkcję łączniczki. Zatrzymana przez Kałmuków 14 września 1944 roku we wsi Szalas, została przez nich wielokrotnie zgwałcona. Pozostawiona w podpalonym domu, spłonęła żywcem. Ta i inne

zbrodnie kałmuckich oddziałów były po wojnie przedmiotem śledztwa, które prowadzili funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Toczyło się ono na wniosek organów ścigania ZSRR, które zajmowały się zbrodniami wojennymi popełnionymi przez członków korpusu. Ustalono przebieg pacyfikacji wsi na Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie latem i jesienią 1944 roku oraz zbiorowych egzekucji na tym terenie.

Po zajęciu Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną korpus przerzucono na teren przedwojennego województwa kieleckiego, a później również łódzkiego, gdzie prowadził operacje przeciw partyzantom, wykazując się ponownie ogromnym okrucieństwem.

W wyniku ofensywy sowieckiej korpus – wraz z innymi jednostkami niemieckimi – został rozbity 16 stycznia 1945 roku w kotle pod Ruskim Brodem. Niedobitki Kałmuków i innych oddziałów niemieckich zostały ponownie rozbite kilka dni później w okolicach Końskich.

Resztki KKK skierowano na poligon w Neuhammer (Świętoszów), gdzie przeszkolono żołnierzy w obsłudze sprzętu łącznościowego i dywersji na zapleczu frontu. W marcu 1945 roku Kałmucy zostali przerzuceni do Chorwacji. Weszli tam w skład 3. Dywizji Płastunów z XV Kozackiego Korpusu Kawalerii SS. 12 maja poddali się Brytyjczykom w okolicach Klagenfurtu w Austrii wraz z jednostkami kozackimi.

Zapisem działań Kałmuckiego Korpusu Kawalerii są fotografie ▶

przedstawiające zwykłych żołnierzy, podoficerów i oficerów w czasie przerwy walce, jak również w trakcie pełnienia służby wartowniczej oraz w czasie wolnym od służby. Zdjęcia są tym cenniejsze, że materiałów ikonograficznych dotyczących formacji wschodnich w armii niemieckiej zachowało się niewiele. Na fotografiach możemy zobaczyć charakterystyczne dla żołnierzy formacji wschodnich wojsk niemieckich niejednolite



umundurowanie i uzbrojenie. Często łączono różne niemieckie i radzieckie sorty mundurowe z narodowymi elementami ubioru. Wykorzystywano również umundurowanie po armii carskiej (odpowiednio je dostosowując) czy mundury zdobyte przez Niemców w podbitych krajach. Podobnie działo się z uzbrojeniem. Oprócz regulaminowego sprzętu niemieckiego można było spotkać uzbrojenie radzieckie (w dużej ilości), polskie, czeskie i holenderskie. Przykładem może być fotografia



czteruosobowego patrolu konnego

– jeden z żołnierzy jest uzbrojony w pistolet maszynowy PPSz wz. 1941, przewieszony na pasie nośnym przez szyję, a dwaj jego towarzysze są uzbrojeni najprawdopodobniej w niemieckie karabiny typu Mauser 98k, przewieszane przez plecy.

Nakryciem głowy bywały niemieckie czapki polowe z daszkiem, furażerki, a także futrzane, okrągłe kubanki, charakterystyczne zwłaszcza dla jednostek kozackich. Obrazuje to fotografia przedstawiająca **dwóch żołnierzy stojących przed domem**. Ponadto ciekawostką może być **plakietka naszyta na prawym rękawie Kałmuka** stojącego po lewej stronie. Prawdopodobnie jest to emblemat w postaci brązowej rozety w kałmuckim wzorze wpisanym w owal. Na złotej obwódce umieszczono nazwę jednostki w języku niemieckim i kałmuckim (pisane cyrylicą).

Po zakończeniu działań wojennych duża część kałmuckich żołnierzy i przebywających z nimi rodzin została wydana Sowiecom i zesłana na Syberię lub skazana na karę śmierci. Inaczej potoczyły się losy

Jermaka Łukjanowa. Jako porucznik Armii Czerwonej brał udział w wojnie fińsko-radzieckiej. Podczas walk dostał się do fińskiej niewoli. Po zakończeniu tej wojny odmówił powrotu do ZSRR i po krótkim pobycie w Finlandii wyjechał do Francji, gdzie nawiązał kontakty z diasporą kałmucką i środowiskami kozackimi białych emigrantów opowiadających się za współpracą z III Rzeszą. W 1943 roku – na wieść o formujących się oddziałach kałmuckich – zaciągnął się do KKK, gdzie pełnił funkcję dowódcy kolejno 3., 4. i 1. dywizjonu. W maju 1945 roku na terenie Austrii dostał się do niewoli brytyjskiej. Uniknął losu tysięcy obywateli radzieckich z formacji kolaboracyjnych i nie został wydany w ręce sowieckie. Po uzyskaniu obywatelstwa belgijskiego osiedlił się w tym kraju. W maju 1968 roku Łukjanow podjął brzemienne w skutki decyzję



Fot. AI PN

– postanowił wybrać się na wycieczkę turystyczną do Moskwy. Okazało się, że Sowieci nie zapomnieli o jego zdradzie. Został aresztowany pod zarzutem współpracy z hitlerowskimi Niemcami, zdrady stanu oraz udziału w zbrodniach wojennych na obszarze ZSRR i Polski. Następne 15 lat spędził w szpitalach psychiatrycznych pod nadzorem KGB. W roku 1984 stanął przed sądem, który uznał go za zdrajcę ojczyzny i skazał na śmierć.

W połowie maja wyrok wykonano. Proces wywołał oburzenie na Zachodzie, jednak podpisy 260 deputowanych belgijskiego parlamentu i głosy płynące z Parlamentu Europejskiego nie powstrzymały egzekucji dawnego kałmuckiego kawalerzysty. 📌

Ryszard Sodel – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, redaktor książki *Kałmucki Korpus Kawalerii. Zbrodnie popełnione na ziemiach polskich w 1944 r. w dokumentach SB (2011)*

Żołnierze AK musieli walczyć przez całe życie. Podczas II wojny światowej z niemieckim i sowieckim okupantem. Po wojnie, zamiast chodzić w zasłużonej glorii bohaterów, kontynuowali nierówną walkę z komunistami. Jedni walczyli zbrojnie, inni starali się zachować godność i nie dać się złamać.

Większość żołnierzy Armii Krajowej stanowili młodzi ludzie. Wychowani w niepodległej Rzeczypospolitej, darzyli niemal kultem bohaterów wcześniejszych powstań narodowych, w tym dożywających ostatnich lat powstańców styczniowych. Podczas spotkań obu pokoleń zapewne więcej było opowieści o heroicznej walce z rosyjskimi żołdactwami niż historii z lat późniejszych, czyli zsyłek, odbierania majątków i upokorzeń, jakich nie skąpił powstańcom rosyjski zaborca. Zapewne część tych młodych ludzi marzyła o równie bohaterskich czynach, nie spodziewając się, że dostanie od losu taką szansę. Gdy wybuchła II wojna światowa, spontanicznie zaczęły się organizować pierwsze zręby konspiracji.

Wołyń okazał się jedną z tych ziem przedwojennej Rzeczypospolitej, które w wyniku wojny poniosły ogromne straty. Mimo to powstały tutaj oddziały AK. Tereny te przeżyły w latach 1939–1944 dwie okupacje: sowiecką i niemiecką. Nie możemy także zapominać o ludobójstwie dokonanym na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich. To właśnie organizujące się spontanicznie oddziały samoobrony stały się zaczątkiem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, która liczyła ponad 6 tys. żołnierzy i była jednym z największych zgrupowań partyzanckich Armii Krajowej. Formowanie dywizji rozpoczęło się w styczniu 1944 roku i była to pierwsza jednostka AK, która w ramach akcji „Burza” miała występować przed wkraczającymi oddziałami Armii Czerwonej. Te bowiem w styczniu przekroczyły granicę II RP właśnie na Wołyniu. Początkowo współpraca z Sowietami układała się nie najgorzej i dlatego dywizja wzięła udział m.in. w operacji kowelskiej. Jednak jej

półroczny szlak bojowy zakończył się na Lubelszczyźnie, gdzie została otoczona przez jednostki Armii Czerwonej i rozbrojona. Część żołnierzy wcielono do Armii Berlinga, z którą doszli do Berlina. Jednak wielu z nich czekało dużo gorszy los. Niektórzy zostali rozstrzelani, pozostali umieszczono w obozie NKWD w Skrobowie, a następnie zesłano na Syberię, z której dopiero po kilku latach dane im było powrócić do kraju. Jednak ich rodzinne strony znajdowały się już w granicach sowieckiej Ukrainy.

Rozsiani po całym kraju, starali się funkcjonować w narzuconym Polsce systemie politycznym z różnym powodzeniem. Jednak, zwłaszcza do przemian roku 1956, władza dawała im odczuć, że wciąż są „zapłutymi karłami reakcji”. Wiązało się to z konkretnymi problemami: gorszą pracą, kłopotem z rozpoczęciem studiów, ciągłym „zainteresowaniem” ze strony bezpieki. Nawet towarzyskie kontakty z przyjaciółmi z AK mogły zostać potraktowane jako „dywersja” i „szpiegostwo”.

Przełom polityczny, który przyniósł październik 1956 roku, spowodował pod tym względem sporą zmianę. Żołnierze AK przestali być, oficjalnie, postrzegani jako zdeklarowani wrogowie. Mogli zapisywać się do jedynej w PRL organizacji kombatanckiej, czyli Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, do którego należeli także partyzanci formacji komunistycznych. Jednak nawet odwilż nie spowodowała, że byłymi akowcami przestała się interesować Służba Bezpieczeństwa. Major Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota”, w czasie II wojny światowej jeden z dowódców 27. Wołyńskiej DP AK, był inwigilowany w ramach sprawy ewidencyjno-operacyjnej. Podobny los spotkał wielu jego podwładnych i dowódców innych

oddziałów partyzanckich. Było tak, nawet jeżeli wykazywali oni lojalność wobec nowej władzy.

Prezentowana notatka powstała na podstawie przechwyconej przez SB korespondencji prowadzonej przez „Żegotę” z innymi akowcami. Widząc polityczną odwilż, postanowili oni zorganizować towarzyskie spotkanie kombatanatów. Bez akcentów politycznych, jedynie muzyka, taniec, wspomnianie lat wojny. Jednak zgromadzenie w jednym miejscu kilkudziesięciu oficerów AK musiało zwrócić uwagę SB. Do warszawskiej kawiarni „Mirowska”, gdzie zorganizowano spotkanie, wysłano agentów, którzy mieli pilnie nasłuchiwać kularowych rozmów. Oprócz „wołyniaków” wzięli w nim udział przedstawiciele innych oddziałów AK, m.in. „Jerzyków”. Uczestnicy zdawali sobie sprawę z tego, że SB wysłała tam swoje „oczy i uszy”, dlatego wzniesiono toast za „towarzysza Gomułkę”. Z drugiej strony żartowano z robiących zdjęcia fotografów, że „zdjęcia robią nasi koledzy, a nie dziennikarze, czyli donosiciele”.

Dokument jest dobrym przykładem życia w potrzasku i ciągłej świadomości zagrożenia, z którym musieli zmagać się żołnierze i oficerowie AK. Nie ginęli już wprawdzie – jak ich literackie odbicie, czyli Maciek Chełmicki z „Popiołu i Diamentu” – na śmietniku historii. Spotykał ich jednak los zaszczuwanej ofiary, czego doskonałym przykładem jest historyk Paweł Jasienica. Podczas wojny żołnierz wileńskiej AK i adiutant Zygmunta Szendzielarza, po jej zakończeniu znany i ceniony pisarz, którego z powodu walki u boku „Łupaszki” otoczono wianuszkami agentów. Donosili oni o niemal każdym kroku Jasienicy. Tak jak w przedstawionym dokumencie, nawet przebieg spotkania towarzyskiego musiał być znany SB. W oczach Służby Bezpieczeństwa akowcy niemal do końca PRL pozostawali bowiem „zapłutymi karłami reakcji”. ❄

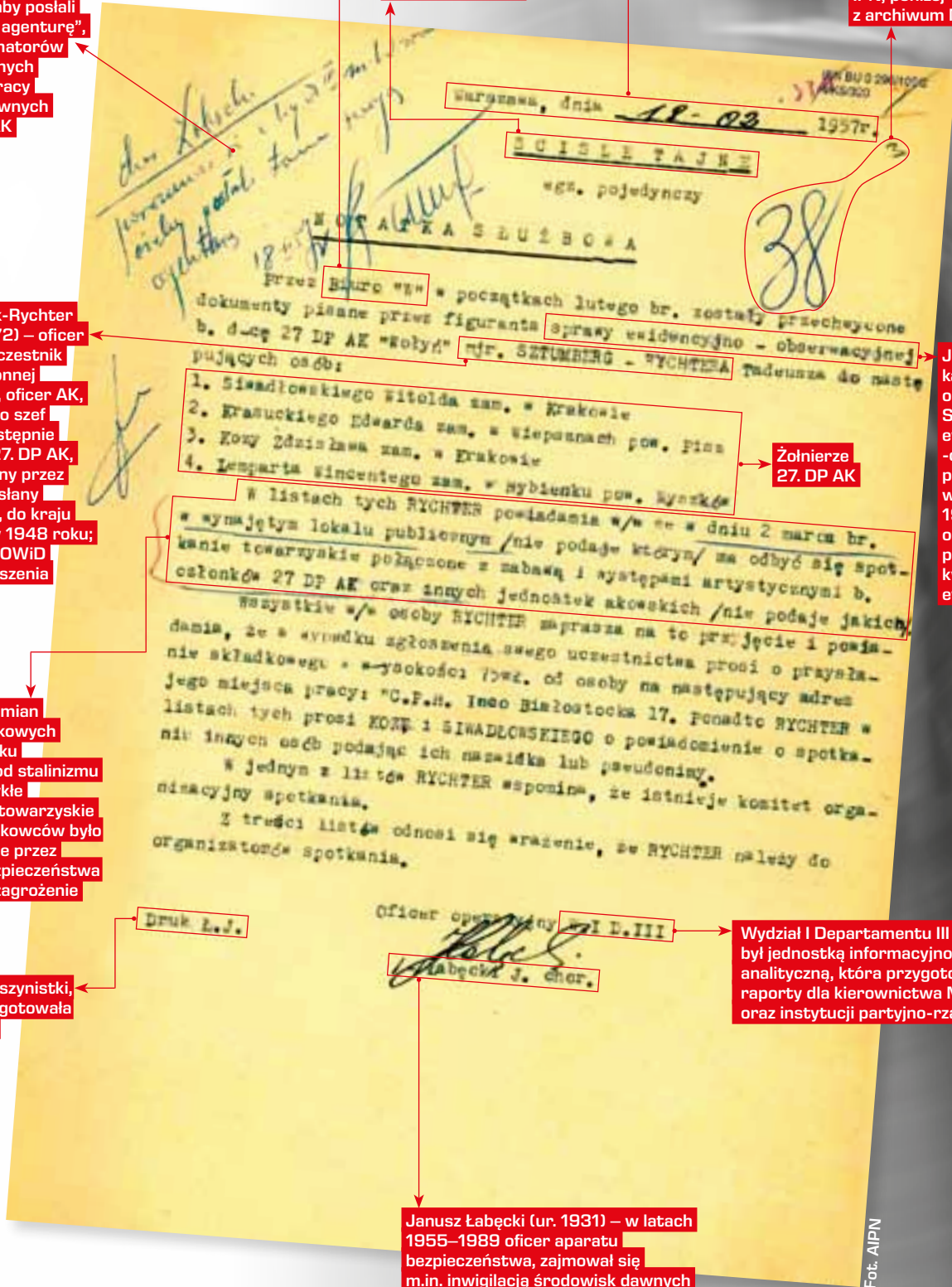
Biuro „W” MSW – jednostka SB zajmująca się tajną kontrolą korespondencji (perlustracją)

Najwyższa klauzula tajności; poniżej informacja, że powstał tylko jeden egzemplarz

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Paginacja, powyżej – nadana w archiwum IPN, poniżej – pierwotna z archiwum MSW

Odręczny dopisek z poleceniem: „porozumieć się z Wydziałem I III m. W-wa, aby posłali tam swoją agenturę”, czyli informatorów zwербowanych do współpracy z grona dawnych żołnierzy AK



Tadeusz Sztumberk-Rychter (1907–1972) – oficer artylerii, uczestnik wojny obronnej 1939 roku, oficer AK, początkowo szef sztabu, następnie dowódca 27. DP AK, aresztowany przez NKWD i zesłany na Syberię, do kraju powrócił w 1948 roku; członek ZBOWiD i Stowarzyszenia „PAX”

Mimo przemian październikowych w 1956 roku i odejścia od stalinizmu nawet zwykłe spotkanie towarzyskie dawnych akowców było traktowane przez aparat bezpieczeństwa jako duże zagrożenie

Inicjały maszynistki, która przygotowała dokument

Druk Ł.J.

Oficer operacyjny Wydział I D. III

Janusz Łąbecki J. cher.

Janusz Łąbecki (ur. 1931) – w latach 1955–1989 oficer aparatu bezpieczeństwa, zajmował się m.in. inwigilacją środowisk dawnych żołnierzy AK

Żołnierze 27. DP AK

Jedna z niższych kategorii spraw operacyjnych SB, sprawy ewidencyjno-obszerniczej prowadzone w latach 1955–1960, odpowiednik późniejszego kwestionariusza ewidencyjnego

Cynizm Goetha

"Bicie było moim prawem"

Na środkowej rozprawie przeciwko Amonowi Goethowi w dalszym ciągu asystował świadek Pempser. Na kapitule sądnego NTN Zambalego czy ma trochę spowolnienie? Pempser zarzucił, że w obłędzie mógł ogła...

Człowiek - potwór

Z procesu Goetha

KRAKÓW (Obst. wł.). W dniu egzekucji części powoływano przed sądem przewinła powoływano przed sądem przewinła powoływano...

Wymiar sprawied

Ludobójstwo

Proces Amona Goetha, jest procesem o podwójnym charakterze. Jest procesem o ludobójstwo, który jako...

Zbrodnia dla kapry i zabawy

Hubala i opór, miał opłakić wyjątkowo na konferencji wiedeńskiej...

I pospolity

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

Goeth odgrywał rolę w procesie. W tym czasie dokonywał...

W książce Amon. Mój dziadek by mnie zastrzelił napisała Pani, że jako dziecko Göth wydawał się jeszcze zupełnie normalny. Jak doszło do tego, że stał się masowym mordercą?

Początkowo szukałam odpowiedzi w jego biografii, bo zwykle jest tak, że rozwój człowieka jest silnie naznaczony przez doświadczenia z dzieciństwa. W trakcie kwerendy nie znalazłam jednak niczego szczególnego. Amon Göth pochodził z dobrego mieszczańskiego domu. Był jedynakiem, synem wiedeńskiego wydawcy. Chodził do szkoły z internatem, później pracował w rodzinnym interesie. Nie miał traumatycznego dzieciństwa, które mogłoby tłumaczyć jego późniejsze okrucieństwo. O ile wiem, nikt nie znęcał się nad nim, gdy był dzieckiem, ani nie zaniedbywał go emocjonalnie. Myślę więc, że zadziałały tu inne czynniki. Z pewnością nie bez znaczenia był czas, w którym żył mój dziadek. Jego zachowanie było wtedy nie tylko aprobowane – było wręcz pożądane. Wpisywało się w oczekiwania, które sformułowano w 1942 roku w trakcie konferencji w Wannsee, gdy omawiano sposób likwidacji europejskich Żydów. Amon Göth był więc częścią tamtych okrutnych czasów – co oczywiście go nie usprawiedliwia.

Było coś jeszcze, co odróżnia mojego dziadka od sprawców takich jak Eichmann. Adolf Eichmann był biurokratą, człowiekiem podporządkowanym zwierzchnikom i starającym się możliwie dokładnie – z niemiecką pedanterią – wykonywać rozkazy. Działanie mojego dziadka manifestowało się w okrucieństwie, było zaspokajaniem własnej przyjemności zabijania i dręczenia ludzi. Myślę, że można to wytłumaczyć skłonnościami sadystycznymi. Być może w innych czasach mój dziadek również stałby się kryminalistą.

Pani babcia, Ruth Irene Göth, do samobójczej śmierci w 1983 roku broniła Pani dziadka. Gdy spotkała się z izraelskim historykiem Tomem Segevem, mówiła o Żydach: „to przecież nie byli prawdziwi ludzie”. Z drugiej strony w latach powojennych wynajmowała pokój Afrykańcykowi, głosowała na socjaldemokratów i kochała język angielski. Skąd ta sprzeczność?

Człowiek ma różne twarze. Moja babcia z jednej strony była nieczułą kobietą. Miała też jednak drugie oblicze – serdeczne, pełne współczucia. Taka właśnie była w kontaktach ze mną. Akceptowała mnie jako ciemnoskórą wnuczkę.

Amon Göth (1908–1946) wychował się w Wiedniu. Na początku lat trzydziestych wstąpił do hitlerowskiej NSDAP i do SS, gdzie dosłużył się stopnia Hauptsturmführera, będącego odpowiednikiem kapitana. W latach 1943–1944 był komendantem obozu pracy (później koncentracyjnego) w Płaszowie na obrzeżach Krakowa. Przez więźniów był nazywany katem Płaszowa: wysyłał na śmierć, osobiście zabijał i dręczył tysiące ludzi, w ogromnej większości Żydów. Odpowiadał też m.in. za likwidację gett w Krakowie i Tarnowie. W 1945 roku został aresztowany przez żołnierzy amerykańskich i rok później wydany Polsce. We wrześniu 1946 roku Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie skazał go na śmierć. Wyrok wykonano jeszcze w tym samym miesiącu w więzieniu przy ul. Montelupich. Göth jest negatywnym bohaterem głośnego filmu Stevena Spielberga Lista Schindlera (1993).

Fot. AIPN

Amon Goeth będzie stracony

Jak się dowiadujemy. Prezydent KRN nie skorzystał z prawa łaski w stosunku do skazanego na śmierć Amona Goetha. Wobec tego wyrok wykonany zostanie przez powieszenie w najbliższych dniach a może i godzinach, za ledwie od decyzji prokuratora. Wykonanie wyroku nie będzie publiczne.

Kat Płaszowa przed sądem

W dniu 27 sierpnia br. stanął w Krakowie przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Płaszowie komendant obozu koncentracyjnego w Płaszowie i likwidator oboziska krakowskiego i latwoskiego SS-Hauptsturmführer Amon Leopold Goeth.

Prosząc i kat Płaszowa – sielący samym swoim pojawieniem się grozę i lek – morderca wielu tysięcy ludzi – odpowiada za swe okrucieństwa. Amon Goeth – to nie była jakaś morderca. Można bez przesady twierdzić, że zastrzelił on sobie na miarę ludobójcy. Wiedzący ten, cięższy się umianem i pełnym...



Fot. AIPN

Amonium
Główny Komisji Badanie
Zbrodni Niem. w Polsce
ok. N. 2/102x-2no
4461.



Fot. AIPN

Jeśli spojrzemy, co robili w czasach narodowego socjalizmu całkiem przeciętni ludzie – tacy jak ja i panowie – o których myśli się, że są w stanie jasno określić, co jest dobre, a co złe, to z przerażeniem zobaczymy, do jakich czynów każdy jest zdolny. Nawet jeśli jest to tylko bierność uczestnictwo w zbrodniczym systemie lub odwracanie wzroku. Na tle sprawców i biernych uczestników reżimu liczba członków ruchu oporu była mikroskopijna.

Dopiero w roku 1948 Pani babcia przyjęła nazwisko Göth. Działo się to w czasie, gdy wielu ludzi zacierало swoje związki z narodowym socjalizmem. Czy w przypadku Pani babci chodziło o solidarność z człowiekiem, którego kochała?

Myślę, że tak. Nie sądzę, że była to deklaracja polityczna. Z zewnątrz można oczywiście tak to ocenić i moja babcia

► Amon Göth (z lewej) przed wejściem do budynku sądu, w tle samochód więzienny; Kraków, lato 1946 roku



Fot. AIPN

z pewnością była tego świadoma. Wydaje mi się jednak, że chodziło o prywatną decyzję, wynikającą z miłości, a nie ideologii.

Co tak fascynowało Pani babcię w Amonie Göcie? Władza, którą miał jako „król Płaszowa”?

Mężczyźni, którzy są wpływowi i bogaci, z reguły prezentują się w oczach kobiet jako atrakcyjni, nawet jeśli nie są przystojni. To mógł być jeden z czynników. Po drugie, moja babcia prowadziła u boku Amona Götha wygodne życie. Nie musiała pracować, miała czas, by wydawać przyjęcia. Babcie mogła też fascynować inteligencja mojego dziadka. Nie mam na myśli inteligencji emocjonalnej, tylko raczej analityczną. Dla mnie zresztą też jest to u mężczyzny ważna cecha.

Wychowała się Pani w rodzinie adopcyjnej. Pani adopcyjni dziadkowie też przeżyli wojnę. Czy to możliwe, że nie wiedzieli nic o zbrodniach reżimu Hitlera?

Pytanie brzmi raczej: Jak dużo wiedzieli? Dotyczy ono jednak całego niemieckiego społeczeństwa. Bez wątpienia wiedzano, że Żydzi z najbliższego otoczenia są prześladowani. Dyskryminacja, której doświadczali, była widoczna dla wszystkich – niezależnie od tego, czy chodziło o wywłaszczenie społeczności żydowskiej, nakaz noszenia gwiazdy Dawida czy deportacje. To, co się stało po 1942 roku, działo się częściowo za zamkniętymi drzwiami, a nie na oczach społeczeństwa. Gdy jednak pomyśli się, jaki zapach unosił się nad krematoriami, nasuwa się przypuszczenie, że wielu ludzi wiedziało więcej, niż jest dziś skłonnych przyznać. A nawet jeśli niczego nie wiedzieli, nie zwalnia ich to od odpowiedzialności, która nakazuje dopytywać.

Pani adopcyjnego ojca nurtowały pytania o lata wojny.

Moi adopcyjni rodzice urodzili się zbyt późno, by móc uczestniczyć w zbrodniach. Ostatnie dni wojny przeżyli w wieku niemal niemowlęcym. A jednak wojna ich naznaczyła – byli wychowywani przez pokolenie wojenne, które w następnych latach milczało. Długo trwało, zanim lata II wojny światowej trafiły w Niemczech do świadomości opinii publicznej i zanim rozpoczęła się dyskusja na ten temat.

Napisała Pani, że po wojnie „przeszłość Niemiec została przekłamana, a poczucie winy uległo zbiorowemu wyparciu”.

Były lata, kiedy próbowano wypierać to, co się stało. Wielu odsuwało od siebie odpowiedzialność za to, co działo się do 1945 roku, i zrzucało ją na przywódców. Tłumaczono, że tylko wykonywano rozkazy. W domu mojego adopcyjnego ojca właściwie nie były możliwe rozmowy o wojnie. Dopiero znacznie później zaczął stawiać pytania na ten temat i, o ile wiem, otrzymał niewiele odpowiedzi. Myślę jednak, że pytania, których nie mógł zadać rodzicom, kumulowały się w nim i dlatego nieustannie zajmował się tym tematem. Przeczy-

tał niesamowicie dużo książek. Wykazywał ponadprzeciętnie wysokie zainteresowanie tym okresem, ale zamiast dopuścić do siebie uczucia, uciekał w czysto akademickie dyskusje. Szczególnie zajmowało go pytanie, ilu ludzi zostało zamordowanych. Dokładna liczba nie jest jednak najważniejsza. Istotniejsze są pytania: Co oznacza Holocaust? W jaki sposób ludzie stają się sprawcami? Jak ja bym się wówczas zachował? Pytania, które są pomocne na przyszłość. Także dzisiaj mamy wiele problemów, które na pierwszy rzut oka nie mają nic wspólnego z przeszłością, ale – jeśli dokładniej się im przyjrzeć – widać elementy wspólne: czystki etniczne, nienawiść rasową, ekstremizm.

Dziś często mówi się i pisze o zbrodniach nazistowskich. Czy nie lepiej mówić o zbrodniach niemieckich?

To skomplikowane. Gdy mówi się o zbrodniach niemieckich, to krzywdzi się członków ruchu oporu, takich jak Sophie Scholl. Z drugiej strony, nie chodzi o paru nazistów, lecz o szerokie masy. To nie była mniejszość, to była duża część społeczeństwa – nie tylko członkowie NSDAP, lecz także ludzie, którzy podpisywali się pod tymi poglądami.

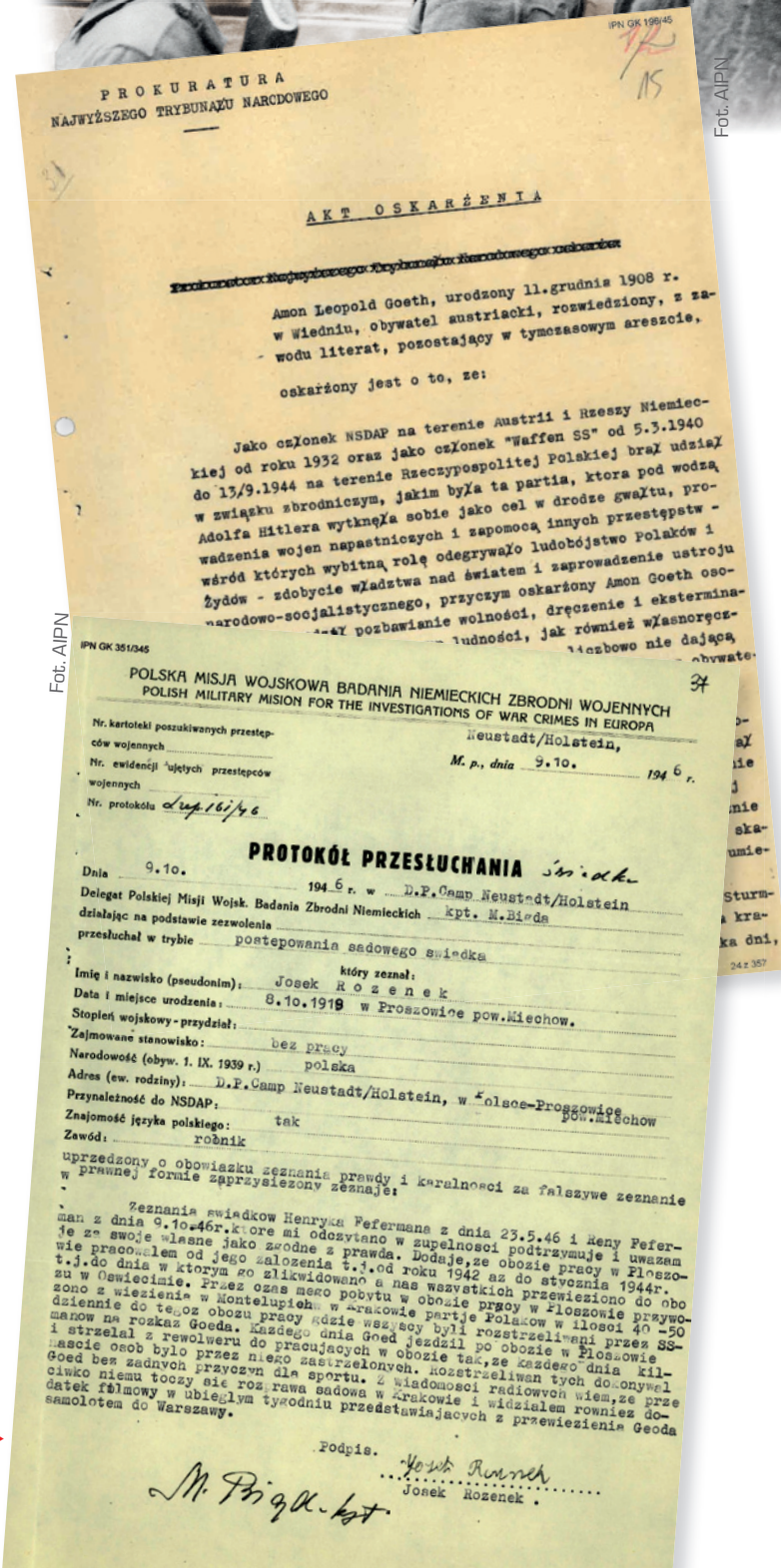
Chodziła Pani do szkoły na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Czy już wówczas w RFN edukowano na temat Holocaustu?

W szkole bardzo dużo rozmawialiśmy o II wojnie światowej i Holocaustie. Brakowało jednak czasu, by wpisać to w szerszy kontekst historyczny. W edukacji szkolnej chodzi przede wszystkim o przekazanie faktów. Następnym etapem po uzyskaniu podstawowej wiedzy powinno być jednak sformułowanie pytań: Jak mogło do tego dojść? Dlaczego ludzie są zdolni do takiego działania? Czego nauczyło nas to na przyszłość? W jakim stopniu ten temat jest aktualny dzisiaj? I na przykład pokazanie, że prześladowanie Żydów nie było fenomenem Holocaustu, lecz zaczęło się wiele wieków wcześniej. Tego w latach szkolnych nie zdołałam pojąć i nie sądzę, że dzisiejsza edukacja jest pod tym względem inna. Moje dzieci są jednak za małe, by zdążyły się zetknąć z tym tematem. Uczniowie w Niemczech zazwyczaj zaczynają poważnie rozmawiać o Holocaustie w dziewiątej klasie.

Rainer Höß, wnuk komendanta Auschwitz Rudolfa Hößa, wystąpił niedawno w telewizyjnym spocie, przestrzegając przed głosowaniem na prawicowych ekstremistów w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Wzięłaby Pani udział w podobnej akcji?

Nie. Jest różnica, czy angażuję się politycznie, czy też udzielam się w sensie pedagogicznym. Na to drugie jestem gotowa, ale w oszczędnym wymiarze. Robię to samym moim istnieniem, ale też przez publiczne wypowiedzi i książkę, którą napisałam. Jest w niej wiele z tego, co myślę. Ale nie wszystko, dlatego jestem otwarta na udzielanie wywiadów. Chcę to jednak robić w granicach, które sama wyznaczam, i nie mam zamiaru nikogo pouczać.

► Göth (z prawej) idzie pod eskortą do lub z sali rozpraw



Fot. AIPN

W Polsce głośno było rok temu o niemieckim serialu *Nasze matki, nasi ojcowie*. Widziała Pani ten trzyczęściowy film?

Tak. Wydał mi się interesujący.

U nas kontrowersje wzbudziły fragmenty, które pokazują polskich partyzantów jako antysemitów. Chodzi m.in. o scenę, w której akowcy zatrzymują pociąg pędzący do Auschwitz. Gdy okazuje się, że w wagonach są Żydzi, Polacy odmawiają im pomocy.

Nie ja nakręciłam ten film. Pytanie brzmi: Czy taka scena miała miejsce? I dlaczego trzeba to umieścić na pierwszym planie, a nie tych partyzantów, którzy być może pomagali Żydom? To jednak pytania, które trzeba postawić reżyserowi. Ja mogę podać inny przykład. W pierwszym niemieckim wydaniu mojej książki mowa jest nie o niemieckich obozach zagłady na terenie Polski, jak powinno się to wyrazić, lecz o polskich obozach zagłady. Nie było to zamierzone i poprosiłam, żeby przy okazji polskiego wydania ten błąd został usunięty.

Czytając Pani książkę, można odnieść wrażenie, że w Polsce odwiedziła Pani wyłącznie miejsca zagłady Żydów.

Moja pierwsza podróż do Polski stała oczywiście pod znakiem przeszłości. Odwiedziłam wówczas Kraków i pomnik w miejscu dawnego obozu w Płaszowie. Pojechałam również do Oświęcimia. Moje oczy nie były wtedy otwarte na inne rzeczy. Oczywiście zwróciło moją uwagę piękno Krakowa, ale byłam zbyt zajęta sprawami osobistymi, by móc to naprawdę dostrzec. Gdy przyjeżdżam do Polski dzisiaj, widzę przede wszystkim nowoczesny kraj, który ma również przeszłość, ale przeszłość już mocno oddaloną.

W Krakowie odwiedziła Pani dawną willę Amona Götha.

Jechałam tam z określonym wyobrażeniem. Zawsze myślałam, że ta willa była dużo większa. Gdy dowiedziałam się, że moja babcia żyła tam u boku Amona Götha, miałam nadzieję, że był to tak duży dom, iż nie docierało do niej zbyt dużo z tego, co działo się w Płaszowie, a nawet z tego, jak mój dziadek traktował żydowskie służące – Helen Hirsch i Helen Rosenzweig. Gdy byłam na miejscu i zobaczyłam, jak mały jest ten budynek, stało się dla mnie oczywiste, że moja babcia nie mogła żyć na uboczu. Wystarczyło pokonać parę schodów, by zejść do piwnicy, gdzie obie służące miały swoje pokoje. Gdy płakały, musiała to słyszeć. Kiedy ktoś mówi o dzieciach żyjących w slumsach – tysiące kilometrów stąd – łatwo jest się od tego

zdystansować. Gdy jednak cierpienie jest tak blisko, trzeba niesamowicie zimnej krwi, by nie odczuwać przynajmniej współczucia.

Widziała też Pani krakowską fabrykę Oskara Schindlera. O Schindlerze wypowiada się Pani z rezerwą. Czy to dlatego, że on również był członkiem NSDAP?

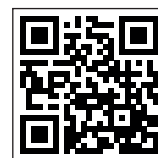
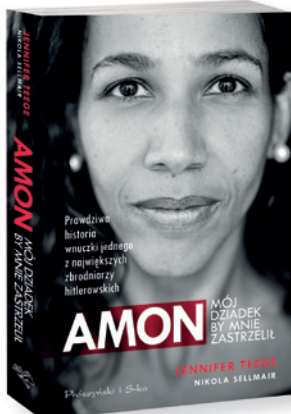
W filmie *Lista Schindlera* mamy prosty podział. Z jednej strony jest symbol zła – mój dziadek – a z drugiej Oskar Schindler, ustylizowany na bohatera. Uważam, że świat i osobowość człowieka są bardziej skomplikowane. Oskar Schindler zrobił wiele dobrego i ostatecznie ważne jest to, że stworzył listę ludzi, którym uratował życie. Z pewnością jednak nie był świętym. Nie wymagam tego zresztą. Tak jednak, jak nie ma wśród nas świętych, nie ma też szatana. W czasach prezydentury George'a W. Busha była mowa o „osi zła”. Takie rozgraniczenie jest wysoce niebezpieczne, bo odpowiada szerokim masom, które oczekują prostych odpowiedzi. Życie i historia nie znają prostych odpowiedzi. Są bardzo złożone. Dlatego potrzebujemy mądrych ludzi, którzy zmierzają się z tą złożonością.

Pani matka – córka Amona Götha – długo nie mogła sobie poradzić z rodzinną przeszłością. Czy Pani się to udało?

Myślę, że jest rzeczą niemal niemożliwą zrzucić z siebie ciężar tego rodzaju historii rodzinnej, jeśli nie zmierzymy się z nią głęboko w swoim wnętrzu. Być może jest to możliwe bez profesjonalnej pomocy. Na swoim przykładzie widzę, że jest to niewiarygodnie trudne i jestem wdzięczna, że mogłam pracować i rozmawiać z kimś, kto się na tym zna – z terapeutą. Potrzebowałam jednak dużo czasu, żeby gruntownie się z tym skonfrontować i móc dzisiaj odczuwać wewnętrzną wolność. Uważam, że również potomek zbrodniarza ma prawo do szczęścia. Nie wiem jednak, czy moja matka też tak to odbiera.

Czy poczucie winy można dziedziczyć?

Nie ma winy dziedzicznej. Pytanie brzmi: Jak postępuje się z przeszłością? Czy zakopuje się ją głęboko w sobie? Czy jest ona czymś, co niszczy od środka? Czy też można powiedzieć: Widzę cierpienie ofiar, ale to nie znaczy, że nie mogę mimo to patrzeć do przodu i dostrzegać tego, co piękne? Już po tym, jak ukazała się moja książka, miałam kontakt z ocalałymi z Holocaustu i nikt nie miał mi za złe, że przyjąłam pozytywne nastawienie. Przeciwnie, moi rozmówcy uznawali to za dar losu, że rodzina mojego dziadka nie utknęła w ślepym zaułku – że pojawiło się coś, co daje im nadzieję. 🍀



Cmentarz pod cmentarzem

Karolina Wichowska

Udokumentowane granice więziennego pola pochówków z lat czterdziestych, 23 odsłonięte szkielety, w tym cztery ekshumowane – to rezultaty lipcowych prac archeologicznych na Służewie w Warszawie.

Warszawski cmentarz parafialny przy ul. Wałbrzyskiej nie znajduje się w miejscu odludnym: oddalony od stacji metra zaledwie o kilka minut spaceru, naokoło – wysokie bloki osiedla Służew nad Dolinką, nieopodal szkoła i centrum handlowe.

Jeszcze długo po wojnie Służew – dziś dzielnica Warszawy – był przedmieściem. Znajdowały się tu pola uprawne. Na terenie przylegającym do cmentarza parafialnego, należącym do Józefa Bokusa, po wojnie skonfiskowanym przez „ludowe” państwo, zakopywano więźniów straconych i zmarłych. Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy cmentarz trzeba było powiększyć, mury skromnej nekropolii objęły teren tajnych pochówków.

O tym, że ofiary komunistycznego terroru grzebano na polu Bokusa, wiadomo z licznych relacji świadków, którzy zapamiętali, jak w latach czterdziestych pod osłoną nocy podjeżdżała tu furmanka ze stosem ciał, które następnie wrzucano do wykopywanych naprędce dołów. Najważniejszym jednak tropem prowadzącym na Służew okazało się zdjęcie lotnicze z 1947 roku, odnalezione w Centralnym Archiwum Wojskowym. Widać na nim trójkątny teren przylegający do cmentarza parafialnego.

Zespół złożony z archeologów i przedstawicieli medycyny sądowej pod kierownictwem historyka dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka po raz pierwszy pojawia się przy ul. Wałbrzyskiej 30 czerwca. Tak jest przez kolejne dwa tygodnie – codziennie przed 8.00 rano trzeba naszykować sprzęt i rozstawić stoliki, na których medyk sądowy i antropolog sądowa będą mogli dokonać oględzin odnalezionych szkieletów.

Inaczej niż rok i dwa lata temu na powązkowskiej „Łączce”, większość jam grobowych trzeba odsłaniać ręcznie – łopatami. Koparka może pracować tylko w alejce głównej, gdzie jest stosunkowo dużo przestrzeni. Reszta miejsc do przekopania jest wcisnięta między współczesne nagrobki. Archeolodzy chwytają więc łopaty, a pomagają im wolontariusze. Najwięcej wśród nich jest studentów i osób w wieku okołostudenckim. Najstarszy ochotnik to pan Jacek, emeryt; najmłodsza – dwunastoletnia Emilka z grupy historycznej „Niepodległość”. Praca oczywiście nie jest lekka – wie to każdy, kto choć raz przetrzącał hałdy ziemi. Jednak bardziej niż kopanie męczy upał – temperatura przekracza niekiedy 30 stopni.

Podobnie jak na „Łączce”, widać, że zwłoki grzebano bez zachowania jakiegokolwiek porządku, o elementarnym szacunku dla zmarłych nie wspominając: szkielety są przeważnie skulone, ułożone na bokach jeden obok drugiego. Najwyraźniej – tak jak na Powązkach Wojskowych – upychano je w jamach grobowych na siłę.

Większości spośród odnalezionych szczątków nie udaje się podjąć. Są bowiem częściowo schowane pod współczesnymi nagrobkami. Jednak nawet te niemożliwe na razie do podjęcia również zostają opisane w takim stopniu, w jakim to możliwe. Aby to zrobić, medyk sądowy, dr Łukasz Szleszkowski – ubrany w specjalny kombinezon i kask – schodzi do jamy grobowej o głębokości ok. 1,5 m. Gimnastykując się, dokładnie ogląda odsłonięte części szkieletu. Używając lusterka dentystycznego, liczy zęby w czaszce ułożonej na boku. Każda taka informacja jest na wagę złota, bo może pomóc w identyfikacji. Wszystko na bieżąco spisuje do protokołu antropolog sądowa Agata Thannhäuser.

Ekipę odwiedzają rodziny ofiar komunizmu już zidentyfikowanych, odnalezionych rok i dwa lata temu na Powązkach. Pojawia się Elżbieta Smolińska-Bellen, córka Eugeniusza Smolińskiego, zamordowanego w 1949 roku, odnalezionego w 2012 roku na Powązkach. Kilkakrotnie przychodzi na Wałbrzyską Witold Mieszkowski, syn kmdr. Stanisława Mieszkowskiego, którego szczątki znaleziono na Powązkach w 2013 roku. Podczas prac na „Łączce” Witold Mieszkowski odwiedzał zespół niemal codziennie. Tak jak wtedy, tak i tym razem częstuje ekipę kawą i pasztecikami. – I jak tu nie zrobić wszystkiego, co w naszej mocy, by znaleźć szczątki bliskich ludzi, którzy tak o nas dbają? – pyta retorycznie archeolog Justyna Sawicka. Życzliwi są nie tylko członkowie rodzin poszukiwanych lub już odnalezionych. – Przyniosłem wodę, chcę pomóc chociaż tyle – mężczyzna w średnim wieku podaje zgrzewkę mineralnej. Uprzejmi pracownicy pobliskiej Filmoteki Narodowej udostępniają uczestnikom prac swoją łazienkę. Osoby odwiedzające groby swoich bliskich zatrzymują się, dopytują o szczegóły prac. – Robicie wielką rzecz, trzymajcie się – słychać od wielu z nich. 🍷

➤ Zwłoki ofiar komunizmu grzebano niedbale, bez elementarnego szacunku dla zmarłych; warszawski Służew, lato 2014 roku



Kilkuset, może nawet tysiąc

Z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem, pełnomocnikiem prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, rozmawia Karolina Wichowska





dr hab. Krzysztof Szwagrzyk (ur. 1964) jest historykiem, naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu i pełnomocnikiem prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar komunistycznego terroru; opublikował m.in. *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza* (2005) i *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956* (2005)

Jakie są wyniki sondażu?

W ciągu dwóch tygodni archeologicznych prac poszukiwawczych udało się naukowo udokumentować jedno z najważniejszych pól grzebalnych ofiar komunizmu w Polsce. Ten teren, tzw. pole Bokusa, w latach czterdziestych znajdował się za cmentarzem, w szczerym polu; dziś – w wyniku powiększenia cmentarza pod koniec lat pięćdziesiątych – jest w granicach nekropolii. Dość precyzyjnie określiliśmy kształt tego miejsca: jest to trójkąt o wymiarach ok. 30 m / 130 m / 120 m.

Pole Bokusa w całości mieści się w granicach współczesnego cmentarza? Pojawiają się czasami informacje, że wykracza poza jego teren i wchodzi częściowo na sąsiedni parking.

Samo pole Bokusa sięga płotu cmentarza. Ze znanych nam relacji wynika jednak, że nie tylko tam chowano ludzi. Mówi się także o sąsiadujących z nekropolią parkingach, a nawet osiedlach: od strony ul. Noskowskiego i Bacha. Relacje, choć cenne, nie są jednak precyzyjne. Nie możemy przecież pozwolić sobie na rozbiórkę bloków czy demontaż parkingu tylko po to, żeby odnaleźć szczątki ludzi, o których nie będziemy nawet mogli powiedzieć, kim są – zakładając oczywiście, że odnaleźlibyśmy jakiegokolwiek szczątki. Nie wiedzielibyśmy, czy należą one do ofiar komunizmu, czy ludzi pochowanych tu w wyniku działań wojennych. Przebadanie terenu wokół cmentarza po prostu graniczy z niemożliwością.

Ile osób jest pogrzebanych na polu Bokusa?

Kilkaset, może nawet tysiąc. Tyle osób zostało uśmierconych albo zmarło w więzieniu mokotowskim po wojnie do 1948 roku. Gdybyśmy mieli tak komfortową sytuację jak na Powązkach, gdzie była wolna przestrzeń i można było urucho-

nić koparkę, która usunęła półmetrową warstwę ziemi, moglibyśmy założyć szeroki obszar badań, np. 200 m x 200 m, i czytać jak z zeszytu: jaki jest dokładny kształt kwatery, jak ułożone są jamy grobowe. Ale takiej sytuacji nie mamy. Na terenie dawnego więziennego pola cmentarnego jest kilkaset współczesnych pomników. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że prawdopodobnie nigdy nie da się przeprowadzić prac pod spodem, skoro przestrzeń pomiędzy tymi nagrobkami to najwyższej metr. Trzeba jednak zrobić to, co jest w naszej mocy: dotrzeć do możliwie wielu szczątków i przebadać je.

Nie wszystkie odnalezione szkielety udało się podjąć.

Rzeczywiście, spośród 23 znalezionych podjęliśmy tylko cztery. Ta rozbieżność wynika stąd, że większość znalezionych szczątków znajduje się częściowo pod współczesnymi pomnikami – widać np. tylko głowę albo tylko nogi. Nie możemy ich dzielić.

Czaszki, do których udało się dotrzeć, różniły się od tych znalezionych na „Łączce” – nie mają śladu po kuli.

To prawda, ale trzeba pamiętać, że są to szczątki zaledwie 23 osób spośród około tysiąca. Nie wiemy zatem, czy pół metra od tych znalezionych nie ma osób zastrzelonych metodą katyńską. Ponadto – przypomnę – przy Wałbrzyskiej grzebano ludzi nie tylko straconych w wyniku wyroków komunistycznych sądów, lecz także zmarłych w więzieniu i zamordowanych. Na „Łączce” natomiast grzebano wyłącznie straconych na podstawie wyroków. Jeszcze jedno zastrzeżenie: wyłącznie metodą katyńską stosowano w Polsce dopiero po 1948 roku. Wcześniej ta metoda była stosowana wymiennie z rozstrzelaniem przez pluton egzekucyjny. Jeśli więc kula trafiała w obręb klatki piersiowej, mogła przejść tylko przez tkanki miękkie i nie zostawić na kościach żadnego śladu.

Kiedy można się spodziewać rozpoczęcia drugiego etapu prac?

Na razie nie sposób tego określić nawet w przybliżeniu.

Za rok?

To termin bardzo optymistyczny. Koniecznych jest bardzo wiele przygotowań, musimy zgromadzić dokumentację i zezwolenia różnego rodzaju. Możemy jednak mieć na nadzieję na to, że będziemy mieli możliwości przeprowadzenia badań dokładniejszych niż teraz, albowiem w ciągu tych dwóch tygodni cztery rodziny osób tutaj pochowanych zadeklarowały z własnej inicjatywy, że w razie potrzeby prowadzenia dalszych prac, wyrażą zgodę na rozbiórkę ich pomników. Wierzę, że takich deklaracji będzie więcej. 🍀



Zasieki na plaży

Jan Daniluk

Ostatnie miesiące przed 1 września 1939 roku upłynęły w Gdańsku pod znakiem rosnącego napięcia. Coraz powszechniejsze stawało się przekonanie, że konfrontacja między Polską a Niemcami jest nieuchronna.

To nie była cisza przed burzą. To były głośnie pomruki nadciągającej nawałnicy. Jednym z sygnałów zbliżającego się konfliktu było pojawienie się na ulicach Gdańska i Sopotu wyraźnie większej liczby patroli policyjnych. W ich skład weszli także bojówkarze z SA i SS. Nasiliła się obserwacja polskich placówek oraz zatrudnionych w nich Polaków. Władze gdańskie ograniczyły dostęp do terenów portowych i stoczniowych. Wzmocnione posterunki policyjne pojawiły się przy dworcach kolejowych, mostach i wiaduktach, na lotnisku, przy rozgłośni radiowej, gazowni i wodociągach. Komisariatom policji gdańskiej przydzielono dodatkowe siły – powołanych w ramach tzw. służby bezpieczeństwa młodych mężczyzn oraz członków bojówek NSDAP. Na przełomie czerwca i lipca przygotowano także szczegółowe plany zajęcia placówek polskich w Gdańsku i Sopocie. Ponadto policjanci pracowali nad uaktualnieniem stworzonych już wcześniej list Polaków, których należało aresztować równocześnie z rozpoczęciem działań wojennych.

Największy kompleks dawnych koszar pruskich, które w okresie międzywojen-

nym były siedzibą policji, stał się głównym miejscem zbiórek, szkoleń i bazą zaopatrzeniową dla formowanych na miejscu nowych jednostek. Z tego i z kilku innych budynków przymusowo wykwaterowano rodziny policjantów. Ruch panował także w wielu innych obiektach, które zostały przekształcone w tymczasowe koszary albo magazyny – np. nowo wybudowanym schronisku młodzieżowym, domu zdrojowym, na politechnice i w budynkach międzynarodowych targów gdańskich. W pośpiechu i pod ścisłą ochroną policji wzniesiono nowe baraki, które miały służyć jako koszary SS-Heimwehr – jednego z trzech najważniejszych, obok dwóch pułków skoszarowanej policji krajowej, oddziałów wchodzących w skład tzw. brygady Eberhardta, czyli głównego związku taktycznego jednostek gdańskich latem 1939 roku.

Turyści do domu

Przykrą niespodzianką dla turystów i mieszkańców Gdańska było zamknięcie w połowie czerwca 1939 roku dwóch strategicznie położonych wzniesień w śródmieściu – Góry Gradowej i Biskupiej Górki. Znajdujące się tam

► Posterunek drogowy na granicy Wolnego Miasta Gdańska i Prus Wschodnich tuż przed wybuchem wojny: niemiecki żołnierz obserwuje pogranicze

forty po demilitaryzacji miasta były w okresie międzywojennym jednym z popularniejszych terenów rekreacyjnych. Jak donosił polski wywiad, pod osłoną nocy na oba wzniesienia dowożono sprzęt wojskowy, a na szczytach ustawiono działa przeciwlotnicze.

Wyraźnie mniej wystawców wzięło udział w Jarmarku Dominikańskim, który rozpoczął się 30 lipca. Atmosferę przygotowań do wojny można było także odczuć w jednym z najbardziej znanych kurortów międzywojennej Europy – w Sopocie leżącym w Wolnym Mieście Gdańsku. Latem 1939 roku wprowadzono ograniczenia w meldunku zagranicznych turystów w hotelach, co uderzyło głównie w letników z Polski. Do Sopotu w ostatnim sezonie przed wybuchem II wojny światowej zjechało niecałe 15 tys. letników, czyli o ponad jedną trzecią mniej niż w sezonie poprzednim. Ulice, plaże i restauracje kurortu turyści – ponaglani przez niemieckie biura turystyczne – opuścili w drugiej połowie sierpnia. Ostatnią dużą imprezą w Sopocie przed wybuchem wojny nie było wydarzenie sportowe czy kulturalne, jak to miało miejsce w latach poprzednich, ale propagandowy wiec NSDAP 25 sierpnia, na którym u boku gdańskiego gauleitera Alberta Forstera wystąpił Hans Frank – późniejszy szef administracji Generalnego Gubernatorstwa.

Widocznym znakiem przygotowań do wojny w Sopocie były zasieki z drutu kolczastego rozciągnięte w poprzek plaży, wzdłuż uchodzącej do morza rzeki Sweliny, która wyznaczała granicę między Sopotem a Gdynią, a więc między WMG i Polską. W północno-zachodniej części lasów gdańskich i na terenie Sopotu wiosną i latem 1939 roku powstały liczne umocnienia, posterunki i stanowiska broni maszynowej, a nawet artylerii.

„Turyści” z Prus Wschodnich

Od strony Prus Wschodnich płynął najszerszy strumień przemycanego uzbrojenia i wyposażenia wojskowego. Wiosną i latem 1939 roku szczególnie przybrał on na intensywności. Gdańscy pogranicznicy nawet w biały dzień przepuszczali samochody ciężarowe wyładowane nielegalnym sprzętem. Do przemytu wykorzystywano też samoloty i statki. Stocznia Schichaua w Gdańsku stała się w lipcu i sierpniu najważniejszym ogniwem w systemie przerzutu sprzętu wojskowego do miasta. Między stocznia a Elblągiem regularnie kursowały statki, dowożące uzbrojenie, amunicję, pojazdy, a także żołnierzy. Wyładunek następował wyłącznie w nocy. To właśnie drogą morską dostarczono latem 1939 roku zdecydowaną większość najcięższego sprzętu – artylerię, wozy pancerne, a nawet czołgi.

Do miasta ściągnięto większość gdańszczan, którzy odbywali służbę w jednostkach Wehrmachtu na terenie Prus Wschodnich (w Gdańsku funkcjonowa-

ło w latach trzydziestych zakamuflowane biuro werbunkowe niemieckich sił zbrojnych). Przerzuceni do WMG, mieli stać się rdzeniem nowych jednostek, które na miejscu miały zostać uzupełnione przez ochotników. Do miasta trafiły potajemnie także niewielkie oddziały regularnego wojska (artylerzyści z Kriegsmarine) i pojedynczy zawodowi oficerowie Wehrmachtu oraz funkcjonariusze gestapo. Mieli oni objąć dowództwo nad nowymi oddziałami lub wspierać miejscowe struktury. Wszyscy przybywali w ubraniach cywilnych, jako turyści. Nie bez powo-

du zresztą władze gdańskie zaplanowały kilka dużych, masowych imprez na czerwiec 1939 roku. Odbył się wówczas zlot oddziałów Gdańskiej Służby Pracy, zawody sportowe Oddziałów Szturmowych (SA) z WMG i Prus Wschodnich, Tydzień Kultury Okręgu NSDAP w WMG, Gdańskie Dni Marynarki Wojennej i letnie zawody sportowe Nadokręgu SS „Północny Wschód”. Pod ich pretekstem można było łatwiej przytransportować żołnierzy i agentów wywiadu wojskowego.

Także po polskiej stronie granicy nie zrezygnowano z okazji do patriotycznych ▶

WOLNE, ALE NIESAMODZIELNE

Wolne Miasto Gdańsk – obejmujące także Sopot – powstało w 1920 roku na mocy postanowień traktatu wersalskiego. W 1939 roku zamieszkiwało je 388 tys. mieszkańców, w większości Niemców. Polacy stanowili zaledwie 9–13 proc. populacji. Językiem urzędowym był niemiecki. Polska uzyskała w WMG liczne uprawnienia natury gospodarczej (m.in. miała udział w administracji i eksploatacji portu oraz sieci kolejowej, własną służbę pocztowo-telegraficzną, WMG należało do polskiego obszaru celnego), politycznej (opieka nad obywatelami polskimi i prowadzenie spraw zagranicznych WMG) i wojskowej (składnica tranzytowa i prawo interwencji w wypadku zagrożenia z zewnątrz). W praktyce większość z tych praw była nagminnie łamana przez miejscowe władze. Polscy urzędnicy w WMG – kolejarze, inspektorzy celni sprawujący kontrolę nad pracą gdańskich pograniczników czy pocztowcy – byli solą w oku niemieckich gdańszczan nastawionych rewizjonistycznie. WMG miało własny hymn, flagę, herb, od 1924 roku także walutę (gulden gdański). Nie było jednak państwem w rozumieniu prawa międzynarodowego. Było uzależnione od Ligi Narodów i od Polski. Znaczny wpływ na sytuację w Gdańsku miały też Niemcy. W istocie na terenie WMG istniały aż cztery ośrodki władzy: gdański (jednoizbowy parlament Volkstag i najwyższy organ władzy wykonawczej – Senat WMG, z prezydentem na czele), Wysoki Komisarz Ligi Narodów, Generalny Komisarz Rzeczypospolitej Polskiej oraz Rada Dróg Wodnych i Portu (autonomiczny organ sprawujący administrację nad portem gdańskim i Wisłą w obrębie WMG). W 1933 roku, pięć miesięcy po dojściu do władzy w Niemczech, stery rządów w Gdańsku przejęła hitlerowska NSDAP. Stosunkowo szybko podporządkowała sobie miejscowe organy władzy wykonawczej i sądowniczej oraz kluczowe dla remilitaryzacji policję i służbę celną. Żądania włączenia MWG do Rzeszy, wysunięte w październiku 1938 roku przez ekipę Adolfa Hitlera, zostały odrzucone przez rząd w Warszawie. I dla Niemców, i dla Polaków Gdańsk miał olbrzymie znaczenie prestiżowe.



▶ Wakacje w cieniu konfliktu: letnicy kąpią się tuż przy zasiekach z drutu kolczastego, pilnowani przez funkcjonariusza Landespolizei (Policji Krajowej) i żołnierza SS-Heimwehr (z prawej); Gdańsk, sierpień 1939 roku



Fot. NAC

▶ Albert Forster – gauleiter Wolnego Miasta Gdańska (z lewej) przejeżdża samochodem wśród tłumu, po manifestacji na Langer Markt w Gdańsku

manifestacji. Szczególnego charakteru w 1939 roku nabrały obchody święta 3 Maja. W wielu pomorskich miastach w kolejnych miesiącach odbywały się manifestacje, pochody czy rewie wojskowe, nierzadko połączone ze zbiórkami funduszy na zakup sprzętu wojskowego. Od 25 czerwca do 2 lipca – dzięki staraniom Ligi Morskiej i Kolonialnej – odbywały się na terenie całej Polski Dni Morza i Kolonii. Ich kulminacyjnym punktem były obchody Święta Morza w Gdyni (29 czerwca). Impreza stała się manifestacją patriotyczną i nabrała charakteru antyniemieckiego. W blisko stutysięcz-

nym tłumie w Gdyni znalazła się także trzytysięczna reprezentacja Polonii gdańskiej. Władze gdańskie obawiały się, że Święto Morza może zostać wykorzystane przez Polaków do zgromadzenia u granic wojska. Z tego powodu dwa dni przed kulminacją obchodów w Gdyni granicę na wysokości Kamiennego Potoku zapobiegawczo zamknięto, a w Gdańsku i Sopocie wprowadzono nawet przejściowo stan pogotowia alarmowego.

Drożynna i przedłużone wakacje

Na przełomie czerwca i lipca gdańskie władze zaleciły miejscowym sprzedaw-

com nabyć większe ilości podstawowych produktów spożywczych: mąki, kartofli, tłuszczów i mięsa. Posunięcie to, połączone z krążącymi po mieście pogłoskami o możliwej wojnie, wywołało wzmożony popyt na artykuły spożywcze. Sytuacja najwyraźniej wymknęła się spod kontroli, bo pod koniec sierpnia władze były zmuszone nakazać właścicielom sklepów wprowadzenie limitów na zakupy dokonywane w ich sklepach. Miało to zapobiec dalszej spekulacji cenowej. Wydano też specjalny dekret, który uprawniał Senat WMG do zamykania sklepów lub ograniczenia godzin ich otwarcia.

Równoległe z transportem uzbrojenia, amunicji i wyposażenia rozpoczęto w Wolnym Mieście przegląd, pobór i zakup koni. Rozpoczęto też gromadzenie zapasów żywności, paliw i innych materiałów czy surowców. Na terenie Polski zakupiono większe ilości ręczników, miednic i płótna na mundury, co nie uszło uwadze polskiego wywiadu.

Letnie ferie w 1939 roku rozpoczęto wcześniej, niż pierwotnie zakładano – już 26 czerwca (w WMG rok szkolny rozpoczął się 1 kwietnia, był podzielony na trymestry; przerwa między pierwszym a drugim przypadła na lipiec). To dlatego, że szkoły miały służyć gdańskim jednostkom jako tymczasowe kwatery. Z tego samego powodu szkoły niemieckie nie wznowiły zresztą działalności 1 sierpnia. W odróżnieniu od młodzieży niemieckiej, naukę zgodnie z planem rozpoczęli natomiast polscy uczniowie, choć większość klas nie była kompletna. W związku z coraz liczniejszymi szykanami i atakami na ulicach zdecydowano ostatecznie o zawieszeniu zajęć 29 sierpnia. Polskich uczniów ubyło, ponieważ część dzieci w ogóle opuściła miasto wraz z rodzicami.

Przygotowania Polaków

W głąb Polski ewakuowano w sierpniu po cichu m.in. rodziny pracowników Komisariatu Generalnego RP. Jeden z nich, Jan Bianga, wspominał po wojnie: „Latem przed wybuchem wojny w 1939 r. panowała wśród nas, urzędników, wzmożona czujność z powodu narastającego w Gdańsku napięcia. Wielu pracowników



Fot. AIPN

▶ Grupa żołnierzy niemieckich z gdańskich jednostek (prawdopodobnie z Heimwehry) stoi przed wejściem do budynku Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku

wyjechało, a ja wraz z kolegami wysłałem w lipcu swoje oszczędności w dewizach przez naszą kancelarię główną do MSZ w Warszawie”. Ponadto spora część młodych Polaków, chcąc uniknąć szykan za swoją dotychczasową postawę, na własną rękę zdecydowała się przeczekać niespokojne lato na terenie Polski. Do tej grupy należała Jadwiga Burnau (z d. Maciejewska), wówczas dziewiętnastolatka: „Powróciłam w połowie sierpnia 1939 r. ze zorganizowanego przez ZHP wędrownego obozu po Centralnym Okręgu Przemysłowym. W domu zastałam napiętą sytuację: według wypowiedzi mego ojca [Antoni Maciejewski, obywatel WMG, Polak, członek licznych polskich organizacji, pracownik kolei], Niemcy go nie tylko śledzili, lecz przy pracy nieustannie grozili użyciem broni przeciw niemu. Pamiętam, jak wtedy rzekł do matki: »Wojna wybuchnie na pewno. My, starzy, zginiemy, więc niechaj chociaż młodzież ocaleje«. Wobec takiego stanu rzeczy wyjechałam z rodziną na pomorską wieś. Dwa dni przed wybuchem wojny dołączyła do mnie matka, oznajmiając, że 29 sierpnia zaarrestowano ojca”.

Aresztowania Polaków przez policję gdańską pod pretekstem działań szpiegowskich lub dywersyjnych nasiliły się w ostatnim tygodniu sierpnia 1939 roku. Skądinąd część z tych podejrzeń była uzasadniona. Polacy nie czekali z założonymi rękoma. Odczuwając narastającą wrogą atmosferę i obserwując miejsca-

▶ „Gdańsk pozdrawia swojego Führera” – mógł przeczytać Hitler na ulicach Gdańska wcielonego do III Rzeszy; 19 września 1939 roku

mi już jawną remilitaryzację miasta, zintensyfikowali przygotowania wybranych polskich placówek do obrony i zaktywizowali struktury wojskowe – do tej pory zakonspirowane. Przemycano broń, prowadzono tajne szkolenia wojskowe, starano się rozpoznać dyslokacje gdańskich oddziałów. W niektórych polskich urządach już w marcu 1939 roku wprowadzono dyżury nocne, by nie dać się zaskoczyć napastnikom. Do Poczty Polskiej przy Heveliusplatz przydzielono ppor. inż. Konrada Guderskiego, który miał przygotować gmach i załogę do obrony.

Opustoszałe miasto

Zaostrzenie sytuacji międzynarodowej latem 1939 roku skłoniło przedstawicielstwa dyplomatyczne obcych państw do opuszczenia WMG. Pierwszy, już na przełomie lipca i sierpnia, z Gdańska wyjechał Zygmunt Kierski, konsul honorowy Rumunii. Konsulat generalny Francji przestał funkcjonować w połowie sierpnia, a konsul Wielkiej Brytanii Eduard Henry Gerald Shepherd udał się do Londynu kilka dni przed wybuchem wojny.

Z drugiej strony, latem 1939 roku do Gdańska zjechali liczni zagraniczni dziennikarze, słusznie przewidując, że to właśnie tu skupi się w nadchodzących tygodniach uwaga Europy. Nie brakło korespondentów brytyjskich, francuskich, szwedzkich

czy nawet amerykańskich. Znaleźli się pod ścisłą obserwacją policji gdańskiej. Z pozorów cieszyli się dużą swobodą, ale gdy tylko jednemu z francuskich dziennikarzy udało się przemknąć niepostrzeżenie na wspomnianą Górę Gradową i sfotografować prowadzone tam prace, został zatrzymany, a jego aparat skonfiskowano.

Pod koniec sierpnia opustoszał port gdański. Ostatnie zagraniczne statki handlowe w pośpiechu wypłynęły stamtąd 31 sierpnia po południu. Cztery dni wcześniej ma mocy rozporządzenia władz policyjnych zamknięto także przestrzeń powietrzną nad całym WMG. W tym samym czasie zamarł właściwie ruch graniczny przez lądową granicę z Polską. W sierpniu wprowadzono zakaz nabywania benzyny, a następnie zarekwirovano część prywatnych ciężarówek. Pod koniec miesiąca w ogóle zakazano poruszania się samochodami i motorówkami na terenie Gdańska bez zezwolenia policji.

Psychoza strachu

Napięta atmosfera na granicy polsko-gdańskiej panowała już od wczesnej wiosny 1939 roku, lecz od połowy lipca zaczęło dochodzić do coraz liczniejszych incydentów granicznych. W nocy 16 sierpnia na granicy polsko-gdańskiej pod Kolnikiem (na północ od Tzewa) w niewyjaśnionych okolicznościach został zastrzelony polski ▶



Fot. AIIPN

► Wizyta Adolfa Hitlera w Gdańsku; od lewej: Hitler, dwaj generałowie wojsk niemieckich (prawdopodobnie Erwin Rommel i Wilhelm Keitel), gauleiter NSDAP w Gdańsku Albert Forster; 19 września 1939 roku

żołnierz Michał Różankowski. Z kolei tydzień później zginął gdański członek SA Johann Rusch, zastrzelony na granicy między Sopotem a Gdynią. Niemiecka propaganda w Gdańsku umiejętnie podgrzewała atmosferę, przygotowując niejednokrotnie informacje m.in. o rzekomych patrolach polskich zapuszczających się w głąb terytorium WMG.

Fałszywe informacje pojawiające się na łamach prasy niemieckojęzycznej wzmożyły wśród gdańskich cywilów psychozę zagrożenia atakiem. Szczególnie obawiano się ostrzału Sopotu lub którejś z nadmorskich dzielnic Gdańska przez polską artylerię z Helu. Szerzyły się pogłoski o rzekomej brutalności i dzikości polskich żołnierzy, co potęgowało wśród gdańszczan strach przed możliwym wkrocze-

niem Polaków. W nocy z 8 na 9 sierpnia w Brzeźnie i w Nowym Porcie wybuchła panika, kiedy ćwiczące wówczas u ujścia Wisły pododdziały SS-Heimwehr omyłkowo wzięto za polskie wojska zajmujące

miasto. Z kolei 25 sierpnia popłoch wśród gdańskich Polaków wywołał przelot niemieckich samolotów nad miastem, który wzięto za początek wojny. Wybuch paniki miał też miejsce późnym wieczorem 30 sierpnia na sopockim osiedlu położonym blisko Gdyni. Jego niemieccy mieszkańcy – zaalarmowani strzałami, które padły na granicy – pośpiesznie opuścili domy i zebrawali się przy budynkach straży pożarnej i miejscowej szkoły. Dopiero po interwencji burmistrza Sopotu powrócili do swoich mieszkań. Jednak już nazajutrz władze gdańskie zarządziły ewakuację – w godzinach popołudniowych zebranych na molo w Sopocie cywilów zabrano statki, które przewiozły ich do przygotowanych kwater na wschód od Gdańska, na Wyspę Sobieszewską.

Zaklinanie rzeczywistości

Dla obserwatorów – trzeźwo oceniających sytuację i umiejących odczytywać pojawiające się znaki – było jasne, że latem 1939 roku sytuacja w Gdańsku staje się na tyle poważna, by spodziewać się wybuchu konfliktu. Z pewnością jednak spora część ludności, a także polskich polityków, nadal wierzyła, że jakimś cudem uda uniknąć się konfrontacji. Nadzieje te z każdym tygodniem były jednak coraz słabsze i rankiem 1 września 1939 roku – wraz z wystrzałami okrętu szkolnego „Schleswig-Holstein” i atakiem jednostek gdańskich i niemieckich na polskie placówki w WMG – ostatecznie zgasły. ❄

Jan Daniluk – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku, autor książki *SS w Gdańsku. Wybrane zagadnienia* (2013)

Obróńcom Poczty Polskiej

W wielu miastach są ulice „Poczty Gdańskiej” lub „Obróńców Poczty Gdańskiej”. Jest też w Gdańsku, a dokładniej w Oliwie. Przecznicą al. Grunwaldzkiej, która prowadzi do dworca kolejowego, nosi nazwę „Poczty Gdańskiej”. Ewidentny błąd. Niby mała rzecz, ale jak diametralnie zmienia sens. Czy istnieli bowiem „Obróńcy Poczty Gdańskiej”? Już prędzej takie określenie pasowałoby w marcu 1945 roku. Żołnierze Wehrmachtu bronili się wówczas przed żołnierzami radzieckimi i polskimi. Oczywiście to nie im, lecz Polakom z urzędu przy Heveliusplatz, poświęcona jest ulica w Oliwie. Ale czy to nie wstyd, że – gdzie jak gdzie, ale w Gdańsku właśnie! – jest ulica z kardynalnym błędem w nazwie? Pamiętajmy o Obróńcach Poczty Polskiej w Gdańsku.



Uratować złoto

Krzysztof Kopeć

▶ Sztabki złota w skarbcu Banku Polskiego w Warszawie

We wrześniu 1939 roku zapasy złota Banku Polskiego miały wartość 463 mln ówczesnych złotych. Władze polskie robiły wszystko, by nie dostało się ono w ręce żadnego z dwóch agresorów. Wywiezienie z ogarniętego wojennym chaosem kraju ładunku ważącego prawie 80 ton wydaje się *mission impossible*. A jednak się udało...

Liga Narodów w sprawozdaniu na 31 grudnia 1938 roku szacowała, że zapasy złota II RP były prawie trzykrotnie wyższe niż szykującej się do wojny III Rzeszy Niemieckiej. Dane te obejmowały tylko złoto zgromadzone w sejfach i zagranicznych depozytach Banku Polskiego. Nie obejmowały one np. części tzw. Złotego FON-u, czyli Funduszu Obrony Narodowej. FON został powołany na mocy dekretu prezydenta RP z 9 kwietnia 1936 roku w celu uzyskania dodatkowych środków na dobrojenie armii. Gromadził pieniądze ze sprzedaży nieruchomości i ruchomości zarządzanych przez Wojsko Polskie, z pożyczki uzyskanej przez rząd we Francji oraz darów i zapisów osób prywatnych i instytucji. Łączna wartość FON do maja 1939 wyniosła ok. 80 mln zł.

Poza depozytami Banku Polskiego władze polskie dysponowały również złotem zgromadzonym w innych bankach państwowych (np. w Banku Gospodarstwa Krajowego) i instytucjach takich jak Mennica Państwowa.

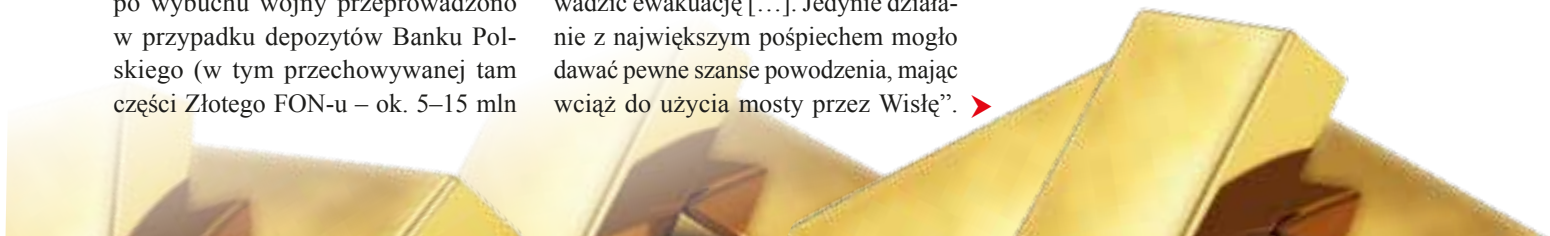
Banki państwowe i prywatne w II RP miały również liczne złote depozyty instytucji i firm prywatnych oraz obywateli polskich. Większość z nich została zagrabiona podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej.

Złote pociągi

Największą operację ewakuacji złota po wybuchu wojny przeprowadzono w przypadku depozytów Banku Polskiego (w tym przechowywanej tam części Złotego FON-u – ok. 5–15 mln

zł). Szacuje się, że 1 września 1939 roku ich wartość wynosiła ok. 463 mln zł, przy czym największy depozyt znajdował się w siedzibie Banku Polskiego w Warszawie przy ul. Bielańskiej 10 (ok. 193 mln zł). Pozostałe części zdeponowane były za granicą – w Szwajcarii, Szwecji, Wielkiej Brytanii (ponad 100 mln zł) – a także w Siedlcach (ponad 80 mln zł), Brześciu nad Bugiem (40 mln zł), Zamościu (ponad 30 mln zł) i Lublinie (ponad 20 mln zł). Powyższe dane zostały ustalone m.in. na podstawie niekompletnych dokumentów przechowywanych w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

5 września 1939 roku – wraz z decyzją o opuszczeniu Warszawy przez polski rząd – rozpoczęto ewakuację złotych depozytów Banku Polskiego. Organizację transportów powierzono płk. Adamowi Kocowi, byłemu prezesowi banku, a od 11 września nowemu wiceministrowi skarbu. W pamiętnikach opublikowanych po wojnie w USA płk Koc napisał: „Dowiedziałem się, że gros złota Banku Polskiego było w kraju. Wiadomość bardzo niepomyślna, ponieważ waga złota musiała wynosić co najmniej 80 ton. Transportowanie tak dużego ciężaru podczas wojny, po zatłoczonych szosach, podczas ustawicznego bombardowania przez lotnictwo niemieckie, musiało zagrażać bezpieczeństwu złota [...]. Niepokoilem się, czy w tych warunkach uda się przeprowadzić ewakuację [...]. Jedyne działanie z największym pośpiechem mogło dawać pewne szanse powodzenia, mając wciąż do użycia mosty przez Wisłę”. ▶



Dzięki zdolnościom organizacyjnym i zaangażowaniu płk. Adama Koca i osób nadzorujących „złote transporty” udało się 8 września zgromadzić w Łucku całość ewakuowanych z Warszawy i Lublina depozytów Banku Polskiego. Po uzyskaniu zgody władz na wjazd złota na terytorium Rumunii płk Koc powierzył dalsze dowództwo nad transportem dwóm byłym ministrom (prywatnie swoim dobrym znajomym) – mjr. Henrykowi Floyar-Rajchmanowi i płk. Ignacemu Matuszewskiemu. Oficerowie ustalili, że Floyar-Rajchman będzie kierował „złotą kolumną” na odcinku Łuck–Śniatyn, Matuszewski zaś ze Śniatynia aż do Francji.

12 września transport dowodzony przez Rajchmana dotarł do Śniatynia. Następnego dnia wieczorem, mimo nalotów Luftwaffe, dołączyły do niego „złote kolumny”: brzeska, siedlecka i zamojska, z których wcześniej Naczelne Dowództwo WP na potrzeby wojska wyłączyło w Dubnie siedemdziesiąt skrzyń złota o wartości ok. 22 mln zł. W ten sposób całość ewakuowanego depozytu Banku Polskiego została skoncentrowana w jednym miejscu w pobliżu rumuńskiej granicy. Wieczorem 13 września na stacji kolejowej w Śniatyniu przeładowano złoto do wagonów, a Floyar-Rajchman formalnie przekazał kierownictwo transportu Ignacemu Matuszewskiemu, któremu pomagał Stanisław Orczykowski – główny skarbnik Banku Polskiego. Następnie pociąg z polskim złotem wyruszył do rumuńskiego portu w Konstancy, dokąd dotarł 15 września. Oczekiwał tam na niego brytyjski okręt „Eocene”. W ten sposób

W 1939 roku cena 1 uncji złota wynosiła 35 dolarów amerykańskich, a 1 kg złota – 1125,25 dolarów. Dolar kosztował ok. 5,3 zł, a funt brytyjski – 24,8 zł. W tym czasie robotnik zarabiał w Polsce niespełna 30 zł tygodniowo (najwięcej w Warszawie – 40 zł, najmniej w województwach wschodnich – ok. 20 zł), kilogram cukru kosztował 1 zł, kilogram chleba zaś – ok. 30 gr.

Dane na podstawie: www.globalfinancialdata.com/; www.adrianzandberg.pl/kalkulator-walut-1918-1939/ oraz *Malego Rocznika Statystycznego 1939 roku*.



Fot. NAC

▶ Pulownik Adam Koc

Brytyjczycy wywiązali się z umowy zawartej z rządem RP dotyczącej pomocy przy ewakuacji złota polskiego do Francji. Porozumienie wynegocjowano m.in. za pośrednictwem polskiego wiceministra spraw zagranicznych Jana Szembeka i wiceministra skarbu płk. Adama Koca.

Mimo nacisków niemieckich na władze Rumunii i chwiejnego stanowiska Turcji, złoto udało się drogą morską dostarczyć do Stambułu, a później – dzięki staraniom ambasadora RP w Ankarze Michała Sokolnickiego – w złożonym z dwunastu wagonów pociągu wysłać do libańskiego miasta Rayak, dokąd dotarło 23 września. Tu przesyłkę przeładowano na dwa składy kolei wąskotorowej, które jeszcze tego samego dnia dojechały do Bejrutu. Następnie złoto podzielono na trzy części i na pokładach okrętów francuskiej marynarki wojennej – krążownika „Émile Bertin” oraz kontrtorpedowców „Vauban” i „Épervier” – dotarło ono do portu w Tulonie. Operacja przetrzutu złota do Francji zakończyła się 5 października 1939 roku. Złoto spoczęło w podziemiach skarbcza oddziału Banku Francji w Nevers nad Loarą i formalnie pozostało pod kontrolą władz polskich.

Gdy złoto Banku Polskiego było w drodze do Konstancy, 15 września 1939 roku mjr Henryk Floyar-Rajchman otrzymał od władz polskich kolejny rozkaz: odnaleźć i przejąć jeden z ewakuacyjnych transportów FON, zawierający

– oprócz złota i kosztowności – ekspozyty z tzw. Muzeum Belwederskiego. W wojennej zawierusze władze straciły konwój z oczu gdzieś w drodze z Tarnopola do Horodenki. 16 września Floyar-Rajchman udał się do Horodenki, gdzie odnalazł złożoną z trzech ciężarówek zaginioną kolumnę FON. Wyprowadził ją z miasta i skierował do graniczących z Rumunią Kut, a następnie przez Rumunię do Francji i Wielkiej Brytanii.

Niestety, inne transporty FON nie miały tyle szczęścia. 18 września 1939 roku w Lidzie Sowietci przejęli pociąg z uciekinierami, w którego skład wchodziły również dwa wagony wyładowane m.in. złotymi i srebrnymi depozytami FON. O sprawie tej pisała triumfalnie prasa sowiecka. W dzienniku „Prawda” z 5 października 1939 roku czytamy, że żołnierze Armii Czerwonej „uniemożliwili wywóz złota i kosztowności stanowiących własność chłopów i robotników”.

Japońska pomoc

Najbardziej spektakularną akcją ratowania aktywów II RP przed sowiecką grabieżą przeprowadzono w Wilnie. Po zajęciu miasta władze sowieckie zażądały od Jana Oskwarka-Sierosławskiego,



Fot. NAC

▶ Major Henryk Floyar-Rajchman

dyrektora Oddziału Wileńskiego Banku Polskiego, wydania ukrytego złota i walut. Był to znaczny majątek: prawie tona kruszcu i ponad 50 kg kosztowności (głównie FON). Gdy dyrektor odmówił, został aresztowany i przewieziony do siedziby prokuratury wojskowej, gdzie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Według wersji oficjalnej miał popełnić samobójstwo, rzucając się z drugiego piętra na bruk. Mimo intensywnego śledztwa i wielu aresztowań Sowietom nie udało się wpaść na trop skarbu ukrytego na terenie Wileńszczyzny. Został on wywieziony na przełomie 1939 i 1940 roku (w czasie gdy Wileńszczyzna była formalnie częścią Litwy). Kluczową rolę w akcji odegrał wicekonsul japoński w Kownie, Chiune Sugihara. Do zadań powierzonych mu przez rząd japoński należała obserwacja ruchów wojsk sowieckich i niemieckich. Sugihara współpracował też z wywiadem polskim, w ramach szerszej operacji polegającej na wymianie informacji wywiadowczych dotyczących Związku Sowieckiego. W listopadzie 1939 roku z japońskim dyplomatą nawiązali kontakt oficerowie wywiadu polskiego – por. Leszek Daszkiewicz i płk Michał Rybikowski. Wicekonsul zgodził się pomóc przy wywiezieniu z Litwy ukrytych skarbów. Skontaktował płk. Rybikowskiego z Gustavem Adolfem Kyrką, który był następnie jedną z osób zabezpieczających ewakuowane depozyty na terenie Szwecji i współpracował w trakcie ich dalszej podróży do Ameryki Południowej.

Polskie złoto w Afryce

Niestety, w maju 1940 roku, w obliczu klęski wojennej Francji, znowu pojawiła się groźba przejęcia przez Niemców ewakuowanego złota Banku Polskiego. 22 maja 1940 roku rząd polski poprosił Brytyjczyków o pomoc w przewiezieniu skarbu Banku Polskiego do Ameryki. Skrzynie wydobyto ze skarbcza w Nevers i przetransportowano do portu Lorient, gdzie 16 czerwca załadowano je na krążownik „Victor Schœlcher”. Transport konwojował tylko jeden Po-

lak, dyrektor Oddziału Warszawskiego Banku Polskiego Stefan Michalski. Okręt miał popłynąć – jak ustalono – do Stanów Zjednoczonych. Najpierw jednak przybił do portu w Casablance, a po kilku dniach wyruszył w dalszą podróż – do Dakaru. Podstępni Francuzi, obawiając się próby przejęcia złota przez marynarkę brytyjską, wysłali je dalej: skrzynie ostatecznie wywieziono 800 km w głąb afrykańskiego lądu i złożono w forcie Kayes (obecnie Republika Mali). Złota wprawdzie nie przejęli Niemcy, znalazło się ono jednak w rękach rządu Vichy, który kolaborował z III Rzeszą, i państwo polskie straciło kontrolę nad skrzyniami.

Dopiero Francuski Komitet Narodowy gen. Charles’a de Gaulle’a w październiku 1941 roku zawarł z rządem gen. Władysława Sikorskiego układ, na mocy którego Francuzi zobowiązali się do zwrotu kruszcu. W styczniu 1944 roku polscy urzędnicy bankowi dotarli do fortu Kayes, gdzie w pilnie strzeżonym budynku administracji kolei przechowywano skarb Banku Polskiego. Skrzynie przewieziono do Dakaru i tam komisyjnie przejęli je Polacy. W trakcie inwentaryzacji pojawiły się rozbieżności (na naszą niekorzyść) na ponad 10 proc. w stosunku do dokumentów przedstawionych przez Polaków. Miały one zostać wyjaśnione później. Niestety, nigdy to nie nastąpiło. Rząd na uchodźstwie zdecydował, żeby skarb Banku Polskiego podzielić na trzy części i rozlokować w Nowym Jorku, Ottawie i Londynie.

Komuniści chcą złota

Zdeponowanie złota w USA, Kanadzie i Wielkiej Brytanii nie zakończyło kłopotów. Pod koniec wojny na ziemiach polskich zaczęły się formować nowe, komunistyczne władze, kontrolowane przez Związek Sowiecki.

W lipcu 1945 roku mocarstwa zachodnie wycofały uznanie dla emigracyjnego rządu RP, a za legalną władzę uznały zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w Warszawie. Rzecz jasna, upomniał się on o depozyty przekazane przez rząd RP



Fot. NAC

► Ignacy Matuszewski, dyrektor Departamentu Administracyjnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych

na uchodźstwie. W konsekwencji swych decyzji rządu Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Kanady musiały rozpocząć z komunistami rozmowy o zwrocie złota Banku Polskiego.

Nie obyło się bez przeszkód. Brytyjczycy domagali się bowiem m.in. uregulowania zobowiązań polskich wobec Wielkiej Brytanii. Chodziło głównie o spłatę kredytów udzielonych rządowi emigracyjnemu na utrzymanie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i innych wydatków na cele cywilne. Czas tym razem działał na korzyść polityków niepodległościowych, którzy podjęli działania zmierzające do zabezpieczenia przynajmniej części aktywów II RP (nie tylko złota), tak aby komunistom nie udało się ich w całości przejąć. W czerwcu 1946 roku TRJN podpisał z rządem brytyjskim porozumienie, na mocy którego umorzono wszystkie zobowiązania rządu RP wobec Wielkiej Brytanii, wyłączając 3 mln funtów szterlingów w złocie na poczet utrzymania polskich uchodźców wojennych. Fundusze te miały pochodzić ze środków Banku Polskiego, zdeponowanych ►

w Londynie. Reszta miała powrócić do Polski lub pozostać w bankach angielskich do dyspozycji rządu w Warszawie.

Z kolei Kanada i Stany Zjednoczone, wycofując swe uznanie dla rządu polskiego w Londynie, zamroziły polskie depozyty i dopiero w 1946 roku oddały je do dyspozycji TRJN, który zresztą pozostawił je w tamtejszych bankach. Szacuje się, że ostatecznie komunistom udało się przejąć około 30 proc. przedwojennych zasobów złota. Szczegółowy rachunek nie jest dziś możliwy, dotychczas bowiem nie przeprowadzono pełnej inwentaryzacji zasobów metali szlachetnych wywiezionych z kraju przed II wojną światową i w jej trakcie. Również pozostawione przez komunistów archiwalia dotyczące przejętego przez nich złota są niekompletne. Brakuje m.in. dokumentów operacji finansowych na przejętym złocie.

W 1952 roku ostatecznie zlikwidowano Bank Polski. Funkcje banku centralnego pełnił już wówczas – utworzony przez komunistów w 1945 roku – Narodowy Bank Polski. Podlegał on ministerstwu skarbu, jednak pieczę nad przedwojennym złotem sprawował Hilary Minc, minister przemysłu i handlu, a później wicepremier odpowiedzialny za politykę gospodarczą. Dość szybko spieniężył on złoto, głównie dokonując za granicą zakupów na potrzeby odbudowującej się gospodarki polskiej. Warto zaznaczyć, że uzyskane w ten sposób środki przeznaczano – zgodnie z dyrektywą Stalina – przede wszystkim na rozbudowę przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, nie licząc się z potrzebami społeczeństwa.

Polskie złoto w ciągu niespełna dekady od rozpoczęcia II wojny światowej przebyło długą drogę i ostatecznie – częściowo – powróciło do kraju. Zasoby uratowane wysiłkiem polskich bankowców, żołnierzy i polityków dostały się w ręce narzuconych władz, a niesuwerenny rząd w dużej mierze roztrwonił je wbrew polskim interesom, za to zgodnie z wytycznymi z Moskwy. ❄️

Krzysztof Kopeć – absolwent Wydziału Matematyki i Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracownik Biura Prezesa IPN

Sprovokowany (?) desant

Szymon Nowak

W dziejach Polski było wiele zdarzeń historycznych, które do dziś wywołują kontrowersje. Jednym z nich jest desant żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga, idących na pomoc powstańcom warszawskim.

Od pierwszych dni sierpnia 1944 roku, czyli od wybuchu Powstania Warszawskiego, Armia Czerwona bezczynnie tkwiła na przedpolach Warszawy. Był to czas, kiedy każdy dzień decydował o byciu albo nie byciu powstańców i mieszkańców stolicy. Zatrzymanie frontu pod Warszawą tłumaczy się brakiem wojsk, uzupełnianiem zaopatrzenia, podciąganiem odwozów itd. Najprawdopodobniej około 5 sierpnia Stalin wydał rozkaz zatrzymania działań pod Warszawą i lotów samolotów radzieckich nad miastem. Decyzję zmienił dopiero 10 września pod wpływem wiadomości, że dowództwo Armii Krajowej rozpoczęło rozmowy kapitulacyjne z Niemcami. Nie była to jednak chęć udzielenia pomocy AK, ale wyrachowany spryt. Chodziło o to, by, symulując wsparcie, dać nadzieję powstań-

► Pomnik
kościuszkowców
na warszawskiej
Pradze



com, a Niemcom – czas na całkowite spacyfikowanie niepokornych Polaków i kompletne zniszczenie Warszawy. Kiedy Armia Czerwona zaczęła wreszcie wspomagać Polaków, sytuacja na lewym brzegu Wisły wyglądała bardzo źle. Wcześniej padła Starówka, dowódcy powstania myśleli już wówczas o kapitulacji, a jedynym obszarem, na którym powstańcy trzymali kawałek brzegu Wisły i na którym można było utworzyć przyczółek dla desantu, był Górny Czerniaków. Wreszcie jednak nad miastem pojawiły się radzieckie samoloty, które przepędzały niemieckie bombowce. Rozpoczęły się także radzieckie zrzuty broni, amunicji i żywności, prowadzone przez samoloty Po-2, zwane przez warszawiaków terkotkami. Dostarczany przez nie sprzęt najczęściej lądował uszkodzony – zrzucano go bowiem z małej wysokości, w drewnianych skrzyniach i bez spadochronów.

Najważniejsze dla powstańców było jednak to, że ruszyła radziecka operacja wypierania Niemców z prawobrzeżnej Warszawy – Pragi, a udział w natarciu miała polska 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po kilku dniach ciężkich walk 15 września w godzinach rannych na Pradze nie było już Niemców. Wycofali się na zachód, wysadzając wszystkie warszawskie mosty. Wraz z Polakami z 1. DP Niemców z Pragi wypierały wojska radzieckie, w tym między innymi 175. DP, która wyszła na brzeg Wisły w okolicy Saskiej Kępy. To właśnie grupa zwiadowców z tej dywizji przeprawiła się przez Wisłę i nawiązała kontakt z dowodzącym na Czerniakowie ppłk. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem”. Także kilku zwiadowców z 1. DP przepłynęło przez rzekę na Czerniaków.

To wtedy miał miejsce nieszczęśliwy wypadek: jeden z kościuszkowców przez pomyłkę śmiertelnie postrzelił ubranego w niemiecką panterkę por. Andrzeja Romockiego „Morro” z batalionu „Zośka”.

Po nawiązaniu kontaktu grupy zwiadowcze powróciły do swoich oddziałów, zabierając kilku łączników z AK i pismo

od „Radosława”. W tym czasie na Pragę docierały już spiesznym marszem inne oddziały 1. Armii WP, dowodzonej przez gen. Zygmunta Berlinga, w tym 3. DP, a jej żołnierze zatrzymali się na Saskiej Kępie naprzeciwko Czerniakowa.

Nadchodzą berlingowcy

To właśnie jeden z batalionów 3. DP przeprawił się na Czerniaków – przyniósł upragnioną broń, amunicję i żywność, a z powrotem zabrał rannych. W sumie w nocy z 15 na 16 września przeprawiło się nieco ponad czterystu żołnierzy należących do 9. pp, z ciężkimi karabinami maszynowymi, rusznicami przeciwpancernymi, moździerzami, a nawet z jednym działkiem



Fot. AIPN

► 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki miano „warszawskiej” (i literę W w oznace) uzyskała w 1945 roku

przeciwpancernym. I choć przypływ świeżych sił nie poprawił zasadniczo sytuacji tej powstańczej dzielnicy, to upragniona pomoc znakomicie zadziałała na morale powstańców. „Wygraliśmy powstanie!” – myśleli entuzjastycznie niektórzy, widząc liczbę i uzbrojenie berlingowców, nazywanych tak potocznie od nazwiska swego dowódcy. Choć wiadomo, że dowodzili nimi oficerowie sowieccy i polscy komuniści, to większa część żołnierzy po prostu „nie zdążyła do Andersa” z łagrów i sowieckich obozów pracy. W 3. DP znaleźli się również poborowi – młodzi chłopcy z zajmowanych terenów polskich Kresów Wschodnich. Do tej dywizji została wcielona także grupa żołnierzy z 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK oraz jeńcy niemieccy narodowości polskiej ze Śląska, Pomorza i Wielkopolski, siłą zmuszeni wcześniej do walki w armii Hitlera.

Zygmunt Berling w swych wspomnieniach przypisuje sobie samowolną decyzję (bez zgody Rosjan) niesienia za Wisłę pomocy powstańcom. Nie jest to jednak zgodne z prawdą. Zachował się rozkaz radzieckiego gen. Michaiła Malinina (szefa sztabu 1. Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marsz. Konstantego Rokossowskiego), w którym ten określił zadania dla polskiej armii wraz z forsowaniem rzeki. Tak więc dowódcy radzieccy (a zapewne i Stalin) nie tylko wiedzieli o przeprawie Polaków z armii Berlinga, ale wręcz nakazywali im tę akcję.

Przez kolejne noce na Czerniaków przepływały następne oddziały 3. DP – łącznie około pięciuset ludzi, lecz sytuacja na przyczółku wciąż się pogarszała. Dla Niemców najważniejszym celem w całej powstańczej Warszawie było teraz niedopuszczenie do przepraw wojsk zza Wisły, dlatego na Czerniaków przesunęli swe najlepsze oddziały wsparte czołgami. Polscy żołnierze – przybyli zza Wisły – ponosili bardzo duże straty osobowe. Jak się okazało, berlingowcy nie byli szkoleni do walki w mieście, a większość z nich w ogóle po raz pierwszy była w tak dużej aglomeracji jak Warszawa. W związku z tym, że na przyczółku czerniakowskim zapanował kryzys, przebywający na Pradze gen. Berling myślał już, jak inaczej pomóc walczącej Warszawie. Zapadła decyzja, by następny desant przeprowadzić nie na opanowany przez Polaków Czerniaków, lecz na północ od niego, na teren zajmowany przez Niemców między mostami Średnicowym a Poniatowskiego. Rozkaz dowódcy 3. DP z 18 września tak określał działania na dzień następny: „8 pp – w nocy z 18 na 19 IX 44 r. skoncentrować się w parku Paderewskiego i być w gotowości do forsowania rz. Wisły o godz. 16.00 19 IX 44 r. Zadanie: na zachodnim brzegu rz. Wisły zająć [...] swoim lewym skrzydłem kościół [...] oraz połączyć się z 9 pp”.

Desant między mostami

Wczesnym popołudniem 19 września 1944 roku ze wschodniego brzegu Wisły wzmógł się ogień artyleryjski. Artyleria polska i radziecka ostrzeliwały niemieckie stanowiska w Warszawie. W tym samym ►

czasie lotnictwo radzieckie rozpoczęło bombardowanie wyznaczonych celów w okolicy Ogrodu Saskiego, Dworca Głównego, Muzeum Narodowego, wiaduktów mostu Poniatowskiego i Średnicowego, okolic Sejmu i al. Szucha. Około 15.30 rozpoczęto stawianie zasłon dymnych na szerokim froncie przez wojska chemiczne oraz za pomocą bomb dymnych zrzucanych przez samoloty Il-2. Kwadrans później rozpoczęła się nawała ogniowa w ramach artyleryjskiego zabezpieczenia desantu. Jednocześnie z praktycznych plaż rozpoczęły forsowanie Wisły oddziały 1. batalionu 8. pp pod dowództwem kpt. Włodzimierza Baranowskiego z 3. DP 1. Armii Wojska Polskiego. Kierunek desantu to opanowany przez Niemców teren między Mostem Poniatowskiego a kolejowym mostem średnicowym. Za pierwszym batalionem do przeprawy ruszyli żołnierze 2. batalionu. Tak desant wspominał żołnierz Wincenty Tucholski: „Pierwszy batalion ósmego pułku ruszył do przeprawy i natarcia... [...] – Pontony na Wisłę! – krzyczy kapitan Baranowski, dowódca batalionu, ale głos jego jest taki cichy. Głuszy go kanonada. Na wale zapalają się świece dymne. Leciutki wiaterek unosi kłęby szarego, gęstego dymu nad Wisłą. Pontony jeden za drugim, jak jakieś wielonogie, wielkie żuki, wspinają się na nasyp ciągnięte po piasku i znikają za wałem w kłębach słodkawej, gryzącej w oczy zasłony. Plusnęła fala. Brnąc po kolana, sypchamy ponton na głębszą wodę. Wskakujemy. Plecak cięży. Zawisam na burcie, lecz ktoś wciąga mnie do środka... Saperzy ciężko pracują przy wiosłach. – Prawa mocniej, prawa mocniej! – krzyczy sternik. Wszędzie, po bokach i z tyłu, majaczą w zasłonie pontony. Pomagam saperowi wiosłować. Ponton o dno – raz, drugi. Przed nami łacha. Wyskakujemy do wody. Pchamy ponton, brnąc po kolana, po pas. Na innych pontonach robią to samo. Prędeż, prędeż do brzegu. Łacha piaskowa sięga prawie do samego brzegu. Przybijamy pierwsi, razem z dwoma plutonami trzeciej kompanii... Po prawej, gdzie dobiły pontony trzeciej kompanii, uderzył pocisk. Nawet nie słyszałem wybuchu w ogólnej kano-

nadzie. Nic nie widać. Dym i kurz zasłania wszystko. Pył opada. Leżą jeden przy drugim jak snopy. Na brzegu, w wodzie i na burtach pontonów. To pierwsi, którzy padli na lewym brzegu. Przybijają dalsze pontony i plutony drą się po brukowanym, stromym nadbrzeżu. Zaterkotały pierwsze automaty, zadudnił erkaem, wybuchł granat. Słychać wyraźnie. Nasza artyleria ucichła. Z rzadka biją tylko Niemcy. [...] Z lewej strony bije nieprzyjacielski cekaem. Niektórzy z naszych zalegają, inni przeskakują okop i biegną dalej...”

Na przyczółku między mostami znalazło się ok. 800 żołnierzy z cekaemami, rusznicami przeciwpancernymi, moździerzami, działkami przeciwpancernymi oraz miotaczami ognia. Żołnierze 2. batalionu już na rzece ponieśli duże straty, ich dowódcy zostali zabici lub ranni, a radiostacje poszły na dno wraz z zatopionymi łodziami. Po wylądowaniu 2. batalion został bez dowództwa i bez łączności.

Walki na przyczółku

Polacy zajęli niemieckie okopy na nadbrzeżu i posuwali się dalej w kierunku zachodnim. 1. batalion, który wylądował na początku, działał wzdłuż wiaduktu mostu Poniatowskiego, a żołnierze 2. batalionu atakowali bliżej wiaduktu linii kolei średnicowej. Żołnierze kpt. Baranowskiego przekroczyli ul. Solec i dotarli nawet do podnóża skarpy przy Muzeum Narodowym. Niemcy nie próżnowali: szybko wprowadzili do walki odwody i zaatakowali ze skrzydeł. Przeciwno desantowi berlingowców walczył batalion grenadierów pancernych z dywizji „Hermann Göring”

► Żołnierze 1. Frontu Białoruskiego mieli doświadczenie w przeprawach pod ostrzałem; na zdjęciu kościuszkowcy przeprawiają się przez Wisłę na przyczółek magnuszewski w sierpniu 1944 roku

i grupa bojowa oddziałów policyjnych. Niemieckie oddziały zostały wsparte czołgami oraz ogniem artylerii i moździerzy, a także ogniem broni maszynowej z wiaduktów obu mostów. Siły główne 8. pp, które znalazły się na przyczółku, jeszcze 19 września zostały odcięte od Wisły i rozczłonkowane na pojedyncze, okrążone grupy broniących się żołnierzy. Tego samego dnia przed północą Niemcy odzyskali skraj swoich przednich okopów nad rzeką i całkowicie zawładnęli brzegiem Wisły. Około północy łączność z prawym brzegiem została przerwana wskutek zniszczenia jedynej działającej radiostacji (1. batalionu). Opór żołnierzy był stopniowo łamany w poszczególnych domach i piwnicach, gdzie broniły się już drobne grupy, walczące często bez dowództwa oraz bez łączności między sobą. Tak walkę wspomina Adam Czyżowski, który ranny znalazł się w budynku przy ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 17: „Najstarszy stanowiskiem w naszej grupie był szef sztabu batalionu por. Sprężuk i chyba on zdecydował, że zajmijmy pozycję w budynku, a dopiero rano wyjdziemy na zewnątrz, pójdziemy do przodu lub okopijmy się. [...] Gdy rozmieszczaliśmy się po pokojach, w pewnym momencie rozległa się silna detonacja. Jak się okazało, w jednym z nich wybuchła mina, zabijając jednego z oficerów. Inny wyszedł przed budynek, dostał serię w brzuch i bardzo cierpiał. Nie widząc żadnego dla siebie ratunku i pomocy, zastrzelił się. [...] Rano, po prawie nieprzespanej nocy, wyszedłem z budynku, by się rozejrzeć i ewentualnie okopać. Znajdowałem się akurat w wykonanym uprzednio przez



Niemców, a może powstańców, okopie, gdy nagle posypały się strzały. W lewej ręce miałem nagan, w prawej granat, który rzuciłem, ale niezbyt daleko, bo rękę miałem już niesprawną. W pewnej chwili nagan wypadł mi z ręki, bo trafił w nią nieprzyjacielski pocisk. Usłyszałem: – Hände hoch! Z trudem podniosłem obie ręce do góry. Przy obu bokach poczułem lufy karabinów i po chwili zostałem powierzchniowo obszukany”.

Następny dzień przyniósł koniec walk, a spora część żołnierzy z rozbitego 8. pułku dostała się do niemieckiej niewoli. Podobno nielicznym żołnierzom udało się przedostać w głąb miasta i dołączyć do powstańców. Inni wycofali się nad brzeg Wisły w rejonie wylotów obu mostów, gdzie skupiło się wcześniej wielu rannych, w tym dowódca 1. batalionu. Pod mostami znalazło się około sześćdziesięciu ludzi. W ciągu najbliższych nocy na prawy brzeg ewakuowano rannych żołnierzy, część samodzielnie próbowała przepłynąć Wisłę. Ogólne straty 8. pp w czasie walk na przyczółku między mostami wyniosły 740 żołnierzy w zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Kontrowersje

W rozkazach z tamtego okresu za główne zadanie przeprowadzonych wojsk 8. pp z 3. DP na przyczółku między mostami, uznawane jest natarcie w kierunku południowym i połączenie się z 9. pp oraz powstańcami na Czerniakowie w rejonie kościoła Świętej Trójcy. Jednak 8. pp nie wykonał tego rozkazu. Berlingowcy nacierali tutaj w kierunku zachodnim w stro-

nę al. 3 Maja, czyli w głąb miasta, a nie na południe, wzdłuż brzegu Wisły. „W oknach, piwnicach i dachach zamiast oczekiwanych powstańców, znajdowali się wyborowi strzelcy” – czytamy w relacji jednego z berlingowców.

Sprawę zdaje się wyjaśniać gen. Zygmunt Berling w swoich wspomnieniach. Winą za niepowodzenie przepraw swych wojsk obciąża płk. Juliana Skokowskiego. Berling, jak twierdzi, po 17 września 1944 roku nawiązał łączność radiową z płk. Skokowskim, dowodzącym podczas Powstania Warszawskiego Polską Armią Ludową. W dalszej części wspomnień gen. Berling napisał: „Postanowiłem zadymić koryto Wisły na całym warszawskim odcinku i pod przykryciem zasłony dymnej sforsować Wisłę 8. pp 3. Dywizji poniżej mostu Poniatowskiego i z tej pozycji uderzyć na skrzydło i tyły przeciwnika atakującego przyczółek czerniakowski i przywrócić tam poprzednie położenie. Skrzydło zewnętrzne tego uderzenia zamierzałem ubezpieczyć przez wypad zgrupowania płk. Skokowskiego. [...] Rozkaz dla płk. Skokowskiego podyktowałem osobiście i wiem, że otrzymał go na czas. [...] Zaskoczenie w tym miejscu całkowicie się udało. Przy bardzo silnym wsparciu artylerii pułk dość szybko złamał obronę Niemców i osiągnął wiadukt mostu Poniatowskiego i ul. Czerwonego Krzyża. W tym momencie winien był uderzyć płk. Skokowski wzdłuż ul. 3 Maja. Niestety, sygnały rakiet pozostały bez odpowiedzi. Płk. Skokowski nie ruszył z miejsca”.

Podsumowując: wiele wskazuje na to, że desant polskich wojsk na zajęty przez



Fot. AIPN

► Czy gen. Berling zapłacił stanowiskiem za samowolną pomoc powstańcom?

nieprzyjaciela teren między mostami został w pewien sposób sprowokowany. Profesor dr hab. Tadeusz Rawski (pułkownik rezerwy i były żołnierz 6. DP) działanie żołnierzy 8. pp i nadzieje na współdziałanie powstańczych wojsk PAL określa jednym słowem: „prowokacja”. Kto mógł stać za tą prowokacją? Komu na rękę była kolejna nieudana próba pomocy powstańcom Warszawy? Kto skorzystał z dymisji gen. Berlinga, która nastąpiła niedługo potem? Najprawdopodobniej za prowokacyjnym meldunkiem radiowym o możliwym współdziałaniu płk. Skokowskiego po osi al. 3 Maja stali Rosjanie albo ktoś z polskich komunistycznych środowisk PKWN i armii WP, gdzie często dochodziło do tarć personalnych. 30 września Stalin osobiście podpisał rozkaz zdjęcia ze stanowiska Berlinga. Oficjalnym powodem było „samowolne i złe przeprowadzenie desantu 3 dywizji WP przez Wisłę”. Berling był już chyba niepotrzebny na tak eksponowanym stanowisku – w swoim czasie zrobił wszystko, czego wymagali od niego Sowieci, i teraz musiał odejść. ■

Szymon Nowak – historyk, znawca Powstania Warszawskiego, autor książek *Przyczółek Czerniakowski 1944* (2011), *Puszcza Kampinowska – Jaktorów 1944* (2011) i *Ostatni szturm. Ze Starówki do Śródmieścia 1944* (2012)



Fot. PAP

Bartłomiej Kluska



29 września 1989 roku Andrzej Kurek i Zdzisław Kamiński, gospodarze telewizyjnej „Sondy”, jechali do Raciborskiej Fabryki Kotłów „Rafako”, by nagrać kolejny odcinek swojego programu. Spieszyli się i prowadzony przez znanego rajdowca Andrzeja Gieysztora biały peugeot, mimo padającego deszczu, przekraczał dopuszczalną prędkość. Tuż przed Raciborzem samochód nagle zjechał na przeciwległy pas ruchu i zderzył się z ciężarowym starem. Kierowca, Kurek i Kamiński zginęli na miejscu. 25 lat temu zniknął z anteny najlepszy polski program popularnonaukowy.

Historia „Sondy” zaczęła się w roku 1977, gdy Redakcja Programów Oświatowych Telewizji Polskiej poszukiwała pomysłu na audycję, która zastąpiłaby wysłużoną „Eurekę” – emitowany wówczas od dwóch dekad, statyczny magazyn Jerzego Wunderlicha, w którym zgromadzeni w studiu dziennikarze i goście za pomocą

krótkich filmików, plansz, zdjęć i eksponatów prezentowali telewizjom wybrane osiągnięcia współczesnej nauki. Nowy program miał odświeżyć tę formułę, a jego prowadzącym został Andrzej Kurek, trzydziestoletni fizyk, współpracujący dotychczas z Polskim Radiem i właśnie „Eureką”.

Audycja początkowo miała się nazywać „Przygoda z nauką”, jednak Kurek

przeforsował lepszy tytuł – nawiązywał on do głośnej misji bezzałogowej sondy kosmicznej Voyager, która 5 września 1977 roku wyruszyła z przylądka Canaveral na Florydzie w swoją wielką podróż. Trzy dni później – w czwartek 8 września – telewizzowie zobaczyli pierwszy odcinek „Sondy”. Tematyka kosmosu i tego, co być może odnaj-

dzie Voyager, była w nim oczywiście obecna, ale twórcy prezentowali również inne zagadnienia: roboty przemysłowe, podwodne wulkany i hipotezy dotyczące początków życia na Ziemi. Programu tego, podobnie jak części kolejnych odcinków, nigdy już nie zobaczymy – w ramach oszczędności na taśmach z wieloma „Sondami” Telewizja Polska nagrała inne materiały.

Dwa tygodnie później do Andrzeja Kurka dołączył drugi prowadzący – Zdzisław Danek Kamiński, z wykształcenia ekonomista, od wielu lat pracujący jednak w mediach. To właśnie ten duet, choć okazjonalnie towarzyszyły mu na ekranie inne osoby, stał się znakiem rozpoznawczym „Sondy”. Kurek, obsadzony w roli entuzjasty nowych technologii, oraz Kamiński, odgrywający pełnego rezerwy sceptyka, w każdym odcinku dogłębnie prezentowali kolejne zagadnienie ze świata nauki i techniki, po prostu o nim rozmawiając. Co ważne, ich dialogi (czasem także wyreżyserowane kłótnie i docinki) nigdy nie kończyły się jedynie słusznymi wnioskami – o tym, kto ma rację, musiał samodzielnie zdecydować widz. Ten ostatni przyzwyczajony był, że peerelowska telewizja emituje co najwyżej monologi (zawsze z podaną wprost informacją, co należy myśleć na dany temat), dlatego „Sonda” stanowiła w telewizyjnej ramówce ogromną nowość.



Fot. TVP/PAP / Ireneusz Radkiewicz

▶ Zdzisław Kamiński (z lewej) i Andrzej Kurek podczas realizacji ostatniego odcinka „Sondy”; 28 września 1989 roku

Okno na świat

Rozmowom w studiu towarzyszyły felietony filmowe przygotowywane na podstawie nagrań z zagranicy. Początkowo wykorzystywano zwłaszcza – dostępne w archiwum Telewizji Polskiej – odcinki brytyjskiego programu popularnonaukowego BBC „Tomorrow’s Word”, z których Kurek i Kamiński wycinali potrzebne im fragmenty. Wraz z rosnącą popularnością „Sondy” pojawiły się jednak kolejne możliwości

pozyskiwania atrakcyjnych materiałów. Zagraniczne koncerny, instytuty badawcze i ambasady bardzo chętnie udostępniały całe godziny nagrań. Jak wspominał współtworzący program Tomasz Pyć, nawet współpraca z Amerykanami nie budziła oporu komunistycznych władz: „Wszystko nam przechodziło na zasadzie, że jesteśmy tacy zwariowani naukowcy”. Dla widza z kraju, w którym otrzymanie paszportu i wyjazd zagraniczny były dobrem trudno osiągalnym, obejrzenie w telewizji np. duńskich filmów prezentujących klocki Lego (choć dziś uznane zostałyby to za kryptoreklamę) stanowiło niebywałą atrakcję – prawdziwe okno na świat.

Największą zaletą „Sondy” były jednak elementy telewizyjnego show. Autorzy osobiście wykonywali eksperymenty pokazywane na ekranie, często przekraczając granice brawury. Na przykład program poświęcony pożarnictwu rozpoczął się sceną, w której ubrani w kombinezony przeciwogniowe prowadzący wychodzą wprost z płomieni. Później redaktorzy testowali jeszcze różne rodzaje gaśnic, a na końcu spłonął specjalnie przygotowany na tę okazję drewniany domek. ▶

Nie tylko „Sonda”

Telewizja schyłkowego PRL miała wyjątkowe szczęście do dziennikarzy tworzących znakomite programy popularnonaukowe. Jeszcze w 1983 roku pojawiła się audycja „Spektrum”, wymyślona przez znanego już z „Sondy” Tomasza Pycia. „Spektrum” miało prezentować nowinki ze świata techniki – na antenie przedstawiono m.in. wszystkie dostępne w Polsce połowy lat osiemdziesiątych komputery domowe.

Dwa lata później zadebiutowało „Laboratorium” Wiktora Niedzickiego, wyspecjalizowane w prezentowaniu dokonań polskich naukowców i wynalazców, a w 1986 roku najmłodszy widzowie otrzymali program Romana Kanciruka „Kwant”, szczególnie chętnie promujący zagadnienia ze świata astronomii. Atrakcję programu stanowiły nadawane w cyklu „Kino Kwanta” zagraniczne filmy edukacyjne, takie jak „Było sobie życie”.

Na wymienionych wyżej programach wychowało się całe pokolenie miłośników nauki i techniki. Dla wielu widzów zagadnienia prezentowane w „Sondzie”, „Kwancie” czy „Laboratorium” stanowiły pierwszy krok w drodze na politechnikę. Żadna z tych audycji nie jest już nadawana.

Efektowne pokazy nie były dla widzów „Sondy” niczym niezwykłym. Jak wspominał współrealizujący program Marek Siudym, scenę otwierającą odcinek o ratownictwie morskim kręcono aż trzema kamerami: jedną umieszczono w helikopterze, drugą na motorówce, a trzecią w wodzie. „Zaczęło się od wrzucenia Kurka do Zalewu Zegrzyńskiego. W tle dźwiękowym był jego autentyczny wrzask. Potem Kamiński z pontonu próbował go wylawiać, a chwilę później pojawił się śmigłowiec, który zawisł kilka metrów nad wodą i zdmuchnął ponton z Dankiem, podczas gdy Kurek rozpaczliwie próbował złapać spuszczone na wodę krzeselko wyciągarki”.

Niekiedy wymykało się to spod kontroli. Andrzej Kurek: „Sprowadziliśmy do studia pompę próżniową, urządzenie do pochłaniania wilgoci – pojemniki z kwasem azotowym. Na próbie włączamy, wszystko elegancko pracuje – woda zaczyna wrzeć. Zaczynamy nagranie, ale nie wiadomo dlaczego pompa rusza w drugą stronę. Zamiast wytwarzać próżnię, zaczyna pracować jak sprężarka. Oczywiście huk, rozsada jakieś naczynia, olej leci na garnitur. I pytanie, czy to tylko olej, czy pękły także pojemniki [z kwasem azotowym]. Wszyscy w studiu stają drętwi, a ja spływam tym olejem i zastanawiam się – już mnie żre czy jeszcze nie”. Innym razem Zdzisław Kamiński podczas nagrania nieopatrznie wszedł pod wiązkę lasera. Skończyło się jednak tylko na osmoleniu marynarki.

Co ciekawe, tak efektowne i pomysłowe programy autorzy przygotowywali w zaledwie kilkuosobowym zespole, wciąż walcząc z administracyjną niemocą i brakiem środków. Sami wymyślali eksperymenty, załatwiali scenografię, rekwizyty i materiały filmowe, często pełnili też funkcje magazynierów i kierowców. „Jeśli trzeba coś przywieźć z Siedlec, to zanim napiszemy zamówienie, zbierzemy odpowiednią liczbę pieczętek, podpisów, zdążę po to pojechać osobiście” – skarżył się Kurek.

Telefony dla redaktorów

„Sonda” szybko stała się jednym z najpopularniejszych programów w polskiej telewizji. W czwartkowe popołudnia charakterystyczna czołówka, rozpoczynająca się ujęciami lotu sondy Mariner 5 i wybuchem supernowej, potrafiła zgromadzić przed telewizorami nawet 9 milionów widzów!

Rosnąca sława programu przekładała się oczywiście na korzyści materialne dla autorów – nie chodziło jednak o pieniądze, lecz rzeczy znacznie w PRL cenniejsze. Choć w całej Europie sieć telefoniczną gorszą niż Polska miała tylko Albania, a na telefon w mieszkaniu prywatnym czekało się nawet kilkanaście lat, autorzy postanowili zrobić „Sondę” o krajowych dokonaniach w tej kwestii (pokazano m.in. pierwsze w Polsce aparaty z klawiaturą zamiast tarczy). Przy

► Gospodarze programu sami przeprowadzali doświadczenia naukowe

okazji do studia zaproszono ministra łączności, który udzielił krótkiego wywiadu. Jak wspominał Marek Siudym: „Po nagraniu kto żyw wręczał ministrowi koperty z podaniami o telefon. Kilka miesięcy później zostałem kompletnie zaskoczony wizytą monterów”.

Logo „Sondy” było znane w całym kraju. Gdy autorzy pojechali do Gdańska, by szukać materiałów do kolejnych audycji, gospodarze oddali do ich dyspozycji całą flotyllę: tankowiec, statek-przetwórní, kuter ratowniczy, holownik... Siudym: „Statki pożarnicze gasiły symulowany pożar, gigantyczny dźwig morski podnosił ładunek z kutra, wystarczyło włączyć kamery”. Wszystko oczywiście za darmo, aby tylko pokazać się w „Sondzie”.

W przeciwieństwie do większości rodaków autorzy mogli również wyjeź-



dzać za granicę. By na przykład kręcić reportaże o kolejkach górskich, ekipa „Sondy” wybrała się nie tylko na Kasprowy Wierch, lecz także do Szwajcarii. Wprawdzie już w Niemczech zepsuł się służbowy polonez Telewizji Polskiej, którym podróżowali redaktorzy, ale miał to być dopiero początek przygód w Alpach. Ich kulminacją były zdjęcia kręcone na dachu kolejki linowej na Matterhorn i na kolejce gondolowej (będącej wówczas absolutną światową nowością). Siudym: „Miałem zasiąść ze statywem i kamerą na kawałku sklejki o powierzchni biurka. Przed ześlizgnięciem chronił jedynie niewysoki rant. Był to tzw. wózek serwisowy. Kurek dzielnie trzymał mnie za pasek od spodni, a drugą ręką dzierżył barierkę. Kolejka biegła nad lodowcem, gdzie nie sposób postawić podpory, więc oddaliliśmy

się od ziemi w tempie błyskawicznym. Początkowe lekkie przerażenie zastąpił paraliżujący strach, postanowiłem więc patrzeć jedynie przez wizjer kamery. Ten mały obrazek nie był już tak groźny”. Tak brawurowo filmowany program ze Szwajcarii cieszył się ogromną popularnością. Autorzy mieli zwiedzić z kamerą jeszcze nie tylko Europę, lecz także rejony tak dla Polaków egzotyczne jak Japonia czy Australia.

Z zagranicznych wojaży twórcy programu wracali obładowani niedostępnymi w kraju towarami. W 1984 roku Andrzej Kurek pokazał zdumionym widzom absolutną światową nowość – ZX Spectrum, zdolny do wyświetlania kolorowej grafiki i odtwarzania dźwięków mikrokomputer, który za własne pieniądze kupił w Wielkiej Brytanii. Kurek był wielkim fanem informatyki,

napisał m.in. program rysujący na ekranie logo „Sondy” oraz napisy końcowe audycji, a także aplikacje demonstrujące edukacyjne możliwości komputerów, które następnie pokazywał na antenie.

Kurka cieszyło, że dla dzieci, które nawet nie potrafią jeszcze czytać i pisać, „komputer nie stanowi już żadnej tajemnicy”. W jednym z odcinków jego syn Mateusz, wówczas przedszkolak, demonstrował kolorowe gry na ZX Spectrum. „Te maluchy, które teraz nie zetkną się z komputerami, będą analfabetami jutra” – przekonywał redaktor.

Nie wiemy, ale chcemy poznać

„W naszym przypadku odchodzimy od założenia, by uczyć widza – przekonywali Kurek i Kamiński w wywiadzie dla tygodnika »Razem«. – Widz uczy się z własnej woli. Naszym zadaniem jest dostarczyć mu pół godziny naukowej rozrywki, zaciekać, zafascynować. Bo jeśli jest fascynacja, jest i motyw do własnych poszukiwań. Nauka w szkole jest zaprzeczeniem nauki. Szkoła mówi: to jest wiadome, taki jest wzór i taki wynik. My zaś mówimy: tego nie wiemy, ale chcemy poznać. Nasza formuła jest lepsza”.

Autorzy „Sondy” pozostali wierni swoim założeniom przez 12 lat nadawania programu. Wyemitowano ponad 550 odcinków, które udowodniły, że nauka to twór medialny, a widza wcale nie trzeba karmić tanią rozrywką. Andrzej Kurek i Zdzisław Kamiński zamierzali w podobnej formule przedstawiać także zagadnienia ekonomiczne, co w kraju, w którym upadał właśnie socjalizm i rodził się wolny rynek, mogło być kolejnym telewizyjnym hitem, przyciągającym przed ekrany miliony widzów. Nie zdążyli. Nigdy też żaden program popularnonaukowy nie powtórzył już fenomenu „Sondy”.

Bartłomiej Kluska – historyk, kustosz archiwalny w OBUiAD IPN w Łodzi, autor książek *Dawno temu w grach* (2008), *Bajty polskie* (2011 i 2014) oraz *Automaty Liczą. Komputery PRL* (2013).

Korzystałem m.in. ze wspomnień Marka Siudyma *18.20 Sonda* (2012)





Efekt domina

Patryk Pleskot

„Zaczęło się w Polsce” – głosił tytuł jednej z wystaw IPN. Polska transformacja ustrojowa 1989 roku – oparta na kompromisie i mająca pokojowy charakter – zainspirowała inne kraje bloku wschodniego do działania. Okazało się jednak, że inni, nauczeni polskim doświadczeniem, mogli posunąć się dalej w krótszym czasie.

W 1980 roku narodziła się w bloku wschodnim zupełnie nowa forma oporu wobec władzy, łącząca masowość uczestnictwa z pokojową formą działania i umiejętnością samoograniczenia się. Kiedy 31 sierpnia Lech Wałęsa podpisał porozumienie w Gdańsku, wychodzące naprzeciw katalogowi żądań robotniczych („21 postulatów”), w Polsce nastąpił szesnastomiesięczny „karnawał Solidarności”. W rzeczywistości miał on niewiele wspólnego z karnawałową radością: czas ten upływał pod znakiem ciągłej niepewności i olbrzymich problemów materialnych.

Nie zmienia to faktu, że determinacja społeczeństwa i olbrzymi kryzys gospodarczy sprawiły, że władze po raz

pierwszy od czasu nastania komunizmu pozwoliły w jednym z krajów bloku wschodniego na tak dużo i na tak długo. Niekomunistyczny legalny związek zawodowy, skupiający 9,5 mln członków, był niespotykanym fenomenem. Robotnik Lech Wałęsa i jego inteligentni doradcy (Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki i inni) stali się dla całego świata symbolami walki o wolność. Zezłżała cenzura, powstawały związki rolników i studentów. Niemniej wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku, kiedy to aresztowano kilka tysięcy opozycjonistów, szybko i skutecznie rozbiło wielomilionowy ruch społeczny. Jak się jednak okazało – tylko na kilka lat. Nawet zresztą w stanie wojennym podziemna, bardzo uszczuplona liczebnie Solidarność potrafiła organizować

► Burzenie muru berlińskiego od strony Berlina Zachodniego; na murze pogranicznicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej; 11 listopada 1989 roku

demonstracje, rozwijała też swe struktury na emigracji.

W pozostałych państwach bloku wschodniego polski scenariusz się nie powtórzył, choć ogólnie pogarszająca się sytuacja gospodarcza skutkowałą coraz częstszymi strajkami. Nastroje opozycyjne w stosunku do władzy przejawiały się także w zdobywających popularność tendencjach pacyfistycznych, zwłaszcza w NRD, czego przejawem była pokojowa demonstracja w lutym 1982 roku w Dreźnie. W Bułgarii zdarzały się zamachy bombowe, co było czymś wyjątkowym dla bloku wschodniego: w przeciwieństwie do bojówek komunistycznych, antykomunistyczna opozycja nie rozwinęła działalności terrorystycznej. W ZSRR próbowali za to niezależnej działalności intelektualiści i artyści: Andriej Tarkowski, Walentin Rasputin, Ilia Głazunow, Ała Pugaczowa czy socjolog Tatiana Zaslawska. Na Łotwie powstała w październiku 1981 roku inicjatywa odezwy w sprawie utworzenia strefy bezatomowej wokół Bałtyku, pojawiały się zarazem samochody z emblematami Solidarności.

Gorbaczow – przypadkowy rewolucjonista

Masowe akcje społeczne znacznie nasiliły się w całym bloku wschodnim w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, wraz z podejmowanymi przez Michaiła Gorbaczowa próbami reform (*perestrojka*, *glasnost*). Wprowadzając zasady gospodarności, przejrzystości i modyfikując politykę zagraniczną Kremla, nowy generałny sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego chciał po prostu ratować władzę komunistów. Zachęcając do reform i deklarując większą swobodę państw satelickich, niechętny zapoczątkował jednak proces, który wkrótce doprowadził do rozbicia żelaznej kurtyny.

Nowa atmosfera polityczna doprowadziła do wzrostu tendencji narodowych i odśrodkowych w ZSRR.

W czerwcu 1988 roku na Ukra-

inie uroczyście obchodzono tysiąclecie chrztu Rusi. W Estonii reformatorzy utworzyli ruch na rzecz pierestrojki „Rahvarinne”. W sierpniu 1988 roku, w rocznicę podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow, dziesiątki tysięcy demonstrantów wyszło na ulice Tallina, Rygi i Wilna. W październiku w Wilnie powstał Litewski Ruch na rzecz Przebudowy „Sajūdis”. Jednocześnie utworzono Front Ludowy Estonii, z czego cieszyło się 300 tys. mieszkańców Tallina. Podobny front powstał na Łotwie. Ten masowy ruch społeczny przeszedł do historii jako „śpiewająca rewolucja”. Nawet w promoskiewskiej Bułgarii mnożyły się niezależne inicjatywy. W Pradze w dwudziątą rocznicę sowieckiej inwazji protestowało 10 tys. osób. Na Węgrzech rozwijał się masowy ruch ekologiczny „Krag Dunajski”. We wrześniu 1987 roku utworzono opozycyjne Węgierskie Forum Demokratyczne, a w marcu 1988 roku – Związek Młodych Demokratów (Fidesz), wzoro-

wany nieco na polskim Niezależnym Zrzeszeniu Studentów.

W Polsce w kwietniu i sierpniu 1988 roku zastrajkowało kilkadziesiąt tysięcy osób. Jawnie zaczęła działać zdelegalizowana Solidarność. Władze, stojąc w obliczu krachu gospodarczego i nie mogąc opanować sytuacji w kraju, postanowiły pójść na kompromis z opozycją. Od lutego do kwietnia 1989 roku odbywały się obrady Okrągłego Stołu, w których wyniku w czerwcu przeprowadzono pierwsze od wojny niesfałszowane i częściowo konkurencyjne wybory parlamentarne. Opozycja, skupiona w „drużynie Wałęsy”, zdobyła niemal wszystkie możliwe miejsca z przewidzianej dla niej puli. Wkrótce Tadeusz Mazowiecki został pierwszym niekomunistycznym premierem Polski po 1945 roku. W ciągu kilku miesięcy system PRL w sposób pokojowy upadł, ale dopiero w połowie 1990 roku formalnie zniesiono cenzurę i rozwiązano Służbę Bezpieczeństwa, w grudniu zaś niekomunistycznym ▶

▶ Proklamacja Republiki Węgierskiej w miejsce Węgierskiej Republiki Ludowej; Budapeszt, 23 października 1989 roku





Fot. PAP/CTK

► Demonstracja praskich studentów, 17 listopada 1989 roku; żądanie, by prezydentem Czechosłowacji został opozycjonista Václav Havel, zostało spełnione nieco ponad miesiąc później

i demokratycznie wybranym prezydentem niepodległej Polski został Lech Wałęsa. Całkowicie wolne wybory parlamentarne przeprowadzono niemal rok później.

„Trójkątny stół”

Wydarzenia w Polsce wpłynęły na błyskawiczny rozwój sytuacji u sąsiadów. Choć zaczęli później, w większości wypadków szybko dogonili Polaków i wkrótce ich zdystansowali. Oprócz PRL Jesień Ludów najwcześniej zawitała na Węgry. Na jesieni 1988 roku zaczęły tam powstawać liczne organizacje opozycyjne. W grudniu parlament uchwalił wolność zgromadzeń, prasy, wyznania i zrzeszania się. W czerwcu 1989 roku rozpoczęły się obrady „trójkątnego stołu” (wzorowanego na polskim Okrągłym Stole), zorganizowano także manifestacyjny pogrzeb Imrego Nagya, premiera w czasie rewolucji węgierskiej 1956 roku, straconego w 1958 roku i pochowanego na śmietniku. We wrześniu otwarto granicę z Austrią dla uchodźców z NRD. W październiku zmieniono konstytucję, a kilkaset tysięcy ludzi uczciło pamięć wydarzeń 1956 roku. W listopadzie odbyło się referendum. W jego wyniku zaczęto przygotowania do wolnych wyborów par-

lamentarnych, do których doszło wiosną 1990 roku. Wygrało je Węgierskie Forum Demokratyczne na czele z Józsefem Antallem. W tym czasie prezydentem Polski wciąż był gen. Wojciech Jaruzelski, a na demokratyczne wybory trzeba było czekać kilkanaście następnych miesięcy.

Jesień Ludów

Rok 1989 nie zaczął się zbyt optymistycznie w Czechosłowacji. W styczniu tamtejsza milicja siłą rozpędziła manifestację zorganizowaną w dwudziestą rocznicę śmierci Jana Palacha, który podpalił się w proteście przeciwko stłumieniu Praskiej Wiosny z 1968 roku przez wojska Układu Warszawskiego. W tym czasie aresztowano Václava Havla. W czerwcu działacze opozycyjnej inicjatywy Karta 77 wystosowali petycję „Kilka zdań”, wzywającą do reform. Pod koniec roku narastały protesty, wciąż jednak tłumione przez milicję. W listopadzie demonstrowało w Pradze 200 tys. osób. Rząd przystąpił w końcu do rozmów z opozycją skupioną w Forum Obywatelskim. Pod koniec grudnia na czele Zgromadzenia Narodowego stanął symbol Praskiej Wiosny – Alexander Dubček, a prezydentem kraju został Václav Havel – rok wcześniej niż Lech Wałęsa.

W Bułgarii w lutym 1989 roku – w momencie rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu w Polsce – powstał niezależny związek zawodowy „Podkrepa”, kierowany przez Konstantina Trenczewa. Rozwijali działalność ekolodzy z ruchu „Ekogłasnost”. W listopadzie odsunięto od władzy długoletniego przywódcę partyjnego Todora Żiwkova. Przez wiele tygodni dochodziło do ogromnych manifestacji, poczęły powstawać niezależne partie. W styczniu 1990 roku przystąpiono do obrad bułgarskiej odmiany Okrągłego Stołu. W czerwcu odbyły się wybory, ale opozycja (Związek Sił Demokratycznych) oskarżyła komunistów o fałszerstwa. Przez cały rok trwały demonstracje, a w pełni wolne wybory odbyły się dopiero w październiku 1991 roku, równoległe z wyborami w Polsce.

Od połowy grudnia 1989 roku narastały antyrządowe demonstracje w Rumunii. Pierwotnie źródłem protestów były wystąpienia węgierskiej mniejszości w Timiszoarze. Z kolei jeszcze w listopadzie 1987 roku milicja bezpieczeństwa Securitate brutalnie stłumiła robotnicze protesty w Braszowie. Dwa lata później sytuacja rozwijała się błyskawicznie i dramatycznie: doszło do rewolucji, w której wyniku 25 grudnia Nicolae Ceaușescu wraz ze swą wpływową żoną Eleną zostali rozstrzelani. Komuniści jednak nie oddali władzy aż do 1991 roku.

W NRD przez cały 1989 rok nasilał się exodus obywateli do RFN. W drugiej połowie roku zaczęły odradzać się niezależne partie, w tym socjalistyczna. W październiku doszło do wielkich manifestacji w Berlinie Wschodnim, Dreźnie i Lipsku. 4 listopada w Berlinie Wschodnim demonstrował ponad milion osób, żądając wolnych wyborów. Parę dni później przystąpiono do burzenia muru berlińskiego, czyli pośrednio – żelaznej kurtyny. W efekcie kanclerz RFN Helmut Kohl, który na wieść o wydarzeniach w Berlinie przerwał wizytę w Polsce, ogłosił program zjednoczenia Niemiec, do którego doszło ostatecznie w październiku 1990 roku.



Fot. PAP / ITAR-TASS

► Czolgi na ulicach Bukaresztu, 23 grudnia 1989 roku; demonstranci trzymają rumuńską flagę – z dziurą w miejscu komunistycznego godła

Rozpad imperium zła

Najtrudniejszą drogę do wolności miały wschodnioeuropejskie kraje bezpośrednio wcielone do ZSRR. 23 sierpnia 1989 roku, w pięćdziesiątą rocznicę podpisania układu Ribbentrop–Mołotow, 800 tys. mieszkańców Estonii, Łotwy i Litwy utworzyło przeszło sześćsetkiłometrowy „żywy łańcuch” od Tallina do Wilna, protestując przeciw przynależności do ZSRR. W lutym 1990 roku opozycyjny „Sajūdis” na czele z Vytautasem Landsbergisem wygrał wybory parlamentarne i w marcu ogłosił niepodległość. Pod koniec marca taką samą decyzję podjęła Estonia, mimo groźby radzieckiej inwazji. 4 maja niepodległość ogłosiła Łotwa. Spotkanie prezydentów trzech republik w Tallinie powołało Radę

Bałtycką, nawiązującą do przedwojennej Ententy Bałtyckiej. W lipcu 1990 roku Litwa zawiesiła deklarację niepodległości w wyniku nacisków militarnych i ekonomicznych ZSRR.

W styczniu 1991 roku sowieckie oddziały specjalnie bezskutecznie próbowały siłą przywrócić zależność Litwy i Łotwy. W wyniku starć z wojskiem zginęło kilkanaście osób, a kilkaset zostało rannych. Warto pamiętać, że akcję tę zlecił przyszły laureat pokojowej nagrody Nobla, ówczesnie pierwszy i jedyny prezydent ZSRR, Michaił Gorbaczow. Miesiąc później podczas referendum 90 proc. Litwinów opowiedziało się za niepodległością. Podobne referenda przeprowadzono na początku marca w Estonii (78 proc. zwolenników niepodległości) i na Łotwie (74 proc.). Pod koniec sierpnia 1991 roku Estonia i Łotwa oficjalnie ogłosiły niepodległość. Kilka dni wcześniej niepodległość „odwiesiła” Litwa.

Jesień Ludów nie ominęła Ukrainy. We wrześniu 1989 roku powstał niezależny Ludowy Ruch Ukrainy. W styczniu 1990 roku pół miliona Ukraińców utworzyło „żywy łańcuch” o długości 500 km od Kijowa do Lwowa. W marcu 1990 roku opozycja weszła w koalicję z reformatorskim skrzydłem partii. Dopiero jednak 24 sierpnia 1991 roku Ukraina ogłosiła niepodległość. Dzień później uczyniła to Białoruś. Uniezależniła się również związkowa republika rosyjska, kierowana

przez Borysa Jelcyna. W czerwcu 1991 roku Jelcyn zwyciężył w powszechnych wyborach prezydenckich. Rozpad ZSRR był już tylko kwestią czasu.

Różne formy działalności opozycyjnej w krajach „obozu pokoju” wynikały po pierwsze z różnego zakresu swobody (sytuacja w Polsce była inna niż w NRD czy krajach bałtyckich), a po drugie – uwarunkowań cywilizacyjno-historycznych (np. promoskiewskie tradycje w Bułgarii). Bez uwzględnienia tych różnorodnych czynników nie da się porównywać znaczenia opozycji w poszczególnych państwach. Nie ulega jednak wątpliwości, że w końcu lat osiemdziesiątych to Polska pierwsza rzucała kamień, który przeistoczył się w historyczną lawinę. 🇵🇱

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, autor m.in. książki *Kłopotliwa Panna „S”. Polityczne postawy Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)* (2013)

► Kongres założycielski Litewskiego Ruchu na rzecz Przebudowy; Wilno, 23 października 1988 roku

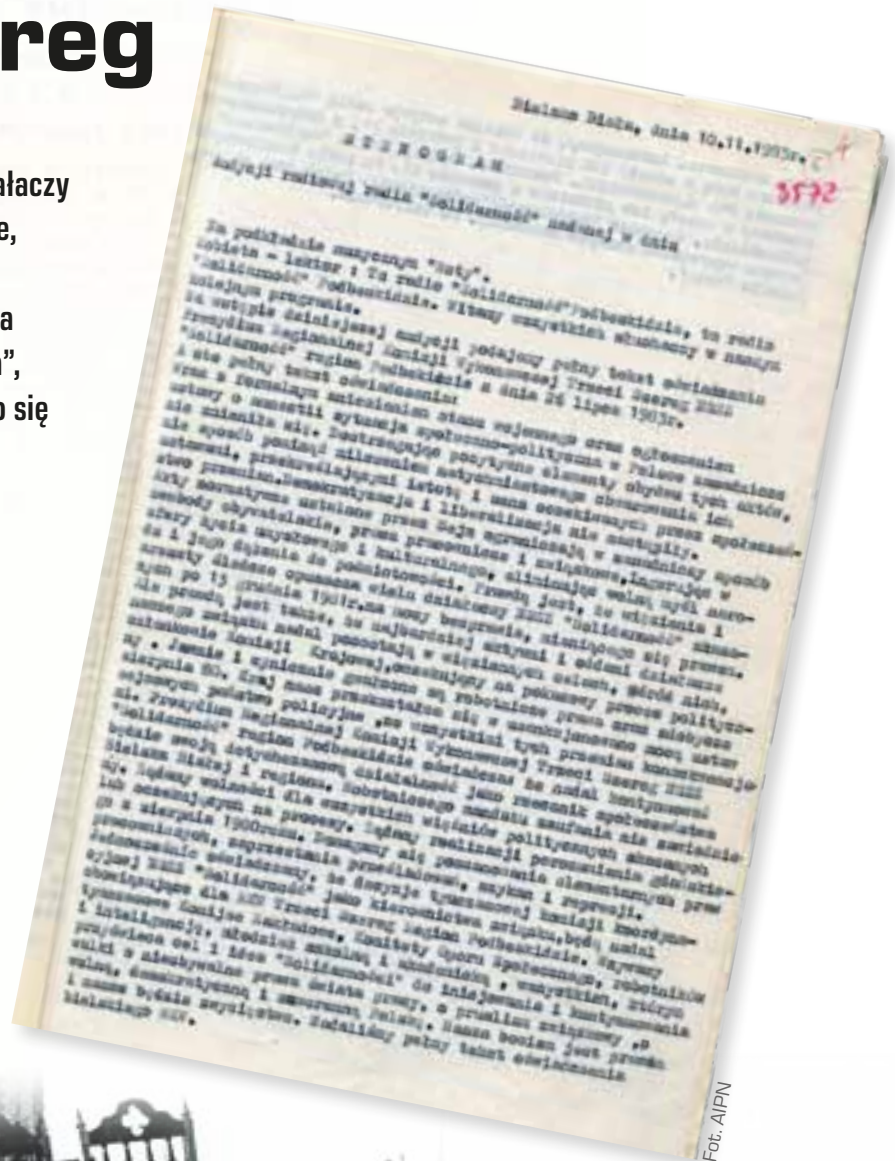
Trzeci Szereg

Dariusz Węgrzyn

Gdy w stanie wojennym czołowych działaczy bielskiej Solidarności dotknęły represje, inicjatywę przejęli robotnicy spoza władz związku. Zaczynali od wydawania podziemnej „Solidarności Podbeskidzia”, ale ich największym osiągnięciem stało się stworzenie konspiracyjnego radia.

Wnocy 31 lipca 1983 roku osoby przebywające w schronisku PTTK na Koziej Górze (Stefance) w Beskidzie Śląskim niedaleko Bielska-Białej przeżyły szok. Do budynku wkroczyli funkcjonariusze MO i SB i rozpoczęli skrupulatną rewizję. Przeszukawszy budynek od piwnic aż po dach, nic nie znaleźli i odjechali wściekli. Czego szukali? Ich celem był nadajnik konspiracyjnego „Radia Solidarność”.

O ile ulotki pojawiające się w różnych rejonach województwa nie były niczym nadzwyczajnym w skali kraju, o tyle nadawanie audycji radiowych przez konspiratorów wywoływało furję pracowników Służby Bezpieczeństwa, którzy – tak jak w tym przypadku – reagowali nerwowo i często działali na oślep.



Fot. AIPN

► Materiał dowodowy ze śledztwa w sprawie Trzeciego Szeregu



Fot. AIPN

Solidarność żyje

Po 13 grudnia 1981 roku na związkowców z Regionu Podbeskidzie NSZZ „Solidarność” posypały się represje. Ich symbolem było skazanie w marcu 1982 roku Patrycjusza Kosmowskiego, przywódcy bielskiej Solidarności, aż na 6 lat więzienia. Próby spotkań osób, które chciały pomóc represjonowanym, również po kilku dniach zakończyły się aresztowaniami, a potem wyrokami sądowymi tzw. Drugiego Szeregu NSZZ „Solidarność”. Wszelkie przejawy oporu nawet prostych robotników kończyły się represjami, wśród których nagana czy kara finansowa należały do stosunkowo łagodnych. Nadzieje na całkowite spacyfikowanie społeczeństwa okazały się jednak płonne. Jak w całym kraju, tak i w województwie bielskim rodziła się konspiracja.

W marcu 1981 roku pojawił się pierwszy numer „Solidarności Podbeskidzia” – pisma, które w kolejnych wydaniach było sygnowane przez Regionalną Komisję Wykonawczą „Trzeci Szereg” NSZZ „Solidarność” Region Podbeskidzie. Nazwa nie wzbudziła w SB zaniepokojenia, gdyż dosyć często pojawiały się efemerydy – czasopisma szumnie podpisane, a kończące swój żywot na pierwszym numerze. Tym razem było inaczej. „Solidarność Podbeskidzia” nie zniknęła, co więcej, szybko rósł jej nakład, zwiększała się również objętość. Gdy pismo stało się podziemnym tygodnikiem, docierającym własnymi kanałami dystrybucji do większości miast województwa, wreszcie ktoś w bielskiej SB nacisnął przycisk z napisem „alarm”. Rzeczywiście powstała bowiem struktura konspiracyjna, która wyraźnie zmierzała ku temu, by stać się podziemnym odpowiednikiem regionalnych władz Solidarności.

Okazało się jednak, że to dopiero początek – na falach eteru, początkowo



o bardzo skromnym zasięgu, pojawiły się nielegalnie krótkie audycje „Radia Solidarność”. Oczywiście nie była to rozgłośnia w rozumieniu dzisiejszym, z wielogodzinnym programem i długimi audycjami. Radiowcy RKW z gór nadawali o określonym terminie krótkie kilkuminutowe audycje, których znaczenie było czytelne: „Solidarność żyje”.

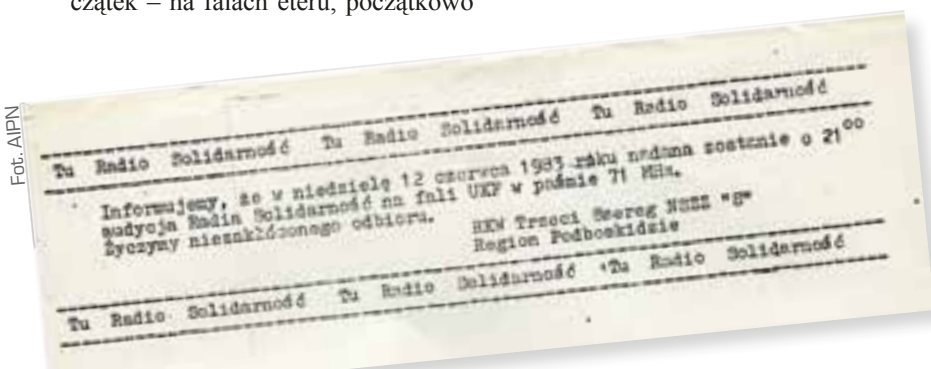
Ojcowie założyciele Trzeciego Szeregu

Struktura, która przybrała nazwę „Trzeci Szereg”, działała sprawnie od początku 1982 do jesieni 1983 roku, mimo że Służba Bezpieczeństwa włożyła ogromne siły i środki, by ją zdekonspirować. Żeby nie być gołosłownym, wystarczy wskazać na akcje SB z końca kwietnia 1983 roku, gdy podczas poszukiwania tropów prowadzących do konspiracji zatrzymano do wyjaśnienia blisko sto osób i przeprowadzono ponad 180 rozmów „profilaktyczno-ostrzegawczych”. Dlaczego Trzeci Szereg budził taką wściekłość wśród funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa? Co było jego siłą? Co tak utrudniło zadanie policji politycznej?

RKW tworzyli zwykli robotnicy, którzy w okresie legalnej Solidarności należeli do związku, ale nie zajmowali w nim eksponowanych stanowisk. Co więcej, większość z nich doskonale się znała i ufała sobie, pracując w jednym zakładzie – Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej. Ci właśnie robotnicy postanowili skupić się na prowadzeniu działalności informacyjnej przez wydawanie własnej gazety – „Solidarności Podbeskidzia”. Mimo skromnego doświadczenia zamierzali aktywizować opór społeczny na poziomie regionalnym. Wobec funkcjonujących już inicjatyw na rzecz pomocy represjonowanym RKW na początku nie przewidywała zbierania wśród robotników pieniędzy na potrzeby związane z działalnością. Tym samym spora grupa donosicieli SB, którzy w zakładach pracy byli szczególnie wyczuleni na tego rodzaju akcje składkowe, niczego nie wiedziała o inicjatywie Trzeciego Szeregu. Wykrycie tej struktury okazało się dla Służby Bezpieczeństwa niezwykle trudnym zadaniem.

Konspiracja: Na początku był papier

Początek Trzeciego Szeregu to grudzień 1981 roku, gdy spotkali się czterej pracownicy FSM: Jerzy Binkowski, Antoni Włoch, Janusz Kudelko i Grzegorz Jaroszewski. Ich inicjatywa szybko skonkretyzowała się w postaci podziemnego



Fot. AIPN

pisma „Solidarność Podbeskidzia”, którego pierwszy numer jest datowany na 5 marca 1982 roku. Czasopismo wychodziło z coraz większą regularnością, a RKW stała się głównym źródłem informacji o sytuacji w kraju i regionie oraz aktywizatorem oporu społecznego w województwie, spędzając sen z oczu miejscowej SB.

„Solidarność Podbeskidzia” zaczęła skromnie – od siedmiuset egzemplarzy. Antoni Włoch i Janusz Kudelko mieli doświadczenie z drukiem w okresie legalnej Solidarności i teraz bez problemu poradziili sobie z ramką i walkiem drukarskim. Konspiratorom sprzyjał model gospodarki funkcjonujący w województwie. Centralnym punktem na jego mapie gospodarczej była Bielsko-Biała. To tu koncentrowało się najwięcej przedsiębiorstw różnych branż, do których dojeżdżali do pracy mieszkańcy prawie z całego województwa. Na początek wystarczyło więc ulotki wyłożyć – np. w szatniach – by „rozplęły się” na teren całego Podbeskidzia. Jednak prości robotnicy nie mieli aspiracji, by kreować samodzielne strategie oporu społecznego. Najczęściej po prostu przyłączali się do akcji o charakterze ogólnopolskim. Tubą stało się własne pismo i co najważniejsze, pojawiły się wymierne efekty, jak np. manifestacje 1 i 3 maja 1982 roku w stolicy województwa. Rozrastający się system kolportażu został uzupełniony o akcję zbierania składek wśród wtajemniczonych robotników, które przeznaczano głównie na potrzeby druku i w mniejszym stopniu na pomoc represjonowanym. Taki model działalności powodował, że RKW miała ograniczone kontakty z ościennymi ośrodkami konspiracyjnym i raczej nastawiała się na pozyskiwanie informacji i ewentualnie innych pism „drugiego obiegu”. Tym samym groźba dekonspiracji „z zewnątrz” nie była duża.

Rzeczywiście działania podejmowane przez SB nie były zbyt efektywne. Paradoksalnie stało się to jasne, gdy w lipcu 1982 roku jeden z „ojców założycieli” RKW „Trzeci Szereg”, Janusz Kudelko, został aresztowany, a w wyniku rewizji znaleziono u niego sporo „bibuły”, w tym świeże egzemplarze „Solidarności Podbeskidzia”. Mógł to być koniec



Fot. AIPN

► Regularnie wychodzące czasopismo podziemne to tylko początek – związkowcy mieli o wiele większe ambicje

konspiracji. Tymczasem Służba Bezpieczeństwa nie wiedziała, kogo miała w swoich rękach, a Kudelko odmówił składania wyjaśnień i w grudniu 1982 roku skazano go jedynie na karę więzienia w zawieszeniu. Jerzy Binkowski i krąg jego współpracowników mogli działać dalej, a zarządzana przez niego struktura funkcjonowała sprawnie. Składki robotników okazały się dosyć stabilnym źródłem finansowania, a pismo wydawano prawie co tydzień.

Problemy były niekiedy prozaiczne, np. brak redaktora z prawdziwego zdarzenia zmuszał robotników do gimnastyki intelektualnej, by wydawane ulotki miały odpowiedni poziom.

Trzeci Szereg znowu nadaje

O ile z drukiem bibuły konspiratorzy jakoś sobie poradziili, o tyle z emitowaniem audycji nie było już łatwo. W polowie 1982 roku z mieszkania Jerzego Binkowskiego nadano za pomocą prymitywnego nadajnika radiowego sygnał próbny – melodię *Viva España*. Niezbyt imponujący zasięg – maksymalnie 100–200 metrów – nie zraził pomysłodawców stworzenia „Radia Solidarność”. Powstał kolejny nadajnik, o lepszym zasięgu, a Mieczysław Setla na potrzeby nadawania zakupił dwa magnetofony. Pierwszą zanotowaną audycję emitowano 9 września 1982 roku. W porównaniu z przeprowadzonymi próbami, efekt był więcej niż zadowalający. Słowa wysłane w eter były słyszalne nie tylko w Bielsku-Białej, skąd je emitowano, ale nawet w Kętach i Andrychowie. Tak więc zasięg był już liczony nie w metrach, lecz w kilometrach. O sukcesie konspiratorzy poinformowali na łamach „Solidarności Podbeskidzia”. Ze względu na to, że SB natychmiast sprowadziła aparaturę pelengacyjną (służącą do namierzenia, skąd nadawano sygnał radiowy), nie podawano terminów emisji, a jedynie zachęcano czytelników, by słuchali radia w paśmie 71–72 MHz w okolicy godziny 21.00. Do końca 1982 roku wyemitowano co najmniej cztery audycje. Oczywiście termin „audycja” był używany na wyrost. W ciągu kilku minut nadawania najczęściej można było usłyszeć jakąś pieśń patriotyczną oraz krótką odezwę Trzeciego Szeregu. I tak np. przed 1 i 3 maja 1983 roku apelowano o bojkot pochodów pierwszomajowych i udział w mszach świętych w dniu 3 maja. Efekt audycji był pioru-



► Nadajnik Radia „Solidarność” w Bielsku-Białej zachował się do dzisiaj

nujący. SB była wściekła, bo jak tu zameldować przełożonym w Warszawie, że w ich rejonie nie tylko wydawany jest podziemny tygodnik, ale równocześnie konspiratorzy nadają audycje radiowe.

Po przerwie wynikającej z trudności technicznych związanych z nadajnikiem, radio znowu zaczęło emisję w kwietniu 1983 roku. Wynikało to z kilku ważnych zmian, które wiązały się z tym segmentem działalności konspiracyjnej. Za nadawanie audycji odpowiadali teraz Józef Wróbel, Jan Ryszawy i Augustyn Gadzina, a spikerką została Jadwiga Skowrońska. Kluczowe były jednak kwestie siły emisji. Mianowicie dzięki kontaktom, jakie związkowcy mieli w latach 1980–1981, udało się sprowadzić nielegalnie z Francji prawdziwy nadajnik radiowy. W tę operację zaangażowali się Andrzej Kralczyński i Jan Frączek. W rezultacie konspiratorzy otrzymali urządzenie nadawcze, które było lekkie, poręczne i łatwo można było je nosić do lasu i w góry, skąd emitowano sygnał. Było zasilane akumulatorem do motocykla. Najistotniejsze było to, że sygnał nadawany w paśmie 71–72 MHz był słyszalny na znacznym obszarze województwa.

Nadawano z terenów trudno dostępnych. Początkowo był pomysł, by wystawić czaty, ale szybko okazało się, że było z tym więcej problemów niż pożytku. Mnożyły się bowiem fałszywe alarmy ze strony obstawy, co w dużym stopniu wynikało z faktu, że nadawa-

no najczęściej po zmroku, a ludzie byli bardzo zdenerwowani i podekscytowani udziałem w akcji. Radio odzywało się średnio raz w miesiącu. Paradoksalnie, najwierniejszymi słuchaczami byli funkcjonariusze SB, którzy codziennie w wyznaczonych godzinach emisji słuchali, czy Trzeci Szereg znowu nie nadaje. Osoby emitujące sygnał, znajdujące się zazwyczaj wysoko w górach, obserwowały przedziwne zjawisko. Mianowicie po kilku minutach nadawania, w dolinie w centrum Bielska-Białej zaczynały migotać światła samochodów MO. Rozpoczynała się tzw. dyskoteka, a w stronę, skąd nadawano, ruszały kolumny samochodów z funkcjonariuszami, którzy mieli nadzieję pochwycić radiowców na gorącym uczynku. Nadzieje te były płonne, gdy bowiem funkcjonariusze MO i SB przybywali na miejsce (ostatni odcinek, którego nie mógł pokonać samochód, i tak musieli przebyć pieszo), nikogo tam nie zastawali, bo radiowcy już dawno zakończyli swą pracę i zmykali do domów. Wykonano specjalną wodoszczelną skrzynkę, do której pakowano sprzęt nadawczy, a następnie ukrywano ją w lesie, by wrócić po nią kilka dni później, gdy okolica znów była bezpieczna. Tak więc mimo zaangażowania znacznych sił i środków nigdy nie udało się schwytać konspiratorów.

Nadchodzi koniec

Ogromny nakład pracy, sił i środków bielskiej SB musiał jednak przynieść

efekty. W sierpniu 1983 roku zatrzymano osiem kobiet związanych w okresie legalnym ze strukturami Regionu Podbeskidzie NSZZ „Solidarność”, nagrano ich głos i wysłano do ekspertyzy kryminalistycznej do Warszawy. Wśród nich była spikerka radia Jadwiga Skowrońska. Wkrótce ją zatrzymano i do dziś wśród działaczy opozycji uważa się, że tą drogą SB wpadła na trop Trzeciego Szeregu. Dokładna analiza zachowanych akt wskazuje, że przeciek musiał mieć miejsce gdzie indziej, a sprawa Skowrońskiej w języku służb była jedynie „legendą”. Niestety, nie zachowały się dokumenty operacyjne Służby Bezpieczeństwa dotyczące tej sprawy, ale z ocalałych protokołów przesłuchań wynika, że w kluczowym momencie SB aresztowała osoby, o których Skowrońska nie wiedziała i na ich temat nie zeznawała. Służba Bezpieczeństwa miała więc wiedzę o tych konspiratorach Trzeciego Szeregu z innego źródła. Trudno je dziś jednak ustalić. Finał był taki, że we wrześniu 1983 roku w Bielsku-Białej ruszyła fala aresztowań, prowadząca do dekonspiracji struktur, których czołowi działacze wraz z Jerzym Binkowskim trafili do aresztu. Ostatecznie nie stanęli przed sądem, gdyż objęła ich amnestia z 1984 roku, ale i tak przesiadzieli w areszcie blisko rok.

Zamilkło też radio, a ostatnia zanotowana audycja została wyemitowana 1 września 1983 roku. Choć Trzeci Szereg udało się reaktywować (głównie dzięki pracownikom Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej, m.in. Janowi Frączkowi i Andrzejowi Kralczyńskiemu), Radio „Solidarność” w Bielsku-Białej już się nie odrodziło. Co ciekawe, do dziś przetrwał nadajnik. Zarekwirowany przez SB – podobnie jak wcześniej akta Zarządu Regionu Podbeskidzie NSZZ „Solidarność” z lat 1980–1981 – został zwrócony związkowcom po okresie przełomu 1989 roku. Do dziś przechowuje go Jan Ryszawy. 📌

dr Dariusz Węgrzyn – pracownik
Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN
w Katowicach

Sąsiedzi

Jerzy Eisler

Siedemdziesiąta piąta rocznica wybuchu II wojny światowej to znakomita okazja do przypomnienia filmu *Sąsiedzi*, poświęconego dramatycznym wydarzeniom w Bydgoszczy z września 1939 roku.

O ile inne filmy opowiadające o tragedii Września, takie jak np. *Wolne miasto* i *Westerplatte* Stanisława Różewicza, *Lotna* Andrzeja Wajdy, *Orzeł* Leonarda Buczkowskiego czy *Hubal* Bohdana Poreby, stosunkowo często bywają pokazywane przy okazji kolejnych rocznic, o tyle obraz *Sąsiedzi* telewizja przypomina raczej rzadko. Wypada zatem wspomnieć, że ten zrealizowany ze znacznym rozmachem epicki film opowiada o tragicznych wydarzeniach, które miały miejsce w 1939 roku w Bydgoszczy, gdzie 3 i 4 września niemieccy dywersanci (hitlerowska piąta kolumna) ostrzelali z ukrycia wycofujące się jednostki Armii „Pomorze”, dowodzonej przez gen. Władysława Bortnowskiego.

► W role Niemców wcielił się aktorzy z NRD; na zdjęciu Gerhard Rachold



Fot. FilMOTEKA Narodowa

Dwie propagandy

Atak ten został odparty przez polskich żołnierzy, wspieranych przez mieszkańców Bydgoszczy. Niemieccy dywersanci (lub osoby uznane za nich przez Polaków) złapani z bronią w rękę, a zwłaszcza ci jakoby ubrani w polskie mundury, zostali aresztowani, lecz w zdecydowanej większości wypuszczono ich na wolność, gdy kilkadziesiąt godzin później ostatnie polskie oddziały musiały opuścić miasto. Z braku wystarczającej liczby konwojentów tylko nieliczni Niemcy mogli zostać zabrani do aresztu wojskowego w celu postawienia ich przed sądem. Niestety nie wiadomo, jakie były ich dalsze losy. Zważywszy na ogólną złą sytuację na froncie wojsk polskich oraz ich militarne niepowodzenia wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby przeprowadzono sąd nad Niemcami zatrzymanymi w Bydgoszczy.

Niemniej w niemieckiej tradycji – lub może lepiej byłoby powiedzieć: w tradycyjnym nazistowskim ujęciu propagandowym – dramatyczne wydarzenia z 3 września 1939 roku zyskały miano „krwawej niedzieli”. Oczywiście nie chodziło w tym wypadku o skrytobójczo zabitych Polaków (wojskowych i cywili), ale o Niemców (zarówno hitlerowskich dywersantów, jak i niemieckich mieszkańców Bydgoszczy). W tej wersji historii nie było mowy o późniejszym rozstrzelaniu grupy polskich mieszkańców miasta, którzy wspierali walczących z dywersantami żołnierzy Armii „Pomorze”.

Zupełnie inaczej było to prezentowane w polskim ujęciu propagandowym, szczególnie w latach rządów Władysława Gomułki, kiedy to władze często i chętnie posługiwały się kartą antyniemiecką. W tej wersji akcentowano przede wszystkim zdradziecki atak ze strony uzbrojonych niemieckich cywilów na regularne jednostki Wojska Polskiego, a także późniejszą krwawą rozprawę z ludnością polską w Bydgoszczy. Obie te wersje łączyła przede wszystkim tendencja do minimalizowania własnej odpowiedzialności i zarazem do akcentowania odpowiedzialności drugiej strony. W wersji niemieckiej zawyżano liczbę poległych i zabitych Niemców, w polskiej czyniono to samo w odniesieniu do Polaków. Jak to często bywa w takich przypadkach, po obu stronach brakowało rzetelnych i wiarygodnych danych liczbowych. Nawet więc gdyby ktoś w zgodzie z regułami warsztatu historycznego i najlepszą wolą chciał ustalić, co w rzeczywistości wydarzyło się w Bydgoszczy we wrześniu 1939 roku, nie byłoby to łatwe. Przekonali się o tym autorzy przygotowanej pod redakcją Tomasza Chocińskiego i Pawła Machcewicza pracy zbiorowej *Bydgoszcz 3–4 września 1939. Studia i dokumenty* (IPN, 2008). Mimo upływu czasu także im nie udało się ustalić wielu faktów, a przede wszystkim skonstruować pełnych i wiarygodnych list ofiar po obu stronach. Autor jednego z tekstów zawartych w tym wydawnictwie, Paweł Kosiński, obrazując, jak bardzo brakuje precyzyjnych danych liczbowych, napisał, że w ciągu tych dwóch dni „w mieście mogło [...] zginąć od dwudziestu do 238 żołnierzy WP, kilkudziesięciu cywilnych Polaków i od 103 do ponad czterystu Niemców; w sumie od 150 do siedmiuset osób”. Trudno tak rozbieżne zestawy liczb uznać za precyzyjne i wiarygodne.

Scenarzysta za kamerą

W tej – toczonyj przecież nie tylko w latach sześćdziesiątych – polsko-niemieckiej walce o pamięć Polacy postanowili posłużyć się tak nośnym środkiem oddziaływania na ludzi i ich emocje jak film fabularny. Przygotował go i zrealizował Aleksander Ścibor-Rylski, cieszący się sławą jednego z najwybitniejszych polskich scenarzystów. Autor scenariuszy filmów Andrzeja Wajdy, jak *Popioły*, *Człowiek z marmuru* oraz *Człowiek z żelaza*, a także m.in. do takich obrazów innych twórców jak: *Pigułki dla Aurelii*, *Agent nr 1*, *Dagny* czy opowiadający o początkach polskiej państwowości film *Gniazdo*. Ale w latach sześćdziesiątych Ścibor-Rylski sam zdecydował się stanąć za kamerą i wyreżyserował sześć filmów, z których ostatnim byli właśnie *Sąsiedzi*, mający swoją prapremierę w Bydgoszczy 3 września 1969 roku, w 30. rocznicę ukazywanych wydarzeń.

Aleksander Ścibor-Rylski nie tylko zrealizował swój film ze znacznym rozmachem inscenizacyjnym, ale zaangażował do niego nawet w rolach drugoplanowych i epizodach wielu znakomitych aktorów. Na ekranie pojawiają się m.in.: Henryk Bąk, Tadeusz Kalinowski, Janusz Kłosiński, Krzysztof Litwin, Jan Machulski, Leon Niemczyk, Józef Nowak, Marian Opania i Tomasz Zaliwski. Jednocześnie wszystkie role Niemców zostały powierzone aktorom z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ścibor-Rylski w tło historyczne filmu dość zręcznie wplótł historię miłości nastoletniej Niemki Anny Marii Boehme (w tej roli Evelyn Opoczyńska) i granego przez Jerzego Matalowskiego młodego Polaka Piotra Horodeckiego, który po wyjeździe ojca (oficera rezerwy) na front został sam w Bydgoszczy.

Zły i dobry Niemiec

Widzowie są świadkami swoistego przyciągania i odpychania się pary młodych bohaterów. Poza wojną – wdzierającą się coraz mocniej w życie prywatne – główną przyczyną ich rozchodzenia się było odmienne rozumienie zaimków „my” i „nasi”. Dziewczyna, znająca nieporównanie lepiej język polski, niż jej chłopak znał niemiecki, referując mu wiadomości radiowe, używała tych właśnie zaimków, mówiąc m.in., że „nasi” zajęli Częstochowę. Opowiadała także Piotrowi, że wielu „naszych” (to znaczy niemieckich dywersantów) zginęło na ulicach miasta. Piotr Zwierzchowski, obecnie chyba największy znawca filmów

▶ Aleksander Ścibor-Rylski zrealizował *Sąsiedów* z niemalym rozmachem



wojennych powstałych w okresie PRL, trafnie zauważył, że po wybuchu wojny w uczuciach młodych bohaterów nastąpiła „gwałtowna zmiana, mimo że właśnie spędzili razem noc”.

Kwestia wiarygodności tej sytuacji była dyskutowana 25 marca 1969 roku w czasie posiedzenia Komisji Kolaudacyjnej, kiedy to część mówców skrytykowała wątek dziewczyny. Podjął z nimi polemikę Jan Gerhard, dowodząc, że takie stawianie sprawy wynikało z „obecności w świadomości wątku propagandowego, który nakazuje pokazywać Niemców w sposób jednoznaczny”, i oświadczył, że „postać dziewczyny, która jest zakochana w Polaku, ale czuje się Niemką, jest prawdziwa. Można postrzegać postać Anny Marii jako ofiarę hitlerizmu, zagubioną dziewczynę”. Jednak w ostateczności jej zachowanie w końcówce filmu – „udział we wskazywaniu Polaków skazanych na rozstrzelanie, miało udowodnić, że dobrzy Niemcy nie istnieli”.

Autorzy filmu nie byli chyba jednak pod tym względem konsekwentni i może dlatego właśnie wprowadzili postać dobrego Niemca – pastora Niemeyera, który ma polskich przyjaciół i jest poszukiwany przez gestapo. Została ona jednak przez recenzentów uznana za sztuczną i niewiarygodną. Zresztą, zdaniem Zwierzchowskiego, pastora należy traktować jako antyfaszystę, a nie Niemca. W jakimś sensie – podkreśla historyk filmu – Niemeyer „wypiera się przynależności do narodu niemieckiego”. Przypomnieć w tym miejscu wypada, że w polskiej kulturze dla rozważań na temat dobrego Niemca i oceny zachowania się człowieka, chcącego uchodzić za przyzwoitego w zbrodniczym systemie totalitarnym, punktem odniesienia przez długie lata był dramat Leona Kruczkowskiego *Niemcy*. ▶



Fot. FilMOTEKA Narodowa

► Uczucie nastoletniej Niemki (w tej roli Evelyn Opoczyński) i młodego Polaka (Jerzy Matalowski) nie przetrwało próby wojny

Wydaje się, że Aleksander Ścibor-Rylski swoim dziełem w pełni świadomie wpisywał się w tę dyskusję. Co więcej, w czasie owego posiedzenia Komisji Kolaudacyjnej dawał do zrozumienia, że film jest polską odpowiedzią na zachodnie tezy związane z wojną i jej poszczególnymi wydarzeniami. Miał być polską wersją bydgoskiej tragedii z września 1939 roku, przy czym reżyser stwierdził, że nie miał zamiaru robić filmu o martyrologii Bydgoszczy, i dodał: „wydawało mi się, że już dosyć mieliśmy filmów o martyrologii, o polskim heroizmie, o makabrach związanych z cierpieniami Polaków, a chciałem zrobić film o walce, a nie o męczeństwie. Chciałem pokazać ludzi, którzy w ciężkich warunkach, nie będąc żołnierzami, potrafią operować bronią, potrafią wziąć udział w obronie swego miasta”. Przy innej okazji Ścibor-Rylski z naciskiem podkreślał: „odpowiedzieliśmy tym filmem na zalew kłamstw, produkowanych od trzydziestu lat przez wroga nam ośrodki propagandy niemieckiej – najpierw hitlerowskiej, potem rewizjonistycznej, dziś otwarcie neonazistowskiej”.

Gomułkowska wizja

Nie od rzeczy będzie jednak przypomnienie, że niemieckiej propagandzie przeciwstawiano się równie ułomną propagandą polską. Film rozpoczyna głos narratora informujący widzów, że w toku dwudniowych walk „Niemcy stracili stu ludzi”. Trudno orzec, czy miała to być tylko liczba poległych w walkach, czy obejmować wszystkie niemieckie straty – wraz z tymi,

których rozstrzelano nieco później. Dalej narrator informuje (a raczej dezinformuje): „Miasto za swój bohaterski zryw zapłaciło 36 tys. ofiar zamordowanych przez okupanta. Tragiczne wydarzenia bydgoskiego września posłużyły propagandzie hitlerowskiej do stworzenia mitu »krwawej niedzieli«. Mitu rzekomej rzezi, jaką Polacy mieli urządzić spokojnym bydgoskim Niemcom. Ten mit jest w Zachodnich Niemczech żywy do dziś. Zobaczmy więc, jak to było naprawdę”. Jednak dążeniu do prawdy nie służyła przywołana w czołówce filmu liczba 36 tys. „ofiar zamordowanych przez okupanta”. Trudno powiedzieć, co ta liczba faktycznie miała oznaczać: czy liczbę Polaków zamordowanych przez Niemców w Bydgoszczy w odwecie za „krwawą niedzielę”? W tym wypadku byłaby ona wielokrotnie zawyżona. Czy może ogół polskich ofiar niemieckich nazistów we wrześniu 1939 roku? Z kolei w tej sytuacji byłaby ona wielokrotnie zaniżona. Nie można także wykluczyć, że chodziło o ogólne straty wśród bydgoszczan poniesione w czasie całej II wojny światowej.

Niezależnie od tego typu wątpliwości, wypada stwierdzić, że z pewnością film *Sąsiedzi* znakomicie wpisywał się w założenia ówczesnej polskiej propagandy, a zarazem wychodził naprzeciw oczekiwaniom skupionych wokół gen. Mieczysława Moczara „partyzantów”. Piotr Zwierzchowski podkreślał jednak, że niezależnie od swojego propagandowego charakteru „film ten już podczas realizacji stał się dla bydgoszczan, zwłaszcza tych, którzy dobrze pamiętali wydarzenia z czasów okupacji, prawdziwym wydarzeniem, na które reagowali bardzo emocjonalnie. Potwierdzała to później wysoka frekwencja w kinach, jak również wypowiedzi odnotowane przez miejscową prasę”.

Można powiedzieć, że to dzieło jest świadectwem swoich czasów. Z jednej strony przedstawia gomułkowską wizję relacji polsko-niemieckich z okresu II wojny światowej, ale zarazem stanowi peerelowskie propagandowe wyobrażenie Niemców z lat sześćdziesiątych: tych dobrych z NRD oraz tych złych z Republiki Federalnej Niemiec. Równocześnie w wymiarze wewnątrzpolskim film ma zgodną z ówczesnymi trendami, silną wymowę ideologiczną i polityczną, zawierającą się w formule zaczerpniętej z wiersza Władysława Broniewskiego: „są w Ojczyźnie rachunki krzywd./ obca dłoń ich też nie przekreśli”.

Widzowie są więc świadkami sceny, w której kolejarz komunisty Marczewski – w obliczu niemieckiego zagrożenia – otrzymuje od przodownika policji Rubacha karabin, aby z bronią w rękę wziąć udział w walce z niemiecką piątą kolumną na ulicach Bydgoszczy. Scena ta ma jednoznaczną wymowę. W obliczu zagrożenia państwowego bytu Polski nie ma takich różnic, które nie pozwoliłyby Polakom solidarnie występować przeciwko najeźdźcy. I takie właśnie przesłanie było przekazywane ówczesnym widzom, wypełniającym tłumnie sale kinowe. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. książek *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli kryzysy w PRL (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

Karabin samopowtarzalny wz. 38M

Michał Mackiewicz

Pomysł na karabin samopowtarzalny, stanowiący uzbrojenie pojedynczego strzelca, narodził się w końcu XIX wieku. W ciągu kilkudziesięciu następných lat powstały niezliczone projekty, z których tylko nieliczne okazały się w pełni udane. Prace nad bronią tego rodzaju podjęto także w Polsce, a ich efektem był karabin inż. Józefa Maroszka.

W marcu 1934 roku Instytut Badań Materiałów Uzbrojenia ogłosił połączony konkurs na projekt karabinu samopowtarzalnego (automatycznego) i ręcznego granatu przeciwpancernego. W przypadku tego pierwszego jednym z podstawowych warunków było dostosowanie broni do standardowego naboju mauserowskiego 7,9 x 57 mm; jej masa nie powinna przekraczać 4,5 kg (a więc odpowiadać masie karabinu powtarzalnego wraz z amunicją), długość zaś lufy miała być taka jak w karabinku (min. 600 mm). Pojemność magazynka określono na dziesięć nabojów. Zwracano uwagę na łatwość obsługi, niewielką liczbę części oraz prostotę budowy. Jedynie zasada działania nie została objęta żadnymi wymogami. Do konkursu zgłoszono dziewięć projektów karabinów, z których trzy uznano za perspektywiczne. Na posiedzeniu, które odbyło się 8 i 9 stycznia 1935 roku, komisja pod przewodnictwem ppłk. dypl. inż. Czesława Kunerta przyznała nagrody inżynierom: Stanisławowi Stefańskiemu (projekt o nazwie „SKS”), Edwardowi Sztekemu („ES”) i Józefowi Maroszkowi („Turnieja”).

Wobec przedłużających się prac nad karabinami Stefańskiego i Sztekego, w 1936

► Karabin samopowtarzalny wz. 38M

Fot. ze zbiorów MWMP

roku postanowiono skoncentrować się na broni Maroszka. Pozostając przy ogólnym układzie „Turnieja”, czyli odprowadzaniu gazów prochowych z lufy do znajdującej się pod nią rury gazowej, inż. Maroszek, uznany już wówczas konstruktor broni (rok wcześniej wprowadzono do uzbrojenia karabin przeciwpancerny jego pomysłu), zdecydował się na zmiany w obrębie zamka i sposobu ryglowania (niestety, szczegóły konkursowego projektu są jak dotąd nieznane). W połowie roku w warszawskiej Zbrojowni nr 2 powstał prototyp karabinu. Ryglowanie odbywało się przez przekoszenie zamka w płaszczyźnie pionowej, przy czym rolę opory ryglowej spełniała tylna krawędź okna wyrzutowego łusek wyciętego na górnej płaszczyźnie komory zamkowej. Po próbach w Centrum Badań Balistycznych w Zielonce stwierdzono niezawodne działanie mechanizmów i dobrą wytrzymałość części – z wyjątkiem iglicy, która łamała się już po oddaniu tysiąca strzałów. W 1937 roku w Zbrojowni nr 2 powstało pięć kolejnych, poprawionych egzemplarzy. Zastosowanie dwuczęściowej iglicy z grotem wykonanym ze struny fortepianowej wyeliminowało problem (żywoćność iglicy zwiokrotniła się); broń poddano wszechstronnym próbom, a podczas kolejnego pokazu w Zielonce, przeprowadzonego m.in. w obecności gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przewodniczącego Komisji ds. Uzbrojenia i Sprzętu, zyskała ona zgola entuzjastyczne opinie. ►



► Sygnatury na komorze zamkowej – nazwa wytwórni oraz rok produkcji

Fot. ze zbiorów MWMP

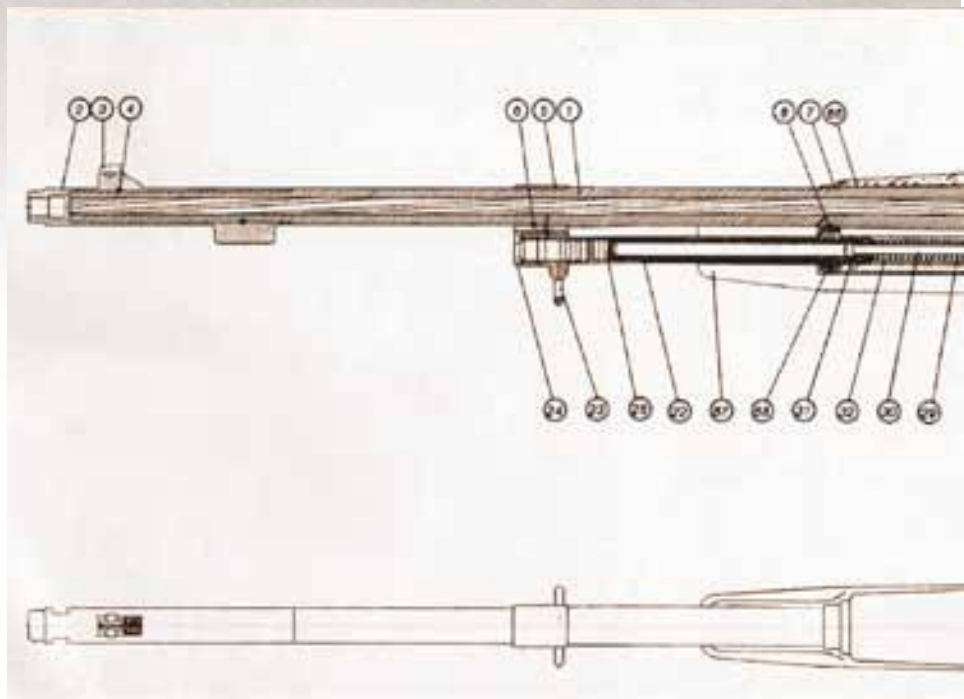
Seria informacyjna

Wpłynęło to na podjęcie decyzji o uruchomieniu produkcji seryjnej, obwarowanej jednakże dodatkowymi próbami poligonowymi, które dowiodłyby ostatecznie sprawnego działania broni w warunkach zbliżonych do bojowych. W tym celu należało przygotować serię informacyjną, aby rozesłać ją do wytypowanych jednostek. W maju



Fot. ze zbiorów autora

► Strona tytułowa dokumentacji technicznej karabinu konstrukcji inż. Józefa Maroszka

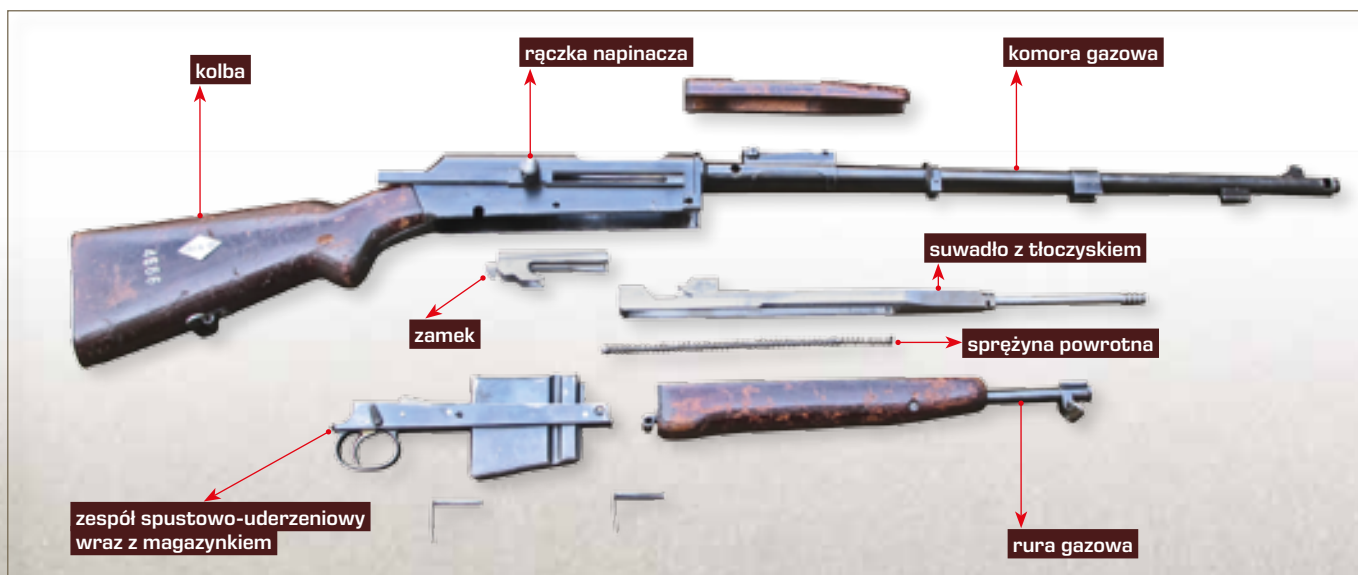


► Przekrój karabinu samopowtarzalnego wz. 38M

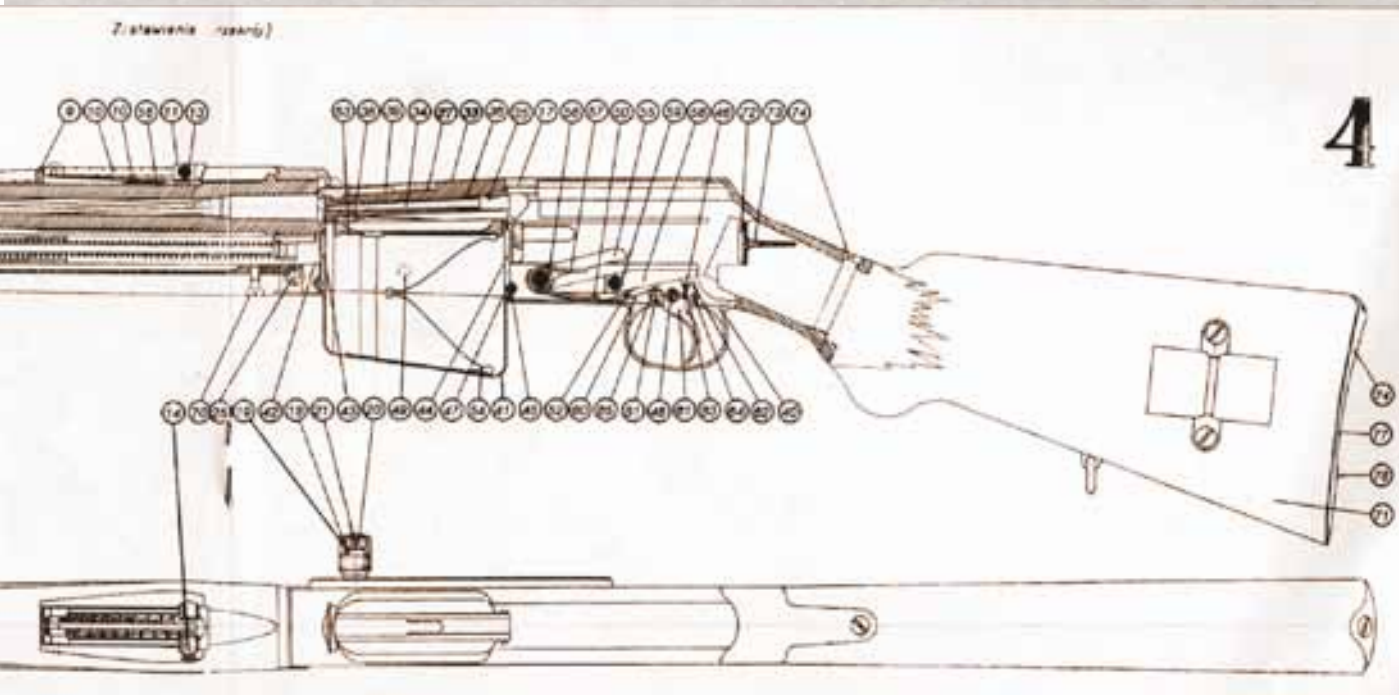
1938 roku w Centralnym Laboratorium Państwowych Wytwórni Uzbrojenia zamówiono dokumentację wykonawczą. Do prób wojskowych zamierzano przygotować 72 egzemplarze karabinu Maroszka, jednakże wobec braku mocy przerobowych w Fabryce Broni i Fabryce Karabinów, ostatecznie w lipcu 1938 roku zamówienie złożono w Zbrojowni nr 2. Opiewało ono na

55 egzemplarzy, przy czym lufy miała dostarczyć Fabryka Karabinów. Termin dostawy został ustalony na 1 stycznia 1939 roku.

Należy zakładać, że zamówienie zostało w całości zrealizowane i wyprodukowane egzemplarze rozesłano do jednostek i ośrodków doświadczalnych w celu potwierdzenia ich bojowej wartości bądź też wykazania zauważonych niedostat-



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów MWMP

ków. Identycznie przebiegała procedura choćby w przypadku visa – w lutym 1932 roku zapadła decyzja o przyjęciu go do uzbrojenia, ale jednocześnie zlecono wykonanie serii informacyjnej, którą miano przetestować w wytypowanych oddziałach. Dopiero potem, po naniesieniu licznych poprawek, broń oficjalnie przyjęto do uzbrojenia jako pistolet VIS wz. 35 (z 1935 roku), rozpoczynając seryjną produkcję w roku 1936.

W przypadku karabinu samopowtarzalnego wz. 38M nie wiemy, czy zdążył przejść cały cykl prób poligonowych i czy zostały na ich podstawie sformułowane jakiegokolwiek wnioski. Ponieważ produkcja seryjna nie została uruchomiona (co możemy uznać niemal za pewnik), skłaniamy się ku tezie, że liczba wyprodukowanych karabi-

nów sięgnęła 55 sztuk, o czym świadczą numery seryjne zachowanych egzemplarzy.

W tej sytuacji trudno pokusić się o jednoznaczną ocenę broni. Wypada podkreślić stosunkowo prostą budowę i łatwość rozkładania na podstawowe części. Pojemność magazynka jest w zupełności wystarczająca, chociaż brak możliwości jego wymiany należy zapisać na minus. Karabin jest składny i dobrze leży nawet w przypadku niewprawnego strzelca.

Pięć egzemplarzy

Obecnie znanych jest na świecie pięć oryginalnych karabinów samopowtarzalnych konstrukcji inż. Maroszka.

Dwa z nich zachowały się w USA: jeden, o numerze seryjnym 1048, w prywatnej kolekcji Boba Farisa, drugi

(nr ser. 1030) jest własnością Wacława Ustupskiego. Pozostałe trzy znajdują się w Polsce. Egzemplarz z numerem 1027 eksponowany jest w Muzeum Wojska Polskiego – trafił do zbiorów w 1989 roku z Centralnego Muzeum Sił Zbrojnych ZSRR. Niestety, brakuje mu donośnika i sprężyny magazynka, a drewniana kolba wydaje się nieoryginalna (brakuje numeru seryjnego broni, trzewik kolby zaś pochodzi z niemieckiego Mausera), brak jednak pewności co do tego, kto i kiedy ją dorobił. Drugi (nr ser. 1019), należący do niedawna do amerykańskiego kolekcjonera Krzysztofa Gąsiora, znalazł się w kraju w 2013 roku i zasilił zbiory Muzeum Historii Polski (do czasu wybudowania siedziby dla tej placówki, broń będzie eksponowana w Muzeum Powstania Warszawskiego). Trzeci z kolei, o numerze seryjnym 1014, został zakupiony w 2014 roku w Niemczech przez prywatnego kolekcjonera. 🇺🇸

Dane taktyczno-techniczne kb sp wz. 38M

kaliber	7,92 mm
nabój	7,92 x 57 mm
zasada działania	odprowadzanie gazów prochowych
długość	1140 mm
długość lufy	625 mm
masa broni bez amunicji	4,5 kg
pojemność magazynka	10 nabojów

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orły Legionów Polskich CZ. 2

Tomasz Zawistowski

► Orzeł nad wejściem do budynku komendy III Brygady LP w Nowych Kuklach, 1916 rok



Fot. ze zbiorów autora

Za datę powstania Legionów Polskich przyjmuje się 16 sierpnia 1914 roku. Niemniej władze austriackie zatwierdziły ich utworzenie dopiero 27 sierpnia rozkazem wodza naczelnego, arcyksięcia Fryderyka, wprowadzającym jednocześnie jako ubiór „siwy mundur w kroju i formie, jaki noszą polskie związki strzeleckie”.

Legiony szybko się rozrosły, a między poszczególnymi oddziałami pojawiło się wiele różnic w umundurowaniu, szczególnie w zakresie nakryć głowy i oznak stopni. Podobnie zresztą występowały różnice w typach używanych orłów – żołnierze I Brygady preferowali orły z literą S na tarczce wewnętrznej i bez koron, w II Brygadzie noszono orły z literą L, a pojawienie się z czasem korony na głowie orła przyjmowano zazwyczaj bez zastrzeżeń. O animozjach między brygadami wspominał Adolf Kotarba w swoim dzienniku pod datą 23 maja 1915 roku:

► Orzeł legionowy wyprodukowany w Krakowie w roku 1914

„W dalszym ciągu strzelcy nasi zowają się po staremu »strzelcami«. Pułki nazywają się pułkami strzeleckimi. Słowa »Legiony« wcale się nie słyszy, a jeśli ktoś tę nazwę wspomni, to chyba przekąsem. Za »Legiony« uważamy II Brygadę; u nas strzelcy obrażają się, jeśli ktoś ich tą nazwą poczęstuje, i żywiołowo nie lubią być nazywani »legionistami«”.

Rzecz jasna, były to ogólne kierunki, które można nazwać swoistym fa-

sonem, a nie sztywno ustalone zasady niedopuszczające wyjątków. Ponadto wielu żołnierzy zamiast lub obok orłów używało swoich pamiątkowych emblematów z lat przedwojennych; taka na przykład oznaka Polskich Drużyn Strzeleckich przypięta do munduru lub elementu oporządzenia w kolejnym roku wojny nadawała jej właścicielowi zasłużony status weterana o konspiracyjnym jeszcze rodowodzie.



Fot. ze zbiorów autora

Prawo do legalnego noszenia orłów na czapkach w Legionach od początku wojny było sytuacją wyjątkową. Polskie oddziały formowane i walczące w tym okresie u boku Francji czy Rosji możliwości takiej – mimo czynionych w tym kierunku starań – nie miały. Żołnierz 4. Pułku Piechoty LP, Stanisław Mirek, który w roku 1915 dostał się do rosyjskiej niewoli, tak wspominał spotkanie z rodakami: „odnaleźli nas żołnierze z zorganizowanego w Rosji Legionu Polskiego. Chcieli się od nas dużo dowiedzieć. Pytali o Warszawę, o stosunki panujące po drugiej stronie frontu. Odpisywali nasze legionowe piosenki. Prosilili o podarowanie im na pamiątkę orzełków”.

Co prawda długo trwały i głośnym echem odbiły się kolejne konflikty o symbolikę polskich oddziałów: o czarno-żółte opaski naramienne, o oznaki stopni i inne, wszystkie związane z traktowaniem Legionów przez naczelne dowództwo austriackie jako części składowej Obrony Krajowej (*Landwehr*), niemniej zwierzchność austriacka nie kwestionowała prawa legionistów do noszenia orłów na czapkach. Ciekawostką związaną z pierwszymi dniami działań polskich oddziałów na froncie jest meldunek Kazimierza Sosnkowskiego dla szefa sztabu austriackiej 7. dywizji kawalerii. Sosnkowski, wysławszy patrol w cywilnych ubraniach w okolicy Przybysławic, informuje w swoim meldunku: „Ludzie wchodzący w skład patrolu w razie zetknięcia z c.k. wojskami austriackimi legitymować się będą czapkami strzeleckimi z orzełkiem, które jednakże mieć będą nie na głowie, lecz w kieszeni. Uprzejmie proszę zawiadomić o powyższym odnośne czynniki”.

Ewolucji podlegał sposób umieszczania oznaki na czapkach. O ile przed wojną zarówno strzelcy, jak i drużyniacy przypinali swoje emblematy centralnie w połowie wysokości otoku, o tyle z czasem punkt umieszczania orłów został podniesiony. W latach wojny najczęściej lokowano orły na maciejówkach w taki sposób, że górny szew otoku pokrywał się z górną krawędzią tarczy amazonek. Wprowadzenie kokard ofi-

Fot. ze zbiorów autora



► Podporucznik Bolesław Maria Krzyżanowski „Czarny” z 5. Pułku Piechoty LP; pod orłem z ażurowo wyciętym polem tarczy amazonek widoczna jest nieregularna podkładka; zdjęcie wykonane przed czerwcem 1916 roku; plk dypl. Krzyżanowski dowodził w 1939 roku 24. Dywizją Piechoty

cerskich wymusiło dalsze podwyższenie pozycji orła, całkowicie ponad otok czapek oficerów. Pozostałe szarże nosiły orła na oba sposoby – połowicznie na otoku bądź całkowicie poza nim.

Formy czapek żołnierskich w Legionach różniły się zasadniczo. Strzelcy z „obywatelskiej” I Brygady pozostali w zasadzie przy maciejówkach związkowych przedwojennego kroju i w pierw-

szych latach wojny wyróżniali się jako jedyny oddział wojskowy o takim kroju czapki. Sierżant Karol Krzewski,

wracający do swego oddziału jesienią 1915 roku, wspominał: „Że nie był to transport 1-ej Brygady, poznałem od razu z tego, że żołnierze mieli na swoich legionowych łbach – nie maciejówki (o! alt-polnische Kopfbedeckung!), lecz czapki rogate, a oficerowie – odznaki austriackie na kołnierzach”. W marcu 1916 roku, korzystając z trzymiesięcznego wypoczynku na tyłach, dowództwo I Brygady wydało rozkaz o ujednoczeniu mundurów oficerskich. Nakryciem głowy przewidzianym w rozkazie była „czapka maciejówka koloru munduru z żółtym daszkiem i paskiem, bez wypustek, orzełek bez żadnej podkładki”.

Strzelecki fason

Umieszczanie wspomnianych w cytowanym rozkazie podkładek pod orłami to zwyczaj, który rozpowszechnił się dość szeroko, przede wszystkim w I Brygadzie. Jego źródłem mógł być sposób noszenia orłów na pierwszego wzoru czapkach kawalerii I Brygady. Mimo prób wyeliminowania tej mody przypadki używania podkładek pod orłami spotkać można było jeszcze w 1917 roku.

Kolejnym zwyczajem popularnym w I Brygadzie było noszenie na mundurach okrągłych znaczków z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego. Przyczepiano ►

Fot. ze zbiorów autora



► Jeden z widocznych na fotografii legionistów nosi oznakę PDS przypiętą do czapki jeszcze wiosną 1916 roku; zdjęcie podpisane „Kolega Dziadek i Steblicki / Wołczek / 24 IV 1916”

je poniżej orłów czapkowych bądź z boku czapki, do patek kołnierzy lub na piersiach bluz. Karol Krzewski wspominał: „byłem sierżantem liniowym 1 Brygady Józefa Piłsudskiego z trzema czerwonymi paskami na kołnierzu, z podobizną Komendanta (sprzedawaną przez N.K.N.!) na maciejówce”. lekarz I Batalionu, a późniejszy premier, Felicjan Sławoj Składkowski, opisując zwłoki poległego w kwietniu 1915 roku żołnierza, zanotował: „Po lewej stronie kołnierza, na czerwonym pasku, oznacze szarzy, miniatura Komendanta, jaką wszyscy nosimy”.

Maciejówki zostały przyjęte do użytku przez pozostałe oddziały Legionów dopiero jesienią 1916 roku. Do tego czasu noszono czapki rogate, zwane przez ich przeciwników „habsbursko-jagiellońskimi kompromisówkami”. Józef Sitko, pełniący służbę w batalionie uzupełniającym 1. pp w Choczni, opisał moment wymiany mundurów po przemianowaniu oddziału na II Baon 3. pp, co miało miejsce 30 września 1914 roku: „Wyfasowaliśmy austriackie mundury polowe oraz rogatywki z orłem polskim nieco odmiennym od orła noszonego w Strzelcu. W związku z tym zniesiono w batalionie mundury strzeleckie i maciejówki”.

Kapelusze zamiast maciejówek
Interesujące wspomnienie pozostawił po sobie płk Jerzy Krubski, który jako skaut w lipcu roku 1914 prowadził wycieczkę przez ziemię kielecką na Pieskową Skałę. Wybuch wojny zastał skautów w Ojcowie, wobec czego postanowili powrócić



Fot. ze zbiorów autora

► Oznaka PDS noszona na mundurze obok znaczka z wizerunkiem Komendanta

do Krakowa i zgłosić się do powstających oddziałów. Maszerującą na północ Kompanię Kadrową napotkali w Miechowie, gdzie młodych ochotników przyjęto do szeregów: „Zostaliśmy skierowani do budynku monopolu, gdzie kwaterowała Kadrowka. Tam otrzymaliśmy rosyjskie jednostrzałowe karabiny »berdanki« i naboje oraz wysłuchaliśmy w dużym skupieniu pierwszej w naszym życiu instrukcji, jak się należy z karabinem obchodzić i jak go używać. Wydano nam również orzelki strzeleckie, które z dumą i wzruszeniem umieściliśmy na naszych skautowych kapeluszach, zachowaliśmy bowiem w całości nasze mundury skautowe”.

Pół żartem, pół serio

Prasa polska z tego okresu bardziej lub mniej skutecznie przemyciała motywy patriotyczne,



jednak skutkiem tego dzisiaj trudno niekiedy odnaleźć fakty ukryte wśród wszechobecnej poetyki państwowotwórczej. Patriotyzm jednak sobie, a życie żołnierskie sobie, wobec czego nie mogło zabraknąć i w historii polskiego orła elementów humorystycznych. Na przykład, jak wspominał płk Jan Dunin-Brzeziński: „porucznik Skarga był typem szlachcica sprzed 100 lat, świetnie konno jeździł, strzelał tak, że sobie z por. Pytlewskim z 1. pułku ułanów w podochoconym stanie orzelki na czapkach wzajemnie z rewolwerów zestrzeliwali”.

A że z różnych stron – tak obcych, jak i sprzymierzonych – padały na temat orła uwagi niekiedy krytyczne, niekiedy zaś złośliwe, docenić warto starą anegdotę przytoczoną przez gen. Mariana Kukieła: „Jest to tradycyjny orzeł wojsk polskich z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Ten sam na czapkach wojsk Księstwa, Królestwa i naszych uczył się szponami »tarczy Amazonek«, przypominającej ryngraf rycerski i rozpościera skrzydła do lotu. Na temat tej jego pozycji robił niesmaczne dowcipy już Wielki Książę Konstanty, podejrzewając naszego orła o czynności nieprzyzwoite, na co miał mu odrzec Chłopicki: – Tak, Wasza Cesarzewiczowska Mości, on to robił na prawie wszystkie stolice Europy, i na Moskwę także”.

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Trzecia część tekstu ukaże się w listopadowym numerze „Pamięci.pl”.

CENZUROWANO

Cwierć wieku temu, po wyborach czerwcowych, zakończyła się w historii Polski pewna epoka. Nie tylko w wymiarze polityczno-ustrojowym czy społecznym. W wyniku przemian, które wtedy zaszły, kilka miesięcy później, w kwietniu 1990 roku – działalność zakończył Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Wreszcie w oficjalnym obiegu mogły zacząć się ukazywać książki opisujące prawdę o Katyniu, łagrach, przejściu władzy przez komunistów, działalności bezpieki... Historycy uzyskali nieskrępowany dostęp do materiałów źródłowych dotyczących PZPR i jej przybudówek, aparatu represji. Zintensyfikowały się kontakty międzynarodowe. Utworzono nowe instytucje naukowe, muzealne, edukacyjne, które upowszechniają wiedzę i wpływają na kierunki badań naukowych. Na rynku ukazuje się kilkadziesiąt czasopism, a każdego roku pojawiają się tysiące książek historycznych. Często publikacje te wywołują spory, polemiki, a nawet konflikty, które wykraczają daleko poza wewnętrzny obieg środowiska naukowego.

W ćwierćwiecze wolnej Polski postanowiliśmy zapytać grono wybitnych badaczy, która z książek historycznych ostatnich 25 lat stała się – według ich subiektywnego zdania – publikacją przełomową. Która z nich zmieniła spojrzenie na historię, wniosła nowe treści i interpretacje, zmieniła warsztat współczesnych historyków, stała się wzorcem nowoczesnej książki historycznej? Która przekroczyła ramy dyskursu naukowego i wywarła wpływ na polskie społeczeństwo i jego edukację? A może ukazały się książki, które nie przebiły się do szerszego grona czytelników, a ich wartość jest znaczna? Który tytuł – i jego autora – warto w tym rocznicowym czasie przypomnieć i wyróżnić? Oddajmy głos ekspertom i praktykom.

Wojciech Polak

profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Nie wydaje mi się, żeby w ciągu ostatnich 25 lat pojawiła się jedna przełomowa książka historyczna. Książka, która zmieniłaby nasze spojrzenie na historię, stała się idealną syntezą jakiegoś okresu w dziejach Polski, wytyczyłaby nowe ścieżki metodologiczne dla historyków. Nie było też książki historycznej, która wpłynęłaby istotnie na myślenie społeczne. To już chyba nie są czasy, w których historiografowie sprawują „rząd dusz”. Nastąpił jednak przełom w naszym dziejopisarstwie. Wynikł on ze zniesienia cenzury i otwarcia nowych zasobów archiwalnych oraz z powstania nowych instytucji badawczych (przede wszystkim Instytutu Pamięci Narodowej). Przełom ten dotyczy przede wszystkim historii najnowszej. Jego przejawem

jest ogromna liczba znakomitych książek historycznych, które zaczęły się ukazywać, zwłaszcza od początku bieżącego tysiąclecia. Dotyczą one rozmaitych zagadnień. Do ważnych książek zaliczam np. pracę Antoniego Dudka *Reglamentowana rewolucja* o rozkładzie systemu komunistycznego w Polsce pod koniec lat osiemdziesiątych, książkę Jerzego Eislera *Grudzień 1970* o rewolcie robotniczej na Wybrzeżu, książkę *SB a Lech Wałęsa* Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka, obszerne opracowanie o Konfederacji Polski Niepodległej w Krakowie w latach 1981–1982 *Gaz na ulicach* pióra Mirosława Lewandowskiego i Macieja Gawlikowskiego, książkę Ryszarda Terleckiego o polskiej bezpiece *Miecz i tarcza komunizmu*, pracę *Niezależny ruch młodzieżowy w Gdańsku w latach 1981–1989* ks. Jarosława Wąsowicza, pomnikową pozycję *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce* ▶

PRECZ Z CENZURĄ

(1944–1989) pióra Jana Żaryna, biografię *Kardynał Wyszyński* Ewy Czackowskiej, pracę *Kruczoizacja. Polityka władz partyjno-państwowych wobec Kościoła katolickiego w latach 1945–1956 w województwie śląskim / katowickim* Adama Dziuroka, biografię *Józef Piłsudski* Włodzimierza Sulei. Wymienić należałoby też wspaniałe dzieła Instytutu Pamięci Narodowej: *Atlas Polskiego Podziemia Niepodległościowego (1944–1956)* pod red. Rafała Wnuka, Sławomira Poleszaka, Agnieszki Jaczyńskiej i Magdaleny Śladeckiej, *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956* pod red. Tomasza Łabuszewskiego i wiele innych pozycji.

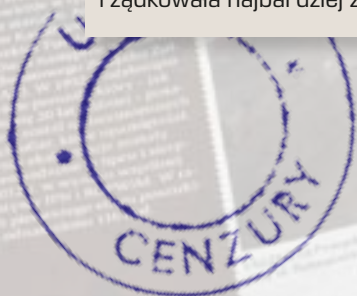
Za pomnikowe uważam też dzieło *Solidarność. XX lat historii* pod red. Mirosławy Łątkowskiej, wydane przez Volumen przy wielkim nakładzie pracy znanego opozycjonisty, wydawcy i społecznika Adama Borowskiego. Do książki tej, opublikowanej w 2000 roku, teksty napisali Jakub Karpiński, Antoni Dudek i Henryk Głębocki, obszerne kalendarium przygotowała zaś ekipa kwartalnika „Karta”. Książka ta stała się wielką pomocą, swoistą „latarnią morską” dla rozlicznych historyków, którzy na przełomie stuleci (i tysiącleci) rozpoczynali swoją przygodę z historią najnowszą, podejmując nierzadko pionierskie zagadnienia. Jej rola powinna być zawsze doceniana! 📖

Jan Żaryn

profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, redaktor naczelny miesięcznika „W Sieci Historii”

Odpowiedź na pytanie o książkę historyczną dwudziestopięciolecia nie należy do łatwych dla badacza dziejów najnowszych, który przeczytał ich tysiące (kto to zliczy?). Od wczesnej młodości miałem intelektualny kontakt z biblioteką domową, w której znajdowały się prace wydane od XVIII do XX wieku, także po wojnie na emigracji. Pierwszą książką, która bardzo mocno wpłynęła na mój stan wiedzy o dziejach najnowszych – a przemyśliłem ją osobiście z Francji jako uczeń liceum w połowie lat siedemdziesiątych – była *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* z przedmową gen. Władysława Andersa. Przeczytałem ją wówczas jednym tchem i zrozumiałem, że otaczająca mnie przestrzeń edukacji szkolnej nie ma mi nic do zaoferowania. Zostałem tymczasowym buntownikiem. Dla mnie była to książka najważniejsza i taką pozostała do dziś. Po 1989 roku ukazało się wiele cennych książek historycznych (niektóre po raz pierwszy legalnie), które mocno wpłynęły na stan naszej zbiorowej świadomości; były to prace m.in. Krystyny Kersten, Andrzeja Paczkowskiego czy też – może szczególnie – Wojciecha Roszkowskiego, który wcześniej, jako Andrzej Albert, napisał i wydał pierwszą syntezę dziejów Polski XX wieku z perspektywy krajowej i niepodległościowej jednocześnie. Książka ta, wydawana wielokrotnie pod różnymi tytułami, wpłynęła znacząco na stan wiedzy, zarówno uczniów, jak i ich nauczycieli. Uporządkowała najbardziej zakłamaną rewiry naszej historii.

W tej masie książek na szczególną uwagę zasługują – moim zdaniem – pozycje wydane przez IPN. Z punktu widzenia powszechności odbioru, także wartości merytorycznej, a przede wszystkim temperatury dyskusji do miana książki dwudziestopięciolecia aspiruje rzecz jasna praca Sławomira Cenckiewicz i Piotra Gontarczyka *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii* z przedmową ówczesnego prezesa IPN Janusza Kurtyki, opublikowana 23 czerwca 2008 roku. Książka ta doczekała się jeszcze przed publikacją szczególnie negatywnej oceny ze strony środowisk, które nie zamierzały nawet jej czytać i głośno to deklarowały. Z kolei pozytywnie została przyjęta przez większość autorzytetów naukowych i ludzi świadomych, że tylko prawda jest ciekawa (jak np. prof. Andrzej Nowak, prof. Andrzej Chojnowski, prof. Marek K. Kamiński i prof. Andrzej Zybortowicz – oficjalni recenzenci naukowcy tej pracy). Od miesięcy oczekiwana książka o uwikłaniu legendy Solidarności we współpracę z SB została wydana w pierwszym rzucie w bodaj ponad 40 tys. egzemplarzy, a warszawiacy ustawiali się po nią w długiej kolejce przed budynkiem IPN przy ul. Towarowej 28. W dwudziestopięciolecu III RP nie było drugiej takiej książki i miejmy nadzieję, że – z jednego punktu widzenia – nigdy nie będzie. A to dlatego, że szlaki i represje, które spadły wówczas na autorów i sam instytut, w wolnym państwie nie powinny się zdarzać. Ich celem – być może dla wielu nie do końca uświadomionym – było bowiem zastraszenie środowiska badaczy, by nie ośmielali się pisać prawdy tam, gdzie ona krzyżuje się z interesami wpływowych postaci życia publicznego. Książka Cenckiewicz i Gontarczyka pozostaje zatem także symbolem czasów, w których żyjemy. 📖



Więcej niż walka zbrojna

Tomasz Ginter

Siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego została nagłośniona na skalę niespotykaną. Wytworzyło to olbrzymie społeczne zainteresowanie tym tematem, co przekłada się na wzmożone zainteresowanie tematami „okołopowstańczymi”. A takim właśnie jest historia Polskiego Państwa Podziemnego, prezentowana na terenie całego kraju na plenerowych wystawach IPN „Polska Walcząca”.

Niekiedy można spotkać się z zarzutami „rocznicowego” traktowania historii i przypomnienia o ważnych wydarzeniach tylko przy okazji okrągłych ich rocznic. Zarzut ten, po części na pewno zasadny, nie uwzględnia jednak tego, że takie właśnie rocznice, a tak naprawdę ich obchody – nagłaśniane w wielu mediach – wprost proporcjonalnie przekładają się na większą skuteczność przekazu związanych z nimi działań edukacyjnych. Pod tym względem wystawa IPN „Polska Walcząca” trafia w dziesiątkę, ponieważ w tym roku obchodzimy nie tylko siedemdziesiątą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, lecz także siedemdziesiątą piątą rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego. To kolejna okazja, aby przypominać, że Powstanie było – użyję tu wyświechtanego porównania – czubkiem góry lodowej i kulminacją przeszło czteroletniej pracy konspiracyjnej w czasie okupacji.

Tę właśnie ukrytą część „góry lodowej” prezentuje wystawa. Została ona przygotowana według schematu sprawdzonego już przy okazji innych ekspozycji: część ogólnopolska jest uzupełniona o plansze regionalne, ukazujące szczegółowe aspekty tematu związane z danym regionem lub Kresami. Regionalne wersje wystawy zostały przygotowane przez oddziały IPN w Białymstoku, Gdańsku, Katowicach, Lublinie, Łodzi, Szczecinie, Warszawie i Zielonej Górze. We wrześniu wystawa za-



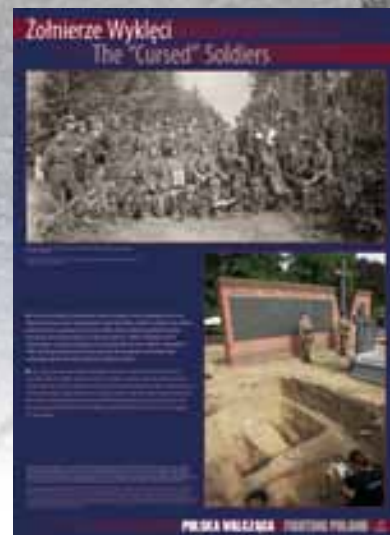
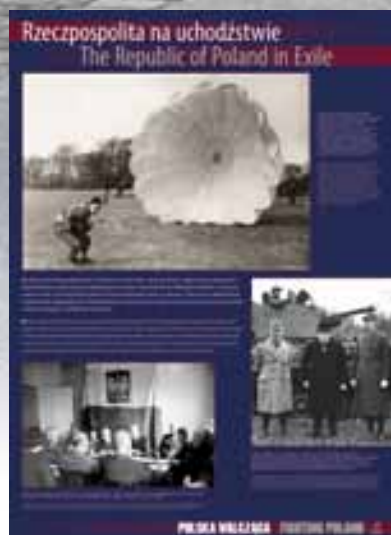
gości również w Bydgoszczy, Poznaniu i Wrocławiu.

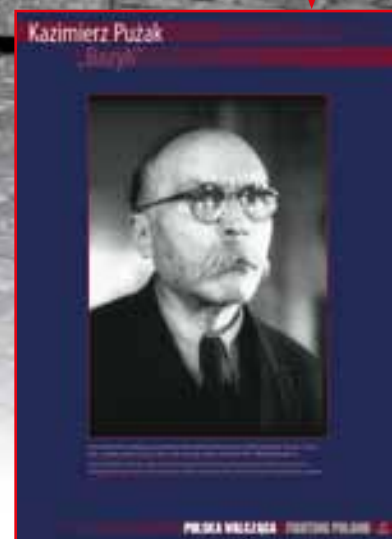
W zwięzłych tekstach towarzyszących starannie dobranym zdjęciom archiwalnym przedstawiono pełną historię Polskiego Państwa Podziemnego. Narracja rozpoczyna się od niemieckiej i sowieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 roku i, prowadząc widza przez cały okres obu okupacji, kończy opowieść planszą poświęconą Żołnierzom Wyklętym. Podkreślić tu należy chronologiczno-tematyczny sposób wykładu. Dzięki temu odbiorca, by się czegoś dowiedzieć, nie musi śledzić wystawy od początku do końca. Poza bowiem oczywistym, wspomnianym już początkiem i końcem opowieści, środek narracji składa się z paneli tematycznych, poświęconych m.in.

charakterowi okupacji niemieckiej i sowieckiej, podziemnemu szkolnictwu, walce konspiracyjnej (w tym sabotażowi) i partyzanckiej oraz rządowi polskiemu na uchodźstwie. Plansze te można już oglądać w dowolnej kolejności, mało tego, można nawet obejrzeć tylko kilka z nich, aby wystawę opuścić z solidnymi informacjami na temat konkretnych tematów, będących składowymi polskiej konspiracji. Dzięki zaś podziałowi tematycznemu odbiorca ma szansę wyjść z wystawy ze słusznym wrażeniem złożoności i kompleksowości prezentowanego zjawiska, które nie sprowadzało się tylko do walki zbrojnej – była ona bowiem zaledwie jednym z równorzędnych aspektów ruchu oporu. To bardzo ważna kwestia, ponieważ w powszechnej świadomości konspiratorzy to głównie żołnierze walczący z bronią w ręku. Wystawa natomiast prezentuje Polskie Państwo Podziemne jako w pełni zorganizowany byt państwowy, ze wszystkimi atrybutami państwa. Nigdy za wiele przypomina, że to zjawisko nie miało odpowiednika w całej okupowanej Europie.

Na rewersach paneli tematycznych przedstawiono sylwetki członków ruchu oporu, od kadry kierowniczej poczynając (m.in. wybrani Delegaci Rządu na Kraj), na żołnierzach skończywszy (np. st. strz. Stefania Firkowska). To ważny zabieg, pokazujący, że za fenomenem podziemia stali konkretni ludzie, którzy niejednokrotnie swoją walkę przypłacili życiem.

Kolejną zaletą tej wystawy jest jej dwujęzyczność: wszystkie teksty są w językach polskim i angielskim. To zaś, ponieważ ekspozycja jest prezentowana w miejscach atrakcyjnych turystycznie (dziedziniec Zamku Królewskiego w Warszawie czy Zamek w Lublinie), powinno się przełożyć na wzrost wiedzy o polskiej historii również wśród obcokrajowców. ➤





dr Tomasz Ginter – historyk, grafik, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współautor planszowych gier edukacyjnych 111 i 303

Wystawy w wersjach regionalnych można zamówić w Oddziałach Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku, Gdańsku, Katowicach, Lublinie, Łodzi, Szczecinie i Zielonej Górze, wystawą warszawską zawiaduje Centrala BEP (telefony dostępne na stronie internetowej IPN).

Oddajmy hołd bohaterom

Olga Tumińska

Mija 75 lat od powstania Polskiego Państwa Podziemnego. Z tej okazji Instytut Pamięci Narodowej przygotował liczne inicjatywy, w tym akcję społeczną „My z niego wszyscy...”.

Rok 2014 obfituje w rocznice historyczne. Jedną z dat, które wspominamy, jest 27 września 1939 roku, moment powołania w broniącej się jeszcze Warszawie Służby Zwycięstwu Polski – organizacji konspiracyjnej podległej rządowi RP na uchodźstwie, dowodzonej początkowo przez gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, przemianowanej w tym samym roku na Związek Walki Zbrojnej, a w 1942 roku – na Armię Krajową.

Organizacja ta była początkiem Polskiego Państwa Podziemnego, struktury, która nie miała swojego odpowiednika w żadnym państwie okupowanej Europy. Mimo że Polska kolejny raz zniknęła z map, funkcjonowała w podziemiu z całą administracją, zarówno wojskową, jak i cywilną. Ideały, które przyświecały twórcom, a potem obywatelom Polskiego Państwa Podziemnego, przyczyniły się do przetrwania nie tylko wojny, lecz także czasów komunistycznego zniewolenia. Ważne jest, by współcześni mieli świadomość, że wartości, którym ci ludzie hołowali, nie przeminęły, lecz obowiązują w dzisiejszym świecie.

W ramach przygotowywanych obchodów IPN organizuje akcję społeczną pod hasłem „My z niego wszyscy...” i zachęca Polaków do złożenia hołdu żołnierzom Polskiego Państwa Podziemnego. Jak? Chociażby za pomocą aplikacji na stronie pamiec.pl/ppp, która pozwoli Państwu na wysłanie kartki urodzinowej z życzeniami dla bohaterów Polskiego Państwa Podziemnego. Zachęcamy więc do złożenia życzeń kombatantom w dniu ich święta. Pokażmy, że o nich pamiętamy i są dla nas ważni.

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej apelował także do parlamentarzystów, władz samorządowych i kościelnych oraz innych instytucji i organizacji o zorganizowanie 27 września – pod wspól-

nym hasłem „My z niego wszyscy...” – lokalnych obchodów rocznicy utworzenia Polskiego Państwa Podziemnego. O wywieśnięcie flag na budynkach, upowszechnianie kotwicy Polski Walczącej w mediach, ale przede wszystkim oddanie czci żyjącym kombatantom i zapalenie zniczy na grobach poległych, pomordowanych i zmarłych. Na stronie pamiec.pl/ppp można znaleźć – oprócz informacji o Polskim Państwie Podziemnym – także pomysły na to, jak zorganizować lub włączyć się w uroczystości. Zamieściliśmy tam – do samodzielnego wydrukowania – wystawę o przywódcach Polskiego Państwa Podziemnego, a także pocztówki i plakaty przedstawiające ich sylwetki. Dyrektorzy i nauczyciele szkół znajdują tam przykładowy scenariusz uroczystości szkolnych wraz z materiałami pomocniczymi. Zachęcamy w nim do zaproszenia do szkół żołnierzy Armii Krajowej i zorganizowania ich spotkania z młodzieżą. Dla osób, które chcą wziąć udział w lokalnych obchodach, zamieszczamy informacje nadsyłane do nas z całej Polski na adres ppp@ipn.gov.pl na temat tego, co i gdzie będzie się działo. Już teraz w wielu miejscach w kraju pokazywana jest wystawa „Polska Walcząca”, której wernisaż odbył się 29 lipca tego roku w Warszawie (więcej o wystawie na s. 61).

Na stronie internetowej znajdują Państwo także relacje świadków dotyczące różnych aspektów funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego, a także wypowiedzi znanych historyków. Zachęcamy do przeczytania zamieszczonych na stronie pamiec.pl/ppp artykułów i dodatków prasowych, dotyczących organizacji konspiracyjnych oraz do zapoznania się z przykładową bibliografią dotyczącą tematyki Polskiego Państwa Podziemnego.

16 i 17 października tego roku na Zamku Królewskim w Warszawie (w Arkadach Kubickiego) odbędzie się otwarta konferencja naukowa „Fenomen Polskiego Państwa Podziemnego”, przygotowana przez Instytut Pamięci Narodowej we współpracy z Zamkiem Królewskim. Referaty dotyczące struktur wojskowych i cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego wygłoszą znawcy tego tematu. Program konferencji jest dostępny na stronie ipn.gov.pl.

W całym kraju Oddziałowe Biura Edukacji Publicznej IPN przygotowały liczne inicjatywy związane z uroczystościami 75. rocznicy powstania Polskiego Państwa Podziemnego – wykłady, prelekcje i konkursy. Serdecznie zachęcamy do udziału w nich. Szczegółowe informacje na stronie internetowej pamiec.pl/ppp.

Pamiętajmy o tym, że są jeszcze wśród nas ci, którzy tworzyli Polskie Państwo Podziemne i wierzyli, że odrodzi się Polska wolna i niepodległa. Nadszedł czas, by im za to podziękować. Skoro „my z niego wszyscy...”, włączmy się w uroczystości związane z powstaniem Polskiego Państwa Podziemnego, oddajmy hołd bohaterom, wywieśmy 27 września biało-czerwone flagi i zapalmy znicze na grobach poległych. 🇵🇱

Olga Tumińska – naczelnik Wydziału Edukacji Historycznej w Biurze Edukacji Publicznej IPN



Historia, która wciąga

Olga Tumińska

Lekcje historii nie muszą być nudne. W ich uatrakcyjnieniu może pomóc oferta Biura Edukacji Publicznej IPN, która na początku września trafiła do ponad 22 tys. szkół w całej Polsce.

Zaczyna się kolejny rok szkolny, więc jak zawsze Biuro Edukacji Publicznej IPN rozesłało do wszystkich typów szkół swoją ofertę edukacyjną, proponując bezpłatne skorzystanie z różnorodnych form poznawania historii najnowszej. W ofercie znajdują się – oprócz tradycyjnych lekcji – propozycje projektów, konkursów i wykorzystania w edukacji planszowych gier historycznych oraz relacji świadków i historycznych spotów telewizyjnych.

Zachęcamy do poznawania historii nie tylko w sali lekcyjnej, lecz także podczas organizowanych przez IPN rajdów, przeglądów filmowych i akcji związanych z obchodami ważnych rocznic historycznych. W roku szkolnym 2014/2015 Instytut Pamięci Narodowej zaproponuje działania edukacyjne m.in. w związku z 75. rocznicą powstania Polskiego Państwa Podziemnego, 33. rocznicą wprowadzenia stanu wojennego, Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych (1 marca) oraz 75. rocznicą Zbrodni Katyńskiej i 70. rocznicą oblavy augustowskiej. Więcej informacji znajdą Państwo na stronie pamiec.pl/akcjeiobchody.

Osoby zainteresowane historią zachęcamy do korzystania z portali internetowych dotyczących wybranych wydarzeń z lat 1939–1989, zjawisk czy postaci. Można tam znaleźć nie tylko podstawowe informacje historyczne, lecz także artykuły czy eseje wybitnych specjalistów, teksty źródłowe, ikonografię, relacje świadków.

W ofercie IPN znajduje się kilkaset wystaw przybliżających zagadnienia najnowszej historii Polski. Tematyka większości z nich koncentruje się wokół zagadnień związanych z II wojną światową i późniejszym zniewoleniem komunistycznym. Wystawy są bezpłatnie udostępniane szkołom i innym placówkom w kraju oraz za granicą. Szczegóły dotyczące dostępnych ekspozycji znajdują się na stronie pamiec.pl/wystawy.

Nową propozycją dla pasjonatów historii jest kanał IPN TV, oferujący relacje z konferencji i debat historycznych, projektów edukacyjnych oraz spoty historyczne. Wszystkie te materiały mogą być wykorzystywane jako uzupełnienie działań nie tylko w szkołach, lecz także w innych placówkach.

Dla przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych nasi edukatorzy z Krakowa przygotowali cykl „Historia w kolorach”. Dzięki niemu najmłodszy mogą w atrakcyjny sposób zdobywać wiedzę o polskich symbolach narodowych: godle, hymnie i fładze. Do nauki mogą być wykorzystywane trójwymiarowa książeczka, kolorowanki i film animowany, dostęp-

ny także na naszej stronie internetowej. Dodatkowo w listopadzie pojawią się gra internetowa i animowane puzzle.

Uczniów starszych klas szkół podstawowych, gimnazjalistów i licealistów zachęcamy do wzięcia udziału w projektach i konkursach.

Najszerzy tematycznie projekt „Opowiem ci o wolnej Polsce. Spotkania ze świadkami historii”, zachęca do znalezienia w swoim środowisku osoby, która aktywnie przeciwstawiała się systemom totalitarnym w Polsce, i przeprowadzenia z nią wywiadu, a następnie opowiedzenia o swoim bohaterze społeczności lokalnej. W tym roku szkolnym zostanie uruchomiony projekt „Pamięć dla Europy”, w którym młodzież ma za zadanie odnaleźć i poznać historię lokalnych miejsc pamięci związanych z masowymi zbrodniami dokonanymi na bezbronnej ludności Polski i innych państw europejskich.

Projektem cieszącym się bardzo dużym zainteresowaniem szkół są „Lekcje z historii najnowszej” – bezpłatne, półtoragodzinne lekcje prowadzone w szkołach całej Polski przez przeszkolonych przez nas edukatorów. Dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych mamy także w ofercie zajęcia z wykorzystaniem zasobów naszego archiwum pt. „Co kryją archiwa IPN?”, odbywające się w siedzibach IPN w całej Polsce. Szczegółowe informacje dotyczące tych zajęć znajdują się na stronie www.pamiec.pl/lekcje.

Osoby lubiące rywalizację zachęcamy do udziału w konkursach. „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy” to – cieszący się niesłabnącym od czterech lat powodzeniem – konkurs dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Wymaga znajomości historii i talentu plastycznego. Polega na stworzeniu strony albumu, upamiętniającej jedną z ofiar Zbrodni Katyńskiej. Nagrodą dla zwycięzców i ich opiekunów w poprzednich edycjach były wyjazdy edukacyjne na polskie cmentarze wojenne w Katyniu, Charkowie, Bykowni, Miednoje i Monte Cassino. W związku z Rokiem Jana Karskiego proponujemy uczniom konkurs „Za dużo widziałem w czasie wojny... Jan Karski (1914–2000)”. W pierwszym etapie zadaniem młodzieży jest przygotowanie elektronicznego projektu gazetki szkolnej poświęconej Emisariuszowi. Najlepsze zakwalifikowane zespoły wezmą udział w turnieju wiedzy o życiu i działalności Jana Karskiego oraz II wojnie światowej.

W propozycjach konkursowych Biuro Edukacji Publicznej nie zapomniało o nauczycielach. W roku szkolnym 2014/2015 zostanie ogłoszony w związku 70. rocznicą oblavy augustowskiej konkurs na scenariusz zajęć na ten temat. 📖

Olga Tumińska – naczelnik Wydziału Edukacji Historycznej w Biurze Edukacji Publicznej IPN



Zachęcamy do udziału w naszych przedsięwzięciach!

Siedem dni bohaterstwa

7 dni Westerplatte przenosi nas w realia II wojny światowej i bohaterskiej walki żołnierzy polskich w obronie Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Gdańsku. Jest to pierwsza w Polsce próba oddania tych wydarzeń w formie gry planszowej.

Rozgrywka nie należy do skomplikowanych. Zadaniem graczy występujących w roli polskich oficerów jest obrona umocnień placówki przez siedem dni (tur) ciągłego ataku niemieckich jednostek. Nieprzyjaciel ma do dyspozycji cały arsenał broni, począwszy od artylerii, a kończąc na bombowcach. Atakujące jednostki niemieckie przemieszczają się po pięciu torach. Każdy z torów jest zakończony umocnieniami, przedstawionymi symbolicznie za pomocą sześciu cegieł. Zadaniem Polaków jest obrona tych umocnień. Nie jest to łatwe. Pionki mają ograniczone możliwości przemieszczania się, co zmusza do uważnego planowania ruchów. Trzeba manewrować mię-

dzy torami w taki sposób, by nie dopuścić do zniszczenia najbardziej zagrożonych umocnień. Wróg zwycięży, jeśli doprowadzi do zniszczenia murów w dwóch miejscach.

W jaki sposób można zatem obronić placówkę? Jedyne dzięki wzajemnej współpracy! *7 dni Westerplatte* jest bowiem grą zdecydowanie kooperacyjną: uczestnicy (maksymalnie cztery osoby) nie grają przeciwko sobie nawzajem, tyl-

ko przeciwko mechanizmowi gry. Polscy oficerowie mają możliwość wykonania w ciągu tury zaledwie dwóch ruchów między punktami obronnymi lub kaflami akcji oraz jednej akcji – może to być dobranie zapasów z kafli akcji lub oddanie strzału w kierunku jednostek niemieckich. Nawet przy dobrym podziale zadań między obrońców walka byłaby z góry skazana na przegraną, gdyby nie zapasy, którymi dysponuje strona polska. Znajdują się one na kaflach akcji dostępnych każdemu z polskich oficerów. Dzięki nim możemy atakować jednostki przeciwnika moździerzem, zakładać miny, odbudowywać mury obronne, uzupełniać amunicję lub cofać jednostki nieprzyjaciela na torach ataku. Te wszystkie zasoby pozwalają skutecznie bronić placówki, niestety nie starczą na zbyt długo, a jedyną pomocą, jaką otrzymujemy, jest uzupełnienie zapasów w trzeciej turze gry. Niezależnie od decyzji podejmowanych przez graczy, co turę jest losowana karta wydarzeń. Mogą one być pozytywne (np. dodatkowa pomoc) lub negatywne (np. bombardowanie) i znacznie oddziałują na sytuację na planszy w kolejnych rundach.

Gra stara się oddawać realia prawdziwej walki dzięki znacznikowi morale polskich oficerów. Gdy morale



rośnie, daje to pomoc w postaci zapasów amunicji czy dodatkowego ruchu. Gdy niemieckie ataki obniżają morale polskich żołnierzy, maleją możliwości ruchu oficerów lub traci się zapasy amunicji. Szybko można się przekonać, że morale – które można podnieść, korzystając ze specjalnego kafla akcji – jest dużo ważniejsze niż zapasy amunicji czy odparcie kolejnego ataku. Gra pokazuje tym samym, że siła charakteru i niezłomność, którymi charakteryzowali się bohaterowie Westerplatte, były kluczem do skutecznej obrony.

7 dni Westerplatte to – ze względu na poruszaną tematykę – bardzo ciekawa propozycja dla każdego. Gra ma jednak ograniczone walory edukacyjne. Nie dowiemy się z rozgrywki niczego o wydarzeniach, które stały się inspiracją gry. Jej autor, Łukasz Woźniak, nadrobił to w instrukcji. Jest ona czytelnie napisana, każdy element rozgrywki został zilustrowany przykładami. Zaciekawieni tematem znajdą tam informacje o wydarzeniach wojennych oraz o historii placówki przed wybuchem wojny. Niestety, brakuje odnośników do fachowych publikacji. Autor postawił na ukazanie atmosfery walk z Niemcami oraz na oddanie opadającego i rosnącego ducha żołnierzy. W dużej mierze udało mu się ten cel osiągnąć. Gracze odczuwają każdy spadek morale wojsk oraz widzą dramaturgię sytuacji, kiedy kolejne niemieckie jednostki zajmują planszę.

Gra jest skierowana do średnio zaawansowanych graczy. Ze względu na złożoność zasad i czasochłonne przygotowanie rozgrywki trudno ją wykorzystywać podczas edukacji szkolnej. Samo ułożenie wszystkich elementów na stole zajmuje kilka minut. ❄

Andrzej Lipson – absolwent Wydziału Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, hufcowy w Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej; interesuje się nowoczesnymi grami planszowymi

Dziękujemy wydawcy ST Games i dystrybutorowi G3 za udostępnienie gry.



OKIEM HISTORIA

Wiele osób zapewne cieszy fakt, że powstają gry planszowe, które nawiązują do ważnych wydarzeń w najnowszej historii Polski, szczególnie jeśli dotyczy to tak bohaterskich kart jak obrona Westerplatte we wrześniu 1939 roku. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewne detale historyczne. Posłużę się tu oceną autora wstępu do tej gry, Mariusza Wójtowicza-Podhorskiego (jest on autorem znakomitej książki *Westerplatte 1939: prawdziwa historia* oraz równie udanego komiksu *Westerplatte: załoga śmierci*), który napisał, że *7 dni Westerplatte* jedynie „luźno nawiązuje do historii obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej”. Z oceną tą w zupełności się zgadzam. W zamyśle autora gry głównym bohaterem miała być w niej strona polska, jednak tak naprawdę najbardziej widoczni są Niemcy. Uwagę przyciąga grafika niemieckich kart gry, której właściwie jest zupełnie pozbawiona strona polska. Nawiasem mówiąc, rysunki ilustrujące Wehrmacht bardziej kojarzą się z frontem wschodnim niż z wrześniem 1939 roku. Grafika rzekomo przedstawiająca rejon Westerplatte i portu jest kiczowata i uproszczona. Mapę umocnień Westerplatte można było zaprojektować dużo staranniej. Znany jest przecież dokładny ich schemat, wystarczyło go przerysować. Innym uproszczeniem jest to, że polscy obrońcy mają wpływ na kierowanie ogniem artyleryjskim nieprzyjaciela i mogą zakładać miny na dowolnych pozycjach niemieckich (na mapie gry jest to teren portu!). Zupełnym absurdem wydaje się system obrony Westerplatte oparty w grze na utrzymaniu muru okalającego placówkę, przywodzący na myśl średniowieczne oblężenia miast. Obrońcy mają za zadanie uzupełnić wyłomy w murze cegielkami, które mają powstrzymać kolejne natarcia nieprzyjaciela. Mur staje się w grze celem priorytetowym m.in. dla pikujących stukasów. Kolejny absurd to karta „wzrost morale”, oznaczająca podnoszenie morale załogi przez samoloty alianckie, które rozrzucają nad składnicą ulotki propagandowe. Na jedynej karcie z sylwetkami obrońców (karta „spadek morale”) pokazani są żołnierze polscy w nakryciach głowy bardziej przypominających hełmy ludowego Wojska Polskiego (z malowanym białą farbą orłem bez korony) niż używane we wrześniu 1939 roku hełmy WP wz. 31. W grze obrońcy są pozbawieni możliwości wykorzystania armaty 76,2 mm wz. 1902. Mają zaś do dyspozycji moździerze, którymi zdolni są do likwidowania daleko rozmieszczonych baterii haubic (!). W grze dowodzenie obroną placówki jest w zasadzie kolektywne. Brakuje jasnego ustalenia komendanta kierującego całością obrony.

Przez te wszystkie banalne uproszczenia trudno w zasadzie powiedzieć, że terenem i tematem gry jest właśnie Westerplatte. W obecnej wersji *7 dni Westerplatte* może zaledwie stanowić impuls do zainteresowania się historią obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej i pogłębienia wiedzy na ten temat. I to jedyny walor tej gry. Pytanie zasadnicze brzmi, czy dramatyczne wydarzenie wojenne, jakim była obrona Westerplatte, należy sprowadzać do poziomu przyjemnej rozrywki.

Tomasz Sudoł – historyk, pracownik Wydziału Badań Naukowych Biura Edukacji Publicznej IPN, autor książki *Poligon Wehrmachtu „Poludnie” 1940–1944* (2009)

Gdzie zginął „Antek Rozpylacz”

Katarzyna Dzierzbicka

W Alejach Jerozolimskich w Warszawie, tuż obok sklepu „Vitkac”, wisi czarna tablica upamiętniająca „Antka Rozpylacza”. Wyryty na niej napis jest jednak mylący. Antoni Godlewski zginął około 300 metrów dalej. Miał 21 lat i nie był studentem medycyny.

Antoni Szczęsny Godlewski urodził się w Warszawie 11 stycznia 1923 roku. Był synem Franciszka Godlewskiego – wysokiego urzędnika państwowego II RP, w latach 1927–1933 wicewojewody nowogródzkiego, 1934–1937 wicewojewody warszawskiego i 1937–1939 starosty powiatu warszawskiego. Po powrocie z Nowogródka Franciszek i Aniela Godlewscy wraz z synem ponownie zamieszkali w Warszawie, w al. Przyjaciół 3a. W 1942 roku rodzina została wyrzucona z mieszkania przez Niemców. Państwo Godlewscy przenieśli się na ul. Marszałkowską 91 m. 19. Budynek ten został zniszczony w czasie wojny. Dziś w jego miejscu stoi biurowiec. Zbudowane pod koniec lat trzydziestych XX wieku kamienice w al. Przyjaciół przetrwały za to wojenną zawieruchę. W czasie okupacji mieszkali w nich Niemcy, po wojnie zaś wprowadzili się do nich przedstawiciele komunistycznych władz i pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa.

Początkowo Antoni uczęszczał do Prywatnej Szkoły Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej przy ul. Klonowej 16 (uczniami tej szkoły byli też m.in. Tadeusz Zawadzki „Zośka” i Jan Rodowicz „Anoda”), a następnie do Gimnazjum Wojciecha Górskiego przy ul. Hortensji. W 1939 roku ulica ta została przemianowana na ul. Wojciecha Górskiego. Budynek gimnazjum, który stał pod numerem 2, został zbu-

rzony w 1944 roku. Szkoła Powszechna Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej to dziś Gimnazjum i Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej. W 1937 roku ojciec przeniósł Antoniego do Zakładu Naukowo-Wychowawczego Ojców Jezuitów w Chyrowie koło Przemyśla, dziś leżącym na terenie Ukrainy.

Łowca snajperów

W czasie okupacji Antoni Godlewski studiował na Tajnej Politechnice Warszawskiej. Omyłkowa informacja z tablicy pamiątkowej o studiach medycznych wzięła się najprawdopodob-



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

niej stąd, że część kolegów z batalionu była przekonana, że Antoni kształcił się właśnie na tym kierunku.

W trakcie Powstania Warszawskiego Antoni Godlewski walczył w stopniu kaprała w batalionie „Sokół” zgrupowania AK „Sarna”. Pseudonim nadano mu po tym, jak zdobył „rozpylacz”, czyli brytyjski pistolet automatyczny Sten. Tą pomalowaną na zielono bronią „wyprawiał niesamowite rzeczy. Masę Niemców utłukł” – mówił o „Antku Rozpylacz” Jan Lissowski „Robak”,



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

plutonowy podchorąży batalionu „Sokół”. Jego wspomnienia, jak również relacje pozostałych cytowanych przez mnie kolegów „Antka Rozpylacza” z czasów II wojny światowej, zostały utrwalone na taśmach Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego.

Antoni Godlewski był w swoim batalionie bohaterem, docenianym za odwagę – zabił osiemnastu niemieckich snajperów, zwanych przez powstańców „gołębiarzami”, bo strzelali z niewidocznych miejsc na dachach budynków. „To był najbardziej bojowy chłopak. Nam się wydawało, kto jak kto, ale jemu w życiu się nic nie może stać” – wspominała „Antka Rozpylacz” łączniczka batalionu „Sokół” Teresa Wentka „Lipa”. Przepadali za nim młodszy żołnierze, ale przede wszystkim cieszył się dużą sympatią wśród dziewcząt. „Bardzo, bardzo odważny. Bardzo sympatyczny, bardzo koleżeński i bardzo, bardzo przystojny. [...] Nieprawdopodobnie odważny chłopiec,

ulubieniec wszystkich. Świetny chłopiec, doskonały kolega, świetny żołnierz” – mówiła o Antonim Godlewskim Alicja Janiszewska „Hanka”.

Od 1942 roku chłopak nocował za zwyczaj u znajomych rodziny na Saskiej Kępie, w okolicach ul. Francuskiej. Ten czas wspomina Jadwiga Wasiluk „Jaga”, łączniczka „Sokoła”: „on u nas pomieszkiwał, bo mama jego, pani Aniela, bała się, że w centrum Warszawy [...] wyjdzie gdzieś i go złapią, więc on raczej u nas mieszkał. On sobie w dzień gdzieś wychodził, ale zawsze wieczorem wracał. Taki mały pokoiczek miał i tam pani Godlewska nieraz spała”. Antoni Godlewski wymyślił dla Jadwigi pseudonim: „Mówił: »Bez Baba, ale Jaga« – i tak zostało”. Jadwiga Wasiluk opowiada również, jak wyglądały ostatnie godziny przed wybuchem Powstania Warszawskiego: „przyszedł adiutant ojca »Antka Rozpylacza«, który był przy »Monterze« [chodzi o płk. Antoniego Chruściela], zawiadomić, żeby Antoś nie wychodził nigdzie, bo Powstanie rozpocznie się o godzinie siedemnastej. Antek mówił: „»Jaga«, ty pędź prędko, zawiadamiaj. Na kartce napisał mi [...] adresy kolegów i pobiegłam. To był wtorek, pamiętam, deszcz zaczął padać, ale popędziłam. Maciek Dorociński [właśc. Stefan Dorociński »Maciek«], jeszcze inni, zawiadomiłam i wróciłam. [...] Oni się już ubrali odpowiednio do Powstania. Buty myśliwskie sznurowane, bryczesy, jakaś kolorowa chustka na szyję, z fasonem. Ale [Antek] nie chciał mnie wziąć, powiedział, że mam być z panią Godlewską. Więc się zgłosiłam do innego na Piusa [Piusa XI to obecnie ul. Piękna], tam był taki oddział. [...] Niemcy weszli w nocy, wieczorem późnym na nasze podwórko. Mnie nie było akurat, bo przeprowadzałam ludzi na Piusa od nas. Wtedy Antek już widział, że jednak nie popuszczę i będę dalej biegała, to mówi: »To lepiej będziesz pod moją opieką na Nowogrodzkiej«, bo tam zorganizowali oddział”.

Przy wspomnianej ulicy Nowogrodzkiej 5 m. 11, na pierwszym piętrze – w dużym, środkowym pokoju mieszkania rtm. Władysława Olszowskiego – mieścił się sztab batalionu szturmowego „Sokół”. Na współczesnym budynku pod numerem 1/3/5, gdzie swoją siedzibę ma Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, znajduje się pamiątkowa tablica.



Fot. Katarzyna Dzierżbička



Towarzyszami walk „Antka Rozpylacza” byli trzynastoletni żydowski gońiec Zalman Hochman – znany pod pseudonimami „Miki”, „Miki Bandyta” i konspiracyjnym nazwiskiem Zenon Borkowski – oraz sympatia Antoniego, łączniczka Antonina Grzybowska „Nina”, która czyściła broń, dostarczała amunicję i ładowała magazynki.

Śmiertelne kule

Okoliczności śmierci Antoniego Godlewskiego nie da się odtworzyć z absolutną pewnością ze względu na rozbieżności w relacjach kolegów z batalionu. Osoby, których zeznania spisano po wojnie, nie były naoczniymi świadkami zdarzenia. Nie sporządzono również oddziałowych dokumentów dotyczących akcji. Wiadomo, że „Antek Rozpylacza” poległ 8 sierpnia 1944 roku ok. 16.00 przed kamienicą w Alejach Jeruzolimskich 23 (obecnie nr 29). Wraz

z nim zginął powstaniec o pseudonimie „Staś”, który próbował sięgnąć po stena leżącego obok ciała Antoniego Godlewskiego.

Według spisanej w 1996 roku relacji przyjaciela „Antka Rozpylacza” – Stefana Dorocińskiego „Maćka”, batalion „Sokół” miał zdobyć „Cafe Cristal”, kawiarnię znajdującą się na rogu ul. Brackiej 16 i Alej Jeruzolimskich 10. Dziś to siedziba „Orbisu” ze znajdującym się na jej dachu słynnym neonem w kształcie globusa. Antoni miał osłaniać kolegów z batalionu. Kiedy wychylił się z bramy, padła seria z niemieckiego ciężkiego karabinu maszynowego, ułożonego w „Cafe Otto”, kawiarni znajdującej się w Alejach Jeruzolimskich 26 (obecnie nr 42), po przeciwnej stronie ulicy. Przebieg zdarzeń opisanych przez „Maćka” wydaje się jednak najmniej prawdopodobny. Przede wszystkim dlatego, że nie było go na miejscu w chwili śmierci „Antka Rozpylacza”. „Maciek” opowiadał również, że Antoni zginął od kuli, która trafiła go w głowę, co nie było prawdą.

Według innych relacji, batalion „Sokół” wraz z batalionem „Bełt” miał zaatakować niemiecką placówkę w Alejach Jeruzolimskich 25 (obecnie nr 31/33). Antoni Godlewski pierwszy wysunął się przed bramę i wtedy z „Cafe Otto” padły strzały z ckm. „Leżał nawet w takim miejscu, że trudno go było ściągnąć. Jakaś łączniczka zgodziła się i ściągnęła go z tego miejsca, narażając bardzo swoje życie” – wspomina Irena Ładak „Teresa”, sanitariuszka batalionu „Sokół”. Tą łączniczką była „Nina”. „Antka Rozpylacza” trafiły w pierś trzy niemieckie kule. „Nie widziałam, jak zginął. Ale



Fot. Katarzyna Dzierżbička

w nocy przysłała do oddziału [...] jego narzeczona, bo z nim razem była w naszym oddziale, już wiedziałam, że Antek zginął, więc spytała się: »Jak jesteś wolna teraz, chcę, żebyś poszła ze mną po zwłoki Antka« – wspomina Alicja Janiszewska „Hanka”. I dodaje: „Jak myśmy poszły wieczorem, to oni już leżeli w bramie, jakoś [ich] ściągnięto [...]. Zwłoki chłopców Nina [...] z kolegami ściągnęła do bramy bosakiem, bo w bramie stał bosak od pożaru. Ściągnęli i myśmy później dalej też wlokły [je] w ten sam sposób, bo jeszcze przez podwórko też bosakiem, żeby nas nie było widać. Ciągnęłyśmy na podwórko, za pasek tak zaczepiłyśmy i ciągnęłyśmy. Przeniosłyśmy je. [...] Na noszach go niosłyśmy, to znaczy Nina, Jana [prawdopodobnie chodzi o Jadwigę Wasiluk „Jagę”], ja i Grzesiu [być może strzelec Michał Majewski „Grześ” z I kompanii szturmowej batalionu „Sokół”], tak chyba miał na imię kolega, który przyszedł nam pomóc”. Ciało Antoniego Godlewskiego zostało przeniesione do bramy przy ul. Nowogrodzkiej 20.

Zupełnie inaczej moment śmierci „Antka Rozpylacza” przedstawiono jego matce. Relacja pani Anieli Godlewskiej została spisana w „Słowie Powszechnym” nr 178 (9796) z 8 sierpnia 1978 roku: „We wtorek 8 sierpnia syn mój otrzymał rozkaz ubezpieczenia ważnego konwoju przez Aleje Jerozolimskie w pobliżu przejścia obok numeru 27. Miał osłaniać konwój ogniem, ściągając uwagę wroga na siebie. Zadanie wykonał. Konwój przeszedł cało. Podczas wycofywania się z zajmowanego posterunku syn dostał serię z karabinu maszynowego. Zginął na miejscu”.



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

Kondukt i Izy

Nazajutrz odbył się pogrzeb, który zgromadził tłumy powstańców i cywilów. Na fotograficznej kliszy nieznany fotograf utrwalił kondukt pogrzebowy, który szedł ul. Nowogrodzką. „Antek Rozpylacz” został pochowany w powstańczym grobie w podwórku przy ul. Brackiej 5. W „Biuletynie Informacyjnym” AK nr 50-258 z 13 sierpnia 1944 roku pojawiło się wspomnienie o bohaterskim powstańcu i relacja z jego pogrzebu: „Na podwórzu odbyła się Msza święta. Kondukt pogrzebowy szedł przez przebicia w murach. Nad grobem dowódca Antka, rotmistrz Sokół, który na noszach kazał przynieść się ze szpitala, pożegnał swego ulubieńca krótką, żołnierską mową. Po

surowych, zmęczonych twarzach płynęły Izy. Peżetki rękami usypały mogiłę”. „Peżetkami” zwano członkinie referatu Pomocy Żołnierzowi, w skrócie PŻ. Kobiety te rozaczały opiekę nad powstańcami, a także organizowały żywność, szły ubrania itp. Jak wspomina matka Antoniego Godlewskiego, msza polowa odbyła się „przy akompaniamencie huku rozrywających się granatów, terkotu karabinów maszynowych i wybuchów bomb”.

Pogrzeb „Antka Rozpylacza” zapamiętało wielu kolegów z batalionu. Relacje te różnią się jednak od siebie. „Jego pochowali w eleganckiej trumnie i był pochowany na Brackiej. Tam do dzisiaj jest to miejsce oznakowane, upamiętnione, chociaż on jest przeniesiony [...] w indywidualnym grobie leży. Tłumy były na jego pogrzebie, [kondukt] szedł Nowogrodzką właśnie do Brackiej, [Antek] tam w podwórku był pochowany, to był w trumnie” – zapamiętał Andrzej Korgol „Duży Jędrak”, strzelec Obwodu Śródmieście Południowe „Sławbor”. Z kolei łącznik batalionu „Sokół” Stefan Laube „Adam” wspomina: „Była jakaś, ja to tak odczułem, to była trumna. Ale to nie była prawdziwa trumna, jakie są obecnie z zakładu pogrzebowego, tylko to była trumna zbita z desek. Leżał,



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

wyglądał jak śpiący. Potem [trumna] została oczywiście zamknięta, zniesiona, przeniesiona... Ta trumna była ustawiona na podwórku przy ul. Nowogrodzkiej. I po tym przeniesieniu został pochowany. [...] I obecnie miejsce, w którym był pochowany, to też w przybliżeniu jest to miejsce, które jest przedstawione jako miejsce pochówku »Antka Rozpylacza« [...] Salw nie było, były oczywiście przemówienia dowódcy, mjr Olszewski [właśc. Władysław Olszowski] przemawiał, no nie pomnę, co... [...] Był ksiądz, do ziemi, no i... tak to się odbyło”.

O tym, że powstańczy grób Antoniego Godlewskiego znajdował się w nieco innym miejscu, niż to zostało zapamiętane przez matkę, wspomina również Michał Gradowski „Miś”, łącznik Batalionu „Sokół” Zgrupowania „Sarna”: „Na ścianie budynku ktoś napisał: »Tu był pochowany ‘Antek’« czy coś takiego. Tylko nie w tym miejscu, gdzie on był pochowany, tylko w zupełnie innym, dlatego że ściana była tak postrzelana, że się nie dało na niej nic napisać. [Napisałi] więc kawałek dalej. Na podwórku Brackiej 5 jest oficyna i w niej też jest brama przelotowa. Po lewej stronie bramy na parterze była biblioteka [...] pod oknami biblioteki nie było asfaltu ani płyt chodnikowych, tylko trawniczek szeroki na dwa i pół metra, biegnący wzdłuż ściany. Na tym trawniczku zaczęto chować naszych poległych. O ile pamiętam, Antek był pochowany w trzecim grobie, licząc od lewej strony. Teraz miejsce pamiątkowe, gdzie palą mu świece, jest po drugiej stronie podwórka, w zupełnie innym miejscu. Był pochowany pod oknami biblioteki. Pamiętam, jak dwa czy trzy dni po pogrzebie na jego grób przyszli rodzice. Bardzo mnie zaskoczyło, że matka stała jak Niobe, z tragiczną twarzą, w zupełnym bezruchu, jakby była wyrzeźbiona. Natomiast ojciec leżał na mogiłce, obejmował [ją] rękami i strasznie głośno płakał. Pamiętam skojarzenie, że kobieta zachowuje się jak mężczyzna, a mężczyzna jak kobieta”. Łącznik Adam Bielawski „Mały” zapamiętał drewniany krzyż i posadzone na powstańczym grobie „Antka Rozpylacza” pelargonie.

Życie po życiu

2 października 1944 roku, dwa miesiące po śmierci, Antoni Szczęsny Godlewski został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy oraz Krzyżem Walecznych.

6 marca 1945 roku Franciszek Godlewski wystąpił do władz z wnioskiem o ekshumację syna. Major Olszowski opisał zasługi Antoniego podczas wojny i potwierdził przyznanie mu pośmiertnych odznaczeń. Ekshumację przeprowadzono w pierwszą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Widoczny do dziś na ścianie kamienicy przy Brackiej napis „Antek Rozpylacz pochowany został na cmentarzu Powązki-Wojskowe” został wykonany przez Anielę Godlewską. Ciało „Antka Rozpylacza” zostało przeniesione na Cmentarz Wojskowy na Powązkach do kwatery A-17. W tym samym grobie spoczywają również jego zmarli po wojnie rodzice. Kilka lat temu napis na ścianie kamienicy przy Brackiej został zabezpieczony ochronną płytą, a brama prowadząca na podwórko – zamknięta. Przy wejściu na teren posesji pojawiła się kolejna tablica pamiątkowa.

Nazwisko Antoniego Godlewskiego zostało upamiętnione także na Murze Pamięci w Muzeum Powstania Warszawskiego w kolumnie 150. na pozycji 13. „Antek Rozpylacz” jest patronem jednej z ulic na warszawskiej Woli i 27. Warszawskiej Drużyny Harcerzy „Baon”.

Aniela Godlewska, matka Antoniego, która podczas Powstania Warszawskiego pomagała w powstańczej kuchni, po wojnie żyła w biedzie i osamotnieniu. Jej mąż zmarł w 1950 roku. Tadeusz Kaliński wspomina: „Będąc w pracy w 1974 roku, spotkałem panią Godlewską – matkę »Antka« [...]. Mówiła mi: »Straciłam męża, straciłam Antka, straciłam dwoje dzieci. I teraz nie mam żadnego wsparcia, żadnej pomocy ze strony państwa, ze strony nikogo. Wszyscy o mnie zapomnieli. Mieszkam w Zalesiu i z Zalesia właściciel wyrzucił mnie na ulicę«”. Zbigniew Wężyk – syn Anieli Godlewskiej z pierwszego małżeństwa, przyrodni brat Antoniego – zginął w czasie Powstania Warszawskiego na Żoliborzu. Państwo God-

lewscy nigdy nie poznali okoliczności jego śmierci i nie dowiedzieli się, gdzie został pochowany. Aniela Godlewska zmarła w 1982 roku. Żyła 91 lat.

Pechowy sten

Legendarny sten „Antka Rozpylacza” cieszył się złą sławą. Każdy, kto po niego sięgnął, w krótkim czasie ginął. Wojciech Borsuk „Kajman” wspominał: „On był w mojej drużynie, ten rozpylacz, ale charakterystyczna rzecz była taka, że kto z tym rozpylaczem szedł na akcję, to nie wracał, ginął. To był pechowy okres. Brali tę broń tylko tacy, którzy nie wiedzieli o tych właściwościach, o tych cechach, które towarzyszyły tej broni, bo lekceważyli tę opowieść i ginęli”. Taki los spotkał łączniczkę „Belta” Marię Sobińską „Klary Podróżniczek”, plutonowego podchorążego Alojzego Rzymkowskiego „Rotmistrza”, nieznanego z nazwiska „Stasia” i starszego strzelca „Księdza” oraz Włodzimierza Stanisława Muszyńskiego „Cybucha”, który zginął w czasie ataku lotniczego 16 września 1944 roku pod gruzami oficyny domu przy Nowogrodzkiej 5. Wraz z nim zasypany został sten „Antka Rozpylacza”.

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, przewodnicząca po Warszawie



Sowiecki demiurg

Wbrew temu, co mógłby sugerować tytuł, książka *Stalin. Terror absolutny* nie jest biografią. Autor opisuje wprawdzie życie dyktatora, jednak więcej uwagi poświęca aparatowi represji i sowieckiemu społeczeństwu. Jörg Baberowski, niemiecki historyk, tematami tymi zajmuje się już od wielu lat. Jego sześćsetstronicowa książka *Czerwony terror. Historia stalinizmu*, wydana w 2003 roku w Niemczech (a sześć lat później w Polsce), doczekała się dotychczas trzech wydań. Gdy otrzymał propozycję przygotowania wydania angielskiego, postanowił wykorzystać szansę w niecodzienny sposób. „Historyk, decydując się na napisanie książki, wie, że będzie uważany za adwokata prezentowanych tez i że oczekuje się od niego trzymania się raz obranego punktu widzenia [...] Dlatego ucieszyłem się, gdy niespodziewanie nadarzyła mi się okazja, by powiedzieć coś nowego i porzucić wcześniejszy punkt widzenia” – tłumaczył.

Baberowski kwestię stalinowskiego terroru traktuje szeroko – swoją opowieść zaczyna od ostatnich lat caratu i rewolucji bolszewickiej, kontynuuje ją przez rządy Stalina i II wojnę światową, a kończy refleksją nad dekompozycją systemu po śmierci dyktatora. Pokazuje, jaki wpływ na życie zarówno pojedynczych ludzi, jak i całych społeczeństw miały idee polityczne wyznawane przez wąską grupę bolszewickich rewolucjonistów. Nie koncentruje się jednak na kwestiach ideologicznych, ale raczej odkrywa mechanizmy władzy i nakręcania spirali zbrodni.

Szczególną wagę przywiązuje do opisanego dynamiki tego procesu oraz jego wpływu na przeobrażanie się społeczeństwa: „Naród sowiecki nie dał impulsu stalinowskiej rzeczywistości i związany z nią wydarzeniem, lecz stał się multiplikatorem władzy w ten sposób, że posłusznie reagował na żądania stawiane pod swoim adresem. Ludzie nie mieli wyboru: musieli uczyć się żyć w warunkach dyktatury i akceptować kłamstwo jako część życia”. To w równym stopniu opowieść o okrucieństwach totalitaryzmu i o przystosowaniu obywateli, racjonalizacji otaczającego ich koszmaru, narodzinach dwójmyślenia.

W centrum tego wszechświata znajduje się postać Stalina, który dla swoich celów wprowadził kraj w stan permanentnego stanu wyjątkowego. Był beneficjentem zbrodni, które z jednej strony umacniały jego pozycję polityczną, a z drugiej zaspokajały jego sadystyczne popędy. Zapada w pamięć scena, w której Stalin zachęcił swojego ochroniarza Karla Paukera, świadka egzekucji Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa, do odegrania scenki z ostatnich chwil życia ofiar. Stalin śmiał się z jego popisów do rozpuku. Rok później sam wydał rozkaz egzekucji Paukera bez procesu.

Baberowski jest przekonany, że dla Stalina władza była tylko narzędziem, a w rzeczywistości napędzało go pragnienie zaspokojenia swoich krwiożerczych instynktów. Totalitarne państwo nie mogło bez niego istnieć, o czym świadczy to, że kiedy go zabrakło, system zaczęli dekomponować jego najbliżsi współpracownicy. Jest to tylko pozornie banalna konstatacja – nie ma stalinizmu bez Stalina.

Józef Dżugaszwili – jak brzmiało prawdziwe nazwisko dyktatora – był mistrzem politycznej intrygi. Przywódcą, który manipulował grupą swoich najbliższych współpracowników oraz podporządkowywał ich sobie strachem i przemocą. Wytresował ich tak, że wyprzedzali jego życzenia. Z ich pomocą – niczym demiurg – przekształcał społeczeństwo, decydując o likwidacji przeciwników politycznych (zarówno tych realnych, jak i wymagowanych), całych grup społecznych czy etnicznych. Przebudowywał wielonarodowe imperium z wiarą, że z zapóźnionego i upadłego kraju stworzy ojczyznę *homo sovieticus*.

Dzięki – jakkolwiek by to brzmiało – pracowitości i inteligencji stworzył pierwszy sprawny aparat biurokratyczny totalitarne-go państwa. W swoim gabinecie, z pomocą trzech sekretarek pracujących na zmiany przez całą dobę, przerzucał tony papieru, decydując o życiu i śmierci. Z udziałem aparatu kreował swój wizerunek męża opatrznociowego, powoływał się na wolę narodu, która jednak mało go interesowała. Pozbawiony charyzmy, nie porywał tłumów jak Hitler, nie miał szans na uzyskanie poparcia, zwracając się bezpośrednio do obywateli: „rządził poprzez swoich aparatczyków i stosowne organy [...] Dlatego też nikt nie oczekiwał od Stalina ognistych, demagogicznych mów, które porwą masy”. To nie był z resztą tylko jego problem. Pierwszy kontakt Lenina z „masami”, znanymi mu wcześniej tylko w teorii, miał miejsce w Piotrogradzie w 1919 roku. Wódz chciał przemówić osobiście do protestujących robotników i zaapelować o zakończenie strajku. Po tym, jak został przez nich wygwizdany, wydał rozkaz o wprowadzeniu do akcji wozów bojowych i Czeka. Komunistom ten model „kontaktów z masami” wydawał się skuteczniejszy.

Jörg Baberowski wykorzystuje głównie opracowania i źródła wydane. Sprawnie porusza się po pracach opublikowanych po niemiecku, angielsku i rosyjsku, przegląd literatury robi wrażenie. Wyniki kwerend archiwalnych stanowią interesujące uzupełnienie, choć nie tworzą przełomowego obrazu. Książka jest jednak solidnie udokumentowana i wyjątkowo sprawnie napisana.

Przy takim temacie zawsze pojawia się pytanie, czy kolejna publikacja o Stalinie może wnieść coś naprawdę nowego. Baberowski przystępuje do ostrej rywalizacji. Z jednej strony nie do przebiccia wydaje się psychologiczny portret dyktatora, który przedstawił Simon Sebag Montefiore (*Stalin. Młode lata despoty*, a szczególnie: *Stalin. Dwór czerwonego cara*). Z drugiej strony – narodziny, rozwój i wzajemne napędzanie się totalitaryzmów opisał Timothy Snyder (*Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*). Wydaje się jednak, że Baberowski znalazł własną niszę. Wrażenie robi analiza mechanizmów rządzących aparatem represji, opis społeczeństwa i procesów jego przekształcania oraz ukazanie stalinowskiej strategii „wojny ojczyźnianej”. 📖



Jörg Baberowski, *Stalin. Terror absolutny*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2014, 600 s.



■ *Armia Czerwona/Radziecka w Polsce w latach 1944-1993. Studia i szkice*, red. K. Filip, M. Golon, IPN, Borne-Sulinowo – Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 320 s. + 16 s. wkł. zdj.



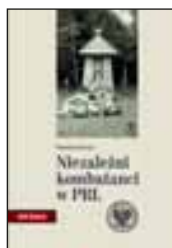
■ Robert Ciupa, Bogusław Tracz, *Marzenia z betonu. Codziennosc w latach siedemdziesiątych na Górnym Śląsku*, IPN, Katowice 2014, 220 s.



■ Malwina Garyga, *Dekada agonii. Komitet Krakowski PZPR w świetle materiałów partyjnych 1981-1990*, IPN, Warszawa 2014, 272 s.



■ *Głogów w latach 1945-1990. Studia z dziejów miasta*, red. R. Klementowski, K. Szwagrzyk, IPN, Wrocław 2014, 152 s.



■ Marek Jedynak, *Niezależni kombatanci w PRL. Środowisko Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich Armii Krajowej "Ponury"-"Nurt" (1957-1989)*, Wydawnictwo BARBARA, IPN, Kielce-Kraków 2014, 566 s.



■ Janusz Kurtyka, *Rzeczypospolitej historyk i urzędnik*, red. W. Bukowski, W. Frazik, IPN, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2014, 295 s.



■ Robert Klementowski, *Zbrodnicza bezpieka 1945-1990*, IPN, Wrocław 2014, 365 s.



■ *Komunistyczny aparat represji wobec jezuitów w Prowincji Polski Południowej*, red. A.P. Bieś SJ, F. Musiał, IPN, Wydawnictwo WAM, Kraków 2014, 379 s.



■ *Komuniści w międzywojennej Warszawie*, red. E. Kowalczyk, IPN, Warszawa 2014, 496 s.



■ Grzegorz Kowal, *Ośrodek Odosobnienia w Grodkowie (1981-1982)*, IPN, Wrocław 2013, 194 s.



■ Władysław Krzyściak, *Wśród wojennej nawałnicy. Wspomnienia oficera z lat 1939-1945*, oprac. Ł. Borkowski, A. Kondracki, W. Krupa, J. Łabowicz, wstęp W. Krupa, IPN, Katowice 2014, 510 s.



■ *Między systemami. Społeczeństwo Polski północno-wschodniej wobec przemian ustrojowych 1989 roku*, red. M. Markiewicz, A. Pyżewska, IPN, Białystok 2014, 205 s.



■ Mirosław Pietrzyk, *Więzienie w Inowrocławiu w latach 1945-1956*, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 434 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Patryk Pleskot, *Polska - Australia - "Solidarność". Biografia mówiona Seweryna Ozdowskiego*, IPN, Warszawa 2014, 216 s. + 32 s. wkł. zdj.



■ *Pleć buntu. Kobiety w oporze społecznym w Polsce w latach 1944-1989 na tle porównawczym*, red. N. Jarska, J. Olaszek, IPN, Warszawa 2014, 404 s.



■ Elżbieta Rączy, *Zagłada żydowskiej ludności Holandii w KL Auschwitz-Birkenau w latach 1942-1945*, IPN, Wydawnictwo Exemplum, Uniwersytet Rzeszowski, Poznań – Rzeszów 2013, 318 s.



■ Piotr Stanek, *Stefan Korboński (1901-1989). Działalność polityczna i społeczna*, IPN, Warszawa 2014, 398 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ *Wczoraj i dziś. Kościół rzymskokatolicki w Polsce północno-wschodniej*, red. W. Brenda, A. Pyżewska, K. Sychowicz, IPN, Białystok 2014, 230 s.

Institut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00-18:00,
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;
22 431 82 89; faks 22 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

KONKURS HISTORYCZNY

„NIECH ŚWIAT PAMIĘTA O NAS...”

Losy osób deportowanych z Górnego Śląska do ZSRS w 1945 r.

ORGANIZATOR KONKURSU:
ODDZIAŁOWE BIURO EDUKACJI PUBLICZNEJ
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W KATOWICACH

TERMIN NADSYŁANIA PRAC:
31 PAŹDZIERNIKA 2014 ROKU

